

**Graham Joyce**

**INDYGO**

*Indigo*

Przełożyła

Martyna Plisenko

**SOLARIS**

**Stawiguda 2009**



*Dla niepowtarzalnej Tam i Jo Tansey*

## PODZIĘKOWANIA

Szczególne wyrazy wdzięczności dla mojego redaktora, Jasona Kaufmana; dla Meg Hamel za informacje dotyczące architektury Chicago i miasta jako takiego; Mike'a Goldmarka, bosonogiego pośrednika w handlu dziełami sztuki, ani trochę nieprzypominającego potwora opisanego w tej książce; dla Tima Howletta, Luigiiego Bonomi, Chrisa Lotts'a, Sama Hayesa, Dana Gudgela, Pete'a Crowthera, Jonathana Lethema i dla wszystkich moich kolegów po piórze oraz studentów z Nottingham Trent University.

## NOTA ODAUTORSKA

Spytajcie naukowców, ile kolorów mieści się w widzialnym spektrum, a odpowiedzą: sześć. Spytajcie jakiegokolwiek artysty, a odpowie: siedem. Szukając rozwiązania tej zagadki zapoznałem się gruntownie z różnymi niezwykłymi książkami, w tym *The Art of Seeing* Aldousa Huxleya, *Invisibility* Steve'a Richardsa, *What You Leave Behind* Mahendra Solanki i *Rome* Christophera Hibbertsa. Dziękuję również członkom Indigo Society za to, że otworzyli mi oczy; nawet tym, którzy wciąż sprzeciwiają się wydaniu tej książki.

Graham Joyce

Rzym, 1999

## PROLOG

### OSPEDALE SAN CALLISTO, RZYM, 31 PAŹDZIERNIKA 1997

Budynek Ospedale<sup>1</sup> San Callisto wyglądał jak gigantyczny, biały tort weselny. Zajmował rozległą powierzchnię na przedmieściach Rzymu, około piętnastu mil na zachód od miasta. Jack zaparkował swojego wynajętego fiata, kurtuazyjnie otworzył przed Louise drzwi od strony pasażera i razem przeszli przez aleję cyprysową do portyku budynku.

Kiedy wspinali się po marmurowych schodach, Jack powiedział:

- Wiesz, nie musisz tu wchodzić. Możesz poczekać w samochodzie.

- To tak samo moja sprawa, jak twoja - odparła. Dlatego wróciła z nim do Rzymu i dlatego zostawiła Billy'ego pod opieką Dory w Chicago.

Ich kroki odbijały się echem na nieskazitelnie wyfroterowanej podłodze sali recepcyjnej. Przedstawili się recepcjoniście w białym uniformie, potem poproszono ich o zajęcie miejsc na twardych, plastikowych krzesłach. Przez francuskie okna wlewało się światło słoneczne tańczące na sterylnych, marmurowych powierzchniach. Czekali w milczeniu.

Z mroku w końcu korytarza wyłonił się lekarz trzymający teczkę. Szedł i szedł bez końca w skrzypiących przy każdym kroku

---

<sup>1</sup> Ospedale (wł.) - szpital

butach. Przywitał ich jakoś uroczyście i gestem wskazał, by poszli za nim nieskończenie długim korytarzem, a potem w górę imponującymi, marmurowymi schodami. Lekarz raz czy dwa pociągnął nosem, jakby chciał go oczyścić. Pacjenci, gawędzący na schodach, nagle zamilkli i zagapili się na gości.

Zgadując myśli Jacka, lekarz powiedział:

- To nie jest zakład zamknięty. Nie ograniczamy pacjentów. Mamy tu piękny, słoneczny pokój, coś w rodzaju solarium. Lubi w nim przesiadywać. Przez cały dzień, gdyby jej pozwolić.

Wreszcie otworzył drzwi. Jack z początku pomyślał, że pomieszczenie jest puste. Zwrócone na południe okna przypominały rzeźby z żelaza i szkła. Wewnątrz stały tylko białe, wiklinowe fotele. Potem Jack zauważył młodą kobietę. Ubrana w jeansy i białą koszulkę siedziała na skraju jednego z foteli i wyglądała przez okno. Prawdę mówiąc spodziewał się gołych stóp i kaftana bezpieczeństwa.

Młoda kobieta zrobiła krok naprzód.

- Tim?

- *Buon giorno*<sup>2</sup>, Natalie! - ze sztuczną wesołością powiedział lekarz. Kobieta nie zareagowała. Podszedł do niej i delikatnie przegarnął jej włosy.

- Mamy dziś gości! - wreszcie spojrzała na nich przez ramię i wstała.

- Zostawię was samych - powiedział lekarz, wycofując się. - Będę w pobliżu.

Była chuda jak szkielet, cały czas mrużyła oczy jakby

---

<sup>2</sup> Buon giorno (wł.) - dzień dobry

przeszkadzało jej zbyt ostre światło. Rozpuściła związane na karku brązowe włosy.

- Nie, mylisz się - zaczął mówić Jack, ale przycisnęła palec do warg i syknęła ostrzegawczo. Przeszła przez pokój, chwyciła dłoń Louise, po czym wolno i zmysłowo ją obwąchała. Potem pochyliła się i zaczęła wąchać jej kolano. Louise nie cofnęła się, kiedy kobieta wąchała jej udo i krocze, trzymając nos jedynie o włos od jej spódnicy. Następnie przysunęła się do Jacka, obwąchała go na wysokości pasa, potem z boku, i wreszcie, prawie wpychając tam nos, pod pachą. Jack mógł tylko z desperacją spoglądać na Louise.

- Nazywam się Jack Chambers. Tim był moim ojcem. A to jest Louise, jego córka.

- Nasiąknęliście tym - powiedziała kobieta.

- Czym?

- Indygo. Wilczy gruczoł. Oboje. Zwłaszcza ty. Czy on przyjdzie? Czy Tim przyjdzie? - zaczęła bardzo powoli okręcać Jacka.

- Tim umarł - powiedział Jack. - Umarł jakiś czas temu. Zostawił ci trochę pieniędzy. Chcę się upewnić, że je dostałaś.

- Wiesz, dokąd oni poszli?

- Kto? I gdzie miałby pójść?

- Oni wszyscy. Było nas wielu. Zostałam tylko ja. Myślałam, że przyszedłeś powiedzieć mi dokąd poszli. Samotność jest mało zabawna. - Łagodnie i bez gniewu uderzyła Jacka w twarz. Potem podeszła do Louise i znów zaczęła krążyć.

- Natalie - powiedziała Louise - czy wiesz gdzie jesteś?

Natalie cofnęła się ostrożnie, jakby uznała pytanie za protekcyjne i głupie.

- Oczywiście. Jestem w Indygo. To dlatego nie możecie mnie zobaczyć.

## PIERWSZY

### LOTNISKO O'HARE, CHICAGO, MIESIĄC WCZEŚNIEJ

Kiedy maszyna zaczęła podchodzić do lądowania na lotnisku O'Hare, Jack Chambers, nieco nerwowy pasażer samolotu, był przy piątej szkockiej z wodą. Stewardessy otworzyły przejście między rzędami za szybko, aby poprosić o kolejną. Jack osuszył plastikowy kubek, otarł zmierzwiłone brwi małym papierowym ręcznikiem o zapachu cytryny i znów zaczął zastanawiać się nad sprawą Birtlesa.

To jest dobry moment, uznał. W Londynie zostawił tylko jeden niewyjaśniony przypadek w wyraźnie podupadającym interesie. Poinstruował swoją sekretarkę, panią Price, energiczną kobietę w wieku emerytalnym, aby przyjmowała wszystkie nowe sprawy i grała na zwłokę pod jego nieobecność. Sam chciał pracować nad sprawą Birtlesa. Darował sobie wyjaśnianie okoliczności, w których wszystko rzucił.

A więc lądował w Chicago i choć był już początek października, słońce na zewnątrz terminalu lśniło jak kryształki soli na limoncy. Z poczuciem lekkiego zagubienia Jack zadrżał w rześkim, zimnym powietrzu. Przed postojem taksówek stał rząd malowniczych kiosków, w których sprzedawczynie w nausznikach gapiły się martwo przed siebie, w stanie narkoleptycznego prawie znużenia. Tak jak i taksówkarze, miały wysmagane zimnym wiatrem twarze, posiniałe i



jakby poobijane. Jack szybko się przekonał, że wszyscy mieszkańcy Chicago wyglądają, jakby przyjęli kilka ciosów na ringu bokserskim. Postukał w pleksiglasowe okno jednego z kiosków, a kobieta minimalnie pochyliła głowę w kierunku czekającej żółtej taksówki.

Długo jechał w głąb Chicago. Licznik taksówki tykał, jakby odmierzał czas do zagłady. Wielki kanion, uformowany nie ze skał, lecz ze szkła, stali i zbrojonego betonu, wznosił się po obu stronach ulicy, jak połyskujące rtęciowo fale formujące koryto rzeki. Zamiast jaskiń i sznurowych drabinek, tu były windy i wysłane dywanami hole. W jednym z nich, na West Wacker Drive, spotkał się z Harveyem Michaelsonem, prawnikiem, który skontaktował się z nim w Anglii.

- Nie miałem pojęcia, że pan o niczym nie wie. Nie spodziewałem się, że to będzie dla pana nowość.

- Nie widzieliśmy się od ponad piętnastu lat. Nie mieliśmy ze sobą bliskiego kontaktu - powiedział Jack.

Michaelson wskazał mu drogę do swojego wytwornego biura obitego pluszem i dębowym drewnem. Zaproponował świeżą kawę, kanapki i ciasteczka, zapytał o lot i pogodę w Anglii. Jego gościnność była tak wylewna, a maniery tak wyszukane, że Jack pomyślał, iż przyjdzie mu słono zapłacić za poświęcony czas. Rzucił okiem na zegarek tylko po to, aby dać do zrozumienia, że wie.

Michaelson nosił złote spinki do mankietów.

- Jak powiedziałem panu przez telefon, jest pan raczej wykonawcą niż beneficjentem. - W Anglii nikt już nie nosił spinek do

mankietów, ani arystokracja, ani klasy średnie; tutaj wydawały się oznaczać status idący w parze z doskonałymi zębami, gładko zaczesanymi włosami i bukową, wypolerowaną tabliczką z nazwiskiem na drzwiach biura. - Och, coś pan dostanie, o ile dopilnuje pan wypełnienia ostatniej woli. Jest tu sporo do uporządkowania.

- Zakład, że nie będę miał z tego tyle, co pan - powiedział Jack, a Michaelson roześmiał się, chociaż obaj wiedzieli, że to nie był żart.

Pomimo prostolinijności w podejściu do pieniędzy i spadku, Jack nie był bezduszny. Po prostu nienawidził swojego ojca. Nie miał z tym problemów psychologicznych. Nie mógł pojąć, dlaczego Freud narobił tyle szumu. Jack nienawidził ojca i zakładał, że jego ojciec z kolei nienawidził własnego.

- Pański ojciec był niezwykłym człowiekiem - powiedział Michaelson.

- Był zasrańcem.

Michaelson znów się roześmiał, ale zaraz ucichł. Zdał sobie sprawę, że Jack wcale nie żartował.

- To nie był człowiek najłatwiejszy we współzyciu - przyznał. - Dawał panu w kość?

Oczy prawnika wyrażały oczekiwanie na odpowiedź. Jack zauważył, że powieki miał nieco zbyt czerwone; zapewne z powodu długich nocy spędzanych w zbyt w ciemnych miejscach.

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Nie za tę cenę.

Michaelson był bystry.

- Mogę to zrozumieć. Zabierzmy się zatem za papierkową

robotę, dobrze?

Papierkowa robota, kiedy już się za nią zabrali, ukazała skomplikowaną rolę Jacka jako wykonawcy ostatniej woli. Aby dostać sowitą zapłatę za to zadanie, musiał uporać się z aktywami i prowizjami. Był tam niezrozumiały manuskrypt, który miał zostać opublikowany, jeśli pozwolą na to środki. Testament ponadto obarczał Jacka zadaniem wyśledzenia kogoś o nazwisku Natalie Shearer, która była główną spadkobierczynią.

- Poczyniłem wstępne kroki, aby odnaleźć tę Shearer. Czy chce pan, abym dalej się tym zajmował?

- Poproszę. To mi zbyt przypomina moją pracę.

- Och? A czym się pan zajmuje?

- Jestem woźnym sądowym. - Było to wystarczająco bliskie prawniczemu światu Michaelsona, aby to zrozumiał, ale na tyle odległe na drabinie hierarchii, aby nie zadawał więcej pytań. Jack pożałował, że o tym wspomniał. To tak, jakby facet rozdający ulotki sugerował specjaliście od reklamy, że pracują w tej samej branży.

- Interesujące. To są kopie wszystkich dokumentów. Zajmie się pan nimi na własną rękę. Gdzie się pan zatrzymał w Chicago?

- Przyjechałem prosto z lotniska. Pomyślałem, że mógłby mi pan polecić jakiś niedrogi hotel.

- Do diabła z tym. Każę mojej asystentce zameldować pana w Drake'u. Niech pan korzysta z tego, że testament mówi o pokryciu kosztów. Takie jest założenie.

- Jednak, jeśli dobrze zrozumiałem - powiedział Jack - wszystko,

co zostanie po odliczeniu prowizji, trafia do mnie. Więc mimo wszystko to mogą być moje pieniądze.

Michaelson uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Musi pan zapłacić podatek od spadku, nie wspominając już o... proszę spojrzeć tutaj. - Następnie prawnik wytłumaczył Jackowi, w jaki sposób może odzyskać pieniądze zatrzymując się w bardziej kosztownym hotelu, a Jack zrozumiał, dlaczego jego ojciec zatrudnił tego właśnie człowieka.

- Czyli jeśli wynajmę pokój w hotelu i zamówię call girls, to nadal zarabiam pieniądze?

Michaelson mrugnął.

- Żartuję - powiedział Jack. - Naprawdę. - Tacy są prawnicy, pomyślał: jeśli śmiejesz się z ich stawek, oni nie śmieją się z twoich żartów.

## DRUGI

Zgodnie z sugestiami Michaelsona Jack zameldował się w wykwintnym hotelu Drake na North Michigan Avenue. Drake miał dystynkcję wielkiej divy ze starego filmu i hol, w którym rosły palmy. Odziani w smokingi muzycy z kwartetu grali dyskretnie, prawie niewidzialni, a recepcjonista traktował go jak vipa. Jack, osłabiony z powodu zmiany strefy czasowej, zjadł kolację sam w hotelu. Nadskakująca uprzejmość kelnerów kazała mu myśleć, że musieli go pomylić z jakimś sławnym gościem.

Wziął prysznic, owinął się w hotelowy szlafrok i wysączył szklankę Dalwhinnie<sup>3</sup>. Zostawił telewizor ściszony, mruczący tylko łagodnie w tle i zadowolony z samotności rozłożył papiery Michaelsona na łożu godnym cesarza. Testament był napisany profesjonalnie, zwięźle i stosunkowo prosto. W aktach znajdował się również rękopis i zbiór napisanych na maszynie esejów czekających na publikację. Było tam także portfolio aktywów spisanych przez Michaelsona. Ojciec Jacka miał mieszkanie na Lake Shore Drive, o którym już wiedział i dom w Rzymie, o którym nie miał pojęcia. Były udziały w amerykańskich i włoskich firmach oraz spory kapitał. Jack cmoknął nad Dalwhinnie, zniesmaczony, że nic z tego mu nie przypadnie. Być może powinien był wykazać więcej stanowczości, a nawet cierpliwości wobec staruszka.

---

<sup>3</sup> Dalwhinnie - gatunek whisky

Ale żadne pieniądze nie były tego warte. Do Jacka nagle dotarło, że nawet nie spytał Michaelsona w jaki sposób umarł jego ojciec. Właśnie tyle się nim przejmował.

\*\*\*

Jack po raz ostatni widział ojca w Nowym Jorku, prawie dwadzieścia lat temu, kiedy sam miał dwadzieścia jeden lat. Kilka miesięcy przedtem Tim Chambers zaczął obdarowywać syna prezentami stosownymi dla młodego mężczyzny zaczynającego dorosłe życie, chociaż porzucił matkę Jacka, kiedy chłopiec miał niespełna pięć lat. Jack studiował geologię na Uniwersytecie Sheffield, był tuż przed końcowymi egzaminami. Któregoś dnia w drzwiach stanął wysoki mężczyzna w jasnym garniturze i w swetrze z golfem. Trzymał butelkę szampana, tomik poezji i zaklejoną kopertę.

- Jack Chambers? - zapytał.

- Tak.

- Jestem twoim ojcem.

Jack zamrugał. To mogła być ta szara postać, którą zapamiętał z czasów, kiedy miał pięć lat. Było w nim coś, co sprawiało, że wyglądał zbyt młodo jak na faceta koło pięćdziesiątki. Miał niemodne długie włosy, odgarnięte do tyłu jak lwia grzywa. Egzotyczna opalenizna sugerowała status społeczny o wiele wyższy niż ten, który zapewniał matce Jacka w czasie ich krótkiego małżeństwa. Było coś jeszcze. Jakkolwiek kosztownie ubrany, nie miał ani butów, ani skarpetek. Jack spojrział na jego bose stopy i powiedział:

- Za pół godziny mam egzamin.

Mężczyzna popatrzył smutno na butelkę szampana w ręce.

- Czas nigdy nie był moją mocną stroną. Czy możemy się spotkać później?

Jack umówił się z nim na schodach do sali egzaminacyjnej. Pisał egzamin w swoistym zamroczeniu, jakby jego głowa zamieniła się w balon wypełniony helem i unosiła go w górę, skąd spoglądał na gryzmołącą figurkę poniżej. Za słabe wyniki obwiniął później ojca i jego teatralne wejście, ale wówczas był zdania, że poszło mu raczej dobrze.

Kiedy było po wszystkim, wyszedł z sali egzaminacyjnej, a ojciec zapytał po prostu „Jak poszło?” Jack miał wrażenie, że przez cały czas czekał na schodach z szampanem i prezentami w rękach. Całe trzy godziny. I te bose stopy.

- Nieźle.

- Cudownie. Zjemy lunch?

Tim Chambers podszedł do sportowej Alfy Romeo, położył butelkę szampana i prezenty na tylnym siedzeniu i zawiózł go do francuskiej restauracji. Jack nie mógł się powstrzymać od zerkania na bose stopy przyciskające pedały. Maitre<sup>4</sup> w restauracji również to zauważył, ale nie powiedział ani słowa. Jack ujął ciężkie, srebrne sztuce i próbował wzorować się na mężczyźnie marszczącym brwi nad menu. Jego oczy spoczęły na małym, okrągłym wisiorku w kolorze kości, wiszącym na szyi ojca jak amulet.

- Pech - powiedział ojciec.

---

<sup>4</sup> Maitre (fr.) - właściciel, szef

- Co?

- Mieć egzamin w dniu urodzin.

- Specjalnie na to czatują.

- Cóż za filozoficzne podejście. Geologia, zgadza się?

Powinieneś był studiować filozofię.

- Masz poczucie winy? Dlatego nagle się pojawiłeś?

Zanim ojciec zdążył odpowiedzieć, pojawił się sommelier<sup>5</sup>. Tim Chambers ze znanostwem zamówił wino.

- Poczucie winy to kompletnie bezużyteczna emocja; jedna z tych, które wyrugowałem ze swojego życia. Mógłbyś pomyśleć o tym samym. - Stał nad nimi kolejny kelner, jego pióro zawisło nad notesem, ale Chambers go zignorował. - Ciekawość i troska: pierwsza, naturalnie, żeby zobaczyć, jakim człowiekiem się stałeś, a jak dotąd podoba mi się to, co widzę; druga, aby dopełnić choć szczątkowo ojcowskich powinności, jeśli mogę i jeśli mi pozwolisz. Wyjaśnij kelnerowi, dlaczego nie weźmiemy bażanta w sosie migdałowym.

Jack spojrzał na kelnera, który świdrującym wzrokiem gapił się gdzieś ponad jego plecami.

- Ponieważ - Tim Chambers sam sobie wyjaśnił - to nie sezon polowań na bażanty; a jeśli go mają, to znaczy, że jest mrożony; a my nie przyszliśmy tu po to, by jeść mrożonki.

Jack nie był pewien, kto właściwie został zganiony, ale kiedy Chambers zamówił filet mignon<sup>6</sup>, on poprosił o to samo. Podczas posiłku Chambers mówił. Jack, zawieszony pomiędzy duszącą urazą i

---

<sup>5</sup> Sommelier (fr.) - osoba sprawująca pieczę nad winami

<sup>6</sup> Filet mignon (fr.) - polędwica wołowa



oczarowaniem miejskim szykiem i hipnotyzującym urokiem ojca, odpowiadał na sondujące pytania głównie monosylabami.

Zanim podrzucił Jacka na uniwersytet, wcisnął mu w rękę szampana, oprawione w skórę wydanie „Piekła” Dantego i zaklejoną kopertę. Zawierała czek na kwotę większą, niż roczna pożyczka studencka.

Tego dnia Jack rozczarował sam siebie. Próbował zachować rezerwę, ale tylko wyszedł na ponuraka. Chciał sprawiać wrażenie odprężonego, a wydał się co najwyżej zahamowany. Nie czuł się komfortowo z myślą, że ojciec przez ten czas mógł przejrzeć go na wylot.

\*\*\*

To wszystko zdarzyło się dawno temu. Teraz Jack leżał wyciągnięty na łóżku w pokoju hotelowym w Chicago i próbował przeglądać dokumenty. Rozpraszały go jednak wspomnienia, zmęczenie wywołane różnicą czasu i tępy ból głowy. Zapadł w sen.

Kiedy się obudził, w telewizji migwały najlepsze momenty z poprzedniego weekendu rozgrywek futbolowych. Gapił się nieprzytomnie w ekran, próbując pojąć działania ludzi ubranych jak bohaterowie z komiksów. Była czwarta nad ranem, a on czuł się całkowicie rozbudzony. Nie było nic innego do roboty, poza skazanym na niepowodzenie wysiłkiem zrozumienia amerykańskiego futbolu.

Michaelson zorganizował Jackowi spotkanie z Louise Durrell w mieszkaniu ojca na Lake Shore Drive. Durrell miała klucze zarówno

do tego mieszkania, jak i do domu w Rzymie. Była córką Chambersa i przyrodnią siostrą Jacka.

Jack dotąd widział ją raz w życiu, przez jakieś dziesięć minut. To także było dwadzieścia lat temu. Jedenastolatka z piegami, słabymi włosami i aparatem na zębach chowała się przed nim wstydliwie. O ile pamiętał, tamtego dnia nie zamienili ani słowa.

Zanim wyszedł z hotelu zadzwonił do swojego biura w Londynie i zostawił pani Price wiadomość na automatycznej sekretarce. Czytał gdzieś o pogardzie Amerykanów dla ludzi chodzących piechotą i zdecydował się na spacer do mieszkania ojca tylko po to, aby pokazać temu nadętemu narodowi, że tak można.

Jeżeli to Bóg stworzył Chicago, z pewnością użył kompasu, kątomierza i suwaka logarytmicznego. W tej uporządkowanej metropolii o czystych liniach, pełnej podniecających krzywizn i słodkich kątów, ekscentryczność oznaczała zaprzeczenie reguł i obrazę dla kunsztu kreślarza. Wlewała jednakże odrobinę ciepłego chaosu w serce zimnej matematyki.

Chicago dawało Jackowi energię. Chciał hałasować na ulicach, słyszeć swój głos odbijający się od ścian ze szkła, stali i betonu. Zadarł głowę w stronę monolitycznych elewacji. Błyszczące wieże przycupnęły na brzegach jeziora Michigan jak migrujące stado spragnionych ptaków o białych nogach, ptaków, które zapomniały odfrunąć.

Źle obliczył odległość i spóźnił się prawie pół godziny. Czekał na niego portier. Na górę wjechał windą, w której dywany, lustra i

całe wyposażenie były zdecydowanie lepsze niż to, co miał we własnym mieszkaniu.

Louise Durrell wpuściła go do mieszkania ojca i zaraz musiał zganić się za myśli co najmniej niestosowne wobec siostry. Miała na sobie dobrze skrojoną, beżową garsonkę i wyglądające na drogie, buty na niskim obcasie. Jej spódnica kończyła się w tym magicznym punkcie jednocześnie odsłaniającym i ukrywającym uda. Jack pomyślał, że ma doskonały gust. Pachniała pieniędzmi, jakby miała je od zawsze; było w tym lekkie tchnienie miękkiej skóry dziecka, nowych banknotów i świadomej powściągliwości. Ten zapach sprawiał, że poczuł się świadomy postrzępionych rękawów swojego płaszcza.

Zawahał się, niepewny, w jaki sposób ma przywitać siostrę, której nie znał. Nie odwzajemniła jego uśmiechu i wydawała się być zniecierpliwiona jego przeprosinami. Zerkała na niego oparta szczupłym ramieniem o ścianę, w pozycji wyrażającej ledwie skrywaną pogardę. Zupełnie jakby był za coś oceniany. Racja, pomyślał, Anglik każdemu potrafi dorównać w rezerwie, więc dlaczego nie tutaj i nie teraz.

Udając, że rozgląda się po mieszkaniu, obserwował ją kątem oka. Louise Durrell uważnie na niego patrzyła. Kiedy spotkał jej spojrzenie, odsunęła z oka zabłąkany kosmyk blond włosów i odwróciła wzrok.

- Co z tym zrobisz? - zapytała.

Nie sypia dobrze, zauważył. Zmarszczki wokół oczu, ciężkie

powieki, zmęczona skóra, coś w nocy nie pozwalała jej zasnąć. Coś ją gnębi.

- Z mieszkaniem? Będę musiał je sprzedać. Sposób postępowania jest prosty. Nie ma tu za dużo mebli, prawda?

Mieszkanie było urządzone w stylu minimalistycznym. Wnętkowe okna były osłonięte elektrycznymi roletami. Na jasnym parkiecie stały trzy sofy obite turkusową skórą. Był tam też barek, imponująco wyglądający sprzęt muzyczny, a na ścianach obrazy, które Jack uznał za kosztowne gówno. Nigdzie nawet atomu kurzu.

Jack nie mógł pohamować niechęci w stosunku do Louise, dziecka, o które Tim Chambers się troszczył. Kiedy przeszukiwał barek, wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Zamiast tego zacisnęła wargi, jednak w jej oczach dostrzegł zaczepkę. Jack postanowił podenerwować ją jeszcze trochę opadając niedbale na jedną z sof.

- Nie znoszę tego koloru - powiedział. - Może usiądziesz?

- Może po prostu dam ci klucze i wyniosę się stąd?

Jackowi spodobała się jej wyrazista postawa. Chciał zapytać ją o setki rzeczy. Była o dziesięć lat młodsza od niego, i o ile wiedział, Chambers uczestniczył w jej wychowaniu. Zastanawiał się, czy pomagała mu w pracy, czy też była tylko traktowaną pobłaźliwie córeczką.

- W porządku. Biegnij. Mam tu parę rzeczy do zrobienia.

- Jakich rzeczy?

- Skomplikowanych. - Jack uśmiechnął się rozbrajająco w

odpowiedzi na jej opryskliwość. Czegoś się nauczył jako woźny sądowy.

Louise otworzyła torebkę i wyjęła dwa pęki kluczy. Każdy był starannie opisany. Jeden *Chicago*, drugi *Rzym*.

- Pomyślałam jedynie, że mogłabym ci w czymś pomóc.

- Widziałaś testament?

- Tak.

- To już wiesz, że nieźle na nim wyszłaś - powiedział Jack.

Długo się namyślała, zanim odpowiedziała.

- Mógł potraktować cię lepiej.

- Nie skarzę się. Nie miałem dla niego szacunku. Nie mieliśmy dla siebie czasu. Nie jestem nawet pewny, dlaczego mam na tym zarobić; wiem tylko, że to lepsza kasa, niż normalnie zarabiam.

- W Anglii jesteś kimś w rodzaju urzędnika sądowego?

- Niezupełnie. Słuchaj, dziękuję ci za pomoc. Mam twój numer - mogę zadzwonić, gdybym potrzebował pomocy?

- Jasne.

- A tak przy okazji - w jaki sposób on umarł?

Louise oderwała się od ściany.

- Nie wiesz?

\*\*\*

Podczas lunchu Louise zaczęła tajać. Chociaż Jack miał nadzieję na amerykańskiego burgera wielkości całej krowy, to po tym, jak powiedział, że posiłek idzie w koszty, wybrała japońską restaurację. Jak się okazało, azjatyckie menu było bardziej tajemnicze, niż

okoliczności śmierci Tima Chambersa, lat sześćdziesiąt sześć; wciąż jednak uwierało go poczucie jakiejś niestosowności.

- Umarł w łóżku. - Louise włożyła do ust kawałek sushi. - Był w towarzystwie dwudziestolatki, a już wtedy miał problemy z sercem. Dziewczyna to histeryczka. Zadzwoiła do mnie, a ja przyjechałam do mieszkania. Wezwałam lekarza. Miał atak serca - nie pierwszy.

- Co się stało z dziewczyną?

- Nie była nikim ważnym. Zgodnie ze swoim życzeniem został skremowany. Przyszły setki ludzi, choć nie sądzę, abyś ich znał, albo lubił. Myślałam, że może przyjedziesz. Jako jego syn.

- Nienawidziłem go. A ty nie?

Jej powieki zadrżały.

- Nie, nie nienawidziłam go, ale pod koniec miałam dla niego coraz mniej szacunku.

- W każdym razie nie wiedziałem o jego śmierci, dowiedziałem się dopiero po kremacji. Nie, żebym chciał przyjechać - opowiedział jej historię o krótkim objawieniu się ojca w Anglii, kiedy Jack był studentem. Louise była uważną słuchaczką. Miał do powiedzenia więcej, znacznie więcej, ale zdecydował, że nie opowie jej wszystkiego.

\*\*\*

Kiedy Jack skończył studia, miał problemy ze znalezieniem pracy, może dlatego, że trzymał się blisko Sheffield. Jego kumple znikali ze sceny jeden po drugim, aż wreszcie zorientował się, że jest chyba ostatnim smutnym, byłym studentem, który każdy wieczór spędza

samotnie w studenckim barze. Pod wpływem desperackiego impulsu zdecydował się skontaktować z człowiekiem, który pojawił się w dniu egzaminu.

Trąba powietrzna nabrała rozpędu. Ojciec chętnie go zaprosił, Jack kupił więc bilet i oświadczył matce, że ma zamiar spędzić sześć tygodni w Ameryce ze swoim ojcem. Prawie dostała apopleksji. Błagała go, aby nie jechał, Jack myślał, że ludzie dramatyzują mówiąc o padaniu na kolana, ale artretyczne stawy jego matki zostawiły wgłębienia w dywanie, płakała. Błagała. Mówiła okropne rzeczy o Timie Chambersie językiem, który go zaszokował.

Ale Jack był zdeterminowany, mimo wszystko wsiadł w samolot i odleciał do przybranej ojczyzny ojca. Tim mieszkał wówczas w Nowym Jorku i podjął go jak młodego księcia. W rękę wciskał mu paczki dolarów, tyle, ile tylko mógł wydać. Zamieszkał w mieszkaniu ojca, dostał Buicka - Buicka! - do użytku. Zaskoczyło go również odkrycie, że ojciec, pośrednik w handlu dziełami sztuki, był zwierzęciem imprezowym z dostępem do ponętnych młodych kobiet i dowolnych ilości marihuany. I poza wyjątkowymi okolicznościami, nigdy nie nosił butów.

- O co chodzi z tymi bosymi stopami? - spytał Jack.

- O co chodzi z tymi butami?

Minął tydzień, zanim Jack spytał ponownie:

- Dlaczego nie nosisz butów?

Ojciec wyglądał na zirytowanego.

- Powiedzmy, że lubię czuć wibracje pod stopami.

Jack więcej nie wrócił do tego tematu, bo poza tym Tim Chambers okazał się tatusiem nad tatusiami. Jack mógł rozmawiać z nim jak z przyjacielem. Był niezrównanym gawędziarzem, mądrym, dowcipnym i wrażliwym. Zwiedził cały świat. Jack nawet nie musiał prosić, aby Tim otworzył swój portfel i wyciągnął plik pieniędzy. Przez jego mieszkanie przewijało się mnóstwo młodych ludzi, w większości z artystycznych środowisk Nowego Jorku. Był przez nich powszechnie podziwiany. To właśnie wtedy Jack po raz pierwszy zobaczył Louise, która przyjechała do domu ze szkoły z internatem i snuła się pośród młodych dorosłych. Dla Jacka była tylko nieciekawym dzieciakiem. Sześć tygodni minęło we mgle wywołanej trawą i wodą, a Jack rzadko widywał Tima. Zbyt dobrze się bawił.

Potem ojciec zamknął się przed nim jak drzwi skarbcza.

Jack ratował się właśnie piwem z lodówki w jego mieszkaniu. Tim zakładał płaszcz aby gdzieś pójść, kiedy powiedział nagle:

- Jutro jedziesz do domu.

- Jutro?

- Tak. - Tim wydawał się roztargniony. Jego umysł był wyraźnie gdzie indziej.

- Skąd ten pośpiech?

Tim długo wpatrywał się w niego twardym spojrzeniem, zanim odpowiedział. W zamyśleniu pocierał palcami kościany talizman, który zawsze miał na szyi, wreszcie powiedział:

- Nie zamierzam dyskutować. Jutro spakujesz swoje rzeczy, weźmiesz taksówkę, pojedziesz na lotnisko i polecisz z powrotem do



Anglii.

- Czy zrobiłem coś nie tak?

- Tu nie chodzi o to, co zrobiłeś. Świat nie kręci się wokół twojego ego. Czas wracać do domu. Powiedzieć do widzenia. - Tim wyciągnął rękę, uściśnął dłoń Jacka i wyszedł.

Przez następne trzy dni nie było wolnych miejsc w samolotach, ale przez ten czas Tim ani razu nie pojawił się w mieszkaniu. Kiedy Jack próbował dodzwonić się do kogoś z masy ludzi, których poznał, byli albo nieuchwytni, albo się wykręcali. Resztę z hojnie mu darowanych pieniędzy wydał na taksówkę na lotnisko. Nad Atlantykiem, wysoko ponad chmurami, Jack rozpamiętywał wszystkie zdarzenia i usiłował dojść, czy mógł *powiedzieć* coś niestosownego.

Podczas lunchu nie opowiedział o tym Louise. Ale coś, co powiedziała, zabrzmiało znajomo.

- Jasne, to był dziwak. Czytałeś manuskrypt, który musisz opublikować?

- Nie miałem czasu.

- Przeczytaj.

- O czym to jest?

Potrząsnęła głową. Jack uznał, że ją lubi. Miała oczy lwicy, teraz zmrużyła je, patrząc na niego.

- Po prostu go przeczytaj. Sam zobacz, kim był. - Potem zwilżyła językiem górną wargę i zaśmiała się, a Jack po raz drugi pożałował, że jest jego siostrą.

- Zrobili kawał dobrej roboty z twoimi zębami - powiedział. -

Kiedy widziałem cię ostatnio, nosiłaś aparat ortodontyczny.

Poczerwieniała i odchyliła się na krześle.

- Więc mnie pamiętasz!

- Tak. Widziałem cię tylko przez pięć minut, ale pamiętam.

- Zraniłeś mnie.

- Co takiego? Nigdy nie zamieniliśmy nawet słowa!

- Właśnie. Wiesz, jak bardzo to zabolalo jedenastoletnią dziewczynkę? - była poważna. - Pozwól, że opowiem ci o tamtych czasach. Tata powiedział mi, że mam brata, i że właśnie przyjeżdża z Anglii. Z Anglii! Wszystkie dziewczyny z mojej szkoły z internatem były chore z zazdrości. Kto wie, może im naopowiadałam, że jesteś jakimś księciem. W każdym razie założyłam śliczną, nową sukienkę i kazałam się uczesać. Wszystko po to, aby poznać tajemniczego brata z Anglii. W wyobraźni widziałam fajnego faceta, któremu będę mogła powiedzieć wszystko, i który będzie mnie traktował jak dorosłą, i będzie mnie kochał, wiesz, o co mi chodzi? I oto zjawili się, ale byłeś zbyt zajęty zabawą z tymi wszystkimi zwariowanymi ludźmi, których tata zwykle zapraszał do siebie. Trzy razy próbowałam się do ciebie odezwać. Wszystko, co udało mi się z siebie wydusić, to był jakiś skrzek. Nie chciałeś spędzić ze mną ani sekundy. Płakałam przez trzy dni. To złamało moje dziecinne serduszko. Wróciłam do szkoły i powiedziałam przyjaciółkom jak świetnie spędzaliśmy czas i jak kupiłeś mi naszyjnik u londyńskiego jubilera, ale był tak cenny, że nie pozwolono mi go zabrać do szkoły i pokazać.

Jack przypomniał sobie wpatrzoną w niego jedenastolatkę z

wyłupiastymi oczami i nerwowo trzepoczącymi powiekami.

- Och.

- To była najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu zdarzyła.

Naprawdę.

- Proszę. - Jack zrobił dotąd bardzo niewiele rzeczy, których musiał się wstydzić. Teraz poczuł się jak dzieciak zabijający gołębia pociskiem z procy.

- Nie mogłeś o tym wiedzieć. To była taka dziewczynska fascynacja. Zdarzyła mi się w wieku, kiedy naprawdę mogłam przywyknąć do starszego brata.

Jack zapomniał o swoim opanowaniu. Impulsywnie chwycił jej dłoń i ucałował chłodne, długie palce.

- Czy mogę to nadrobić? Nadal mogłabyś przywyknąć? Mam na myśli starszego brata?

Zaskoczona spojrzała na niego.

- Mogłabym przywyknąć do wódki z tonikiem.

## TRZECI

Lunch z Louise poszedł dobrze, a jej początkowa wrogość zniknęła zanim pojawiło się główne danie. Wciąż nie do końca zachowywała się jak siostra (choć Jack nie miał ani porównania, ani tym bardziej innej siostry), poza tym zbyt pięknie pachniała. Kiedy nieoczekiwanie pocałował jej dłoń, jeszcze długo potem czuł jej zapach. Była ostra, bystra i łatwo się śmiała. Nie widział nic dziwnego w pomyśle, że powinni działać razem, skoro połowa ich garnituru genetycznego była wspólna. Ale dla obojga dziwna była świadomość, że mają tego samego ojca, choć dotąd byli sobie całkowicie obcy.

Louise zostawiła Jackowi numer telefonu. Wrócił do mieszkania, otworzył drzwi kluczami, które od niej dostał. Chciał pobyc tam sam, poczuć to miejsce, może ducha swojego ojca. Stał na środku pozbawionego charakteru holu i przyglądał się obrazom na ścianach. W mieszkaniu dał się wyczuć słaby zapach kadzidła, może drewna sandałowego. Jack pamiętał tę woń z czasów pierwszego pobytu w Nowym Jorku.

Sypialnia była gustownie umeblowana. Na toaletce leżała szczotka do włosów, wydzielająca ciężki zapach włosów. Wciąż tkwiło w niej kilka srebrnych nitek. Gabinet był niewiarygodnie uporządkowany - stał tam komputer, regał z książkami i osobne biurko do pisania. W całym pomieszczeniu tylko niechlujnie zapisany notes był oznaką nieładu. Był pokryty fantastycznymi zakrętasami:

czarnymi spiralami, muszlami, cylindrami, stożkami jak kapelusze czarowników, księżycami i gwiazdami, numerami telefonów. W rogu, na jednej z kartek, ktoś zapisał łacińskie zdanie: *auribus teneo lupum*<sup>7</sup>.

Jack szybko odkrył sekret skrupulatności swojego ojca. Jedyne wolne pokój w mieszkaniu był zawalony gratami, zupełnie jakby złożono w nim wszystkie niechciane rzeczy zalegające w pozostałych pomieszczeniach. Podczas gdy tu i ówdzie piętrzyły się stare magazyny i żółknące gazety, całą resztę wrzucono do środka i zatrzaśnięto drzwi, zanim przedmioty zdążyły opaść na podłogę. Jack pomyślał z rezygnacją, że trzeba to wszystko wyrzucić, zanim mieszkanie zostanie wystawione na sprzedaż.

\*\*\*

Przed powrotem do Drake'a Jack spędził trochę czasu w centrum miasta. Przechadzał się w kółko między żelaznymi podporami i nitowanymi dźwigarami przenoszącymi wibracje brudnych pociągów jeżdżących po wiadukcie. Ulica zgrzytała i terkotała jak miazdżona w szczękach demona. Za każdym razem, gdy górą przejeżdżał pociąg, czas nad Chicago jakby stawał na chwilę w miejscu, a potem znów ruszał, zanim wysmagani wiatrem ludzie zdążyli się zorientować.

Wróciwszy do Drake'a Jack opadł na wysłane poduchami łóżko i otworzył akta przekazane mu przez Michaelsona. Chciał się przekonać, dlaczego Louise tak nalegała, aby przeczytał manuskrypt. Kartki były luźno połączone i wsunięte w plastikową teczkę z zatrzaskiem. Otworzył ją i odkrył, że były czyste. Nic. Przerzucił

---

<sup>7</sup> *Auribus teneo lupum* - łac. powiedzenie, dosł. „trzymać wilka za uszy”. Oznacza ono znalezienie się w niebezpiecznej sytuacji, której rozwiązanie może być jeszcze gorsze.

kartki, przekręcił manuskrypt do góry nogami i tyłem do przodu, próbował nim potrząsać, sprawdzał, czy coś wypadnie spomiędzy okładek. Wreszcie cisnął go na łóżko i wziął testament.

Czytając go ponownie, jasno widział związek między „załączonym” manuskrytem i wskazówkami, że powinien zostać opublikowany w profesjonalnym wydawnictwie, z zachowaniem wysokich standardów. Określono wielkość czcionki, ale nie było żadnych wskazań dotyczących rozpowszechniania i sprzedaży kopii. Wykonawca ostatniej woli miał dopilnować, aby wydawca nie zmienił nawet jednego słowa w manuskrypcie: „ze względu na ogólny brak zaufania do wydawców”.

Louise podczas lunchu była niezbyt chętna do objaśniania zawłości manuskryptu. Bawiła się trochę jego kosztem. Jack obejrzał wszystko jeszcze raz, przerzucił stronę po stronie i w końcu upuścił kartki na łóżko. Potem się podniósł, przygotował sobie kąpiel i zanurzył się w wannie, zabierając ze sobą butelkę whiskey.

Z butelką spoczywającą na piersi i w powoli stygnącej wodzie zasnął. Przyśniła mu się graciarnia w mieszkaniu ojca. Wszystko zaczęło się stamtąd wyślizgiwać a Jack, stojący w drzwiach, nie mógł temu zapobiec.

Ocknął się, wyszedł z wanny i osuszył. Myśli o Louise wywołały u niego erekcję. Żałował, że nie zaprosił jej na kolację. Ale Jack był nieco nieśmiały, bał się odrzucenia i dlatego rzadko o coś prosił.

Manuskrypt wciąż leżał na łóżku. Chcąc odwrócić uwagę od lubieżnych myśli o siostrze, Jack znów go podrósł, przekartkował i

osłupiał. Pierwsza strona była zapisana. Przejrzał resztę kartek. Wszystkie były zapisane, litery były blade i niepewne, ale z każdą chwilą robiły się wyraźniejsze.

Wrócił do strony tytułowej:

**NIEWIDZIALNOŚĆ:  
INSTRUKCJA OBSŁUGI ŚWIATŁA**

*Timothy Chambers*

Był tam krótki wstęp. Czytając go, Jack słyszał dźwięczne samogłoski swojego ojca:

To tylko dziecinna sztuczka, efekt działania specjalnych chemikaliów dodanych do atramentu, nic ponadto. Słowa były tam przez cały czas, ale kiedy złamałeś pieczęć na teczce, w temperaturze pokojowej atrament zaczął się utleniać. Przepraszam za ten chytry zabieg, chciałem przyciągnąć twoją uwagę, gdyż temat tego przesłania jest niezwykły. Nie mogłem pozwolić sobie na ryzyko, że mnie zlekceważysz. Pewne odkrycia nie powinny trafić do ogólnej wiadomości, zatem dopiero po długich rozważaniach zdecydowałem się działać dalej. Prawdę mówiąc, robię to z lękiem. Mimo wszystko, *auribus teneo lupum*.

Jack zastanawiał się, czy wstęp skierowany był do kogokolwiek, kogoś, kto pierwszy otworzy teczkę, czy też konkretnie do niego, Jacka Chambersa. Łacińskie przysłowie na końcu było, jak sądził, tym

samym, które znalazł między gryzmołami w notesie na biurku ojca. Jack nie miał pojęcia, co znaczyły te słowa.

Usiadł ze swoją szkocką, aby przeczytać manuskrypt. Zaczynał się od zawiłego wprowadzenia, wyrażonego w zdecydowanie poetyckim języku. Jack usiłował czytać uważnie, ale po pierwszych trzydziestu stronach uznał, nie pierwszy raz w swoim życiu, że jego ojciec był fantastą. Koncepcja niewidzialności została potraktowana dosłownie; to znaczy, manuskrypt instruował, jak stać się niewidzialnym dla innych. Opisano w nim ćwiczenia, z których większość wymagała siedzenia w ciemnościach. Kiedy Jack doszedł do części zachęcającej, aby na dwie godziny zamknąć się w szafie i wizualizować sobie fioletowe światło, parsknął z niedowierzaniem i rzucił manuskrypt na łóżko.

\*\*\*

Pewnego wieczoru w Nowym Jorku, całe lata temu, Tim Chambers urządził huczne przyjęcie, które, jak zawsze, przyciągnęło tłumy olśniewających, młodych ludzi. Było mnóstwo wódki i prochów, a po północy, kiedy każdy starał się jakoś pozbierać swój mózg, Tim, co Jack uznał za część zabawy, kazał mu siedzieć w szafie i wypatrywać „fioletowego światła”. Jack, w dobrej wierze, postąpił zgodnie z instrukcjami ojca, pozwolił zamknąć się w szafie, ale po jakimś czasie po prostu zasnął. Kiedy stamtąd wyszedł, zamroczony i zakłopotany próbował dołączyć do towarzystwa, ale wszyscy udawali, że go nie widzą. Ignorowali go. Wreszcie złapał jakąś dziewczynę za ramię, a



ona wrzasnęła jak oparzona. Całe towarzystwo zgromadziło się wokół niej.

- Ktoś mnie złapał za ramię! - upierała się.

Wtedy Tim „zobaczył” Jacka.

- A! Tutaj jest! Jest Jack! Gdzieś ty, do cholery, był?

- W szafie - parsknął śmiechem.

Wszyscy wokół mieli puste, nieobecne spojrzenia.

- Hej - powiedział Jack. - Dowcip to dowcip.

Ale wszyscy wydawali się zaangażowani w konspirację, którą bez wątpienia dyrygował jego ojciec i zaprzeczali, jakoby Jack w ogóle był zamknięty w szafie. Jack zaczął się zastanawiać, co było w skrętach, które palił. Poczłł paskudne ukłucie paranoi, kiedy patrzył na otaczające go, osłupiałe twarze. Ktoś zaproponował mu kolejnego skręta, ale on odmówił, mówiąc, że chyba ma już dość.

Na to wszyscy zaczęli się śmiać, jakby był co najmniej Oskarem Wilde'em.

\*\*\*

- Czy on był chory umysłowo? - spytał Jack.

- Miał osobowość - odparł Michaelson. - Oby więcej takich ludzi.

Drzwi do biura Michaelsona otworzyły się i stanęła w nich młoda Latynoska niosąca tacę z kawą. Miała na sobie tunikę w kolorze strażackiej czerwieni i niewiarygodnie krótką spódnickę. Postawiła tacę na biurku Michaelsona i napełniła filiżanki. Kawa zabułgotała i napełniła pomieszczenie swoim aromatem.

- Może i miał osobowość - powiedział Jack, wciąż gapiąc się na dziewczynę nalewającą kawę - ale uważam, że był niezłe stuknięty.

- Po prostu uwielbiam twój akcent - powiedziała sekretarka Michaelsona. Skończyła nalewać kawę i stała z rękoma splecionymi za plecami, co sprawiało, że jej biodra były nieco wysunięte. - Mogłabym cię słuchać cały dzień.

- Sally, Jack przyjechał, aby zająć się nieruchomościami Chambersa - powiedział lekko Michaelson, jakby omawianie spraw klientów z sekretarką było całkowicie normalne.

- Przez kilka dni będzie w Chicago sam.

- Ktoś powinien coś z tym zrobić - oświadczyła Sally wychodząc.

- Wspaniała dziewczyna - stwierdził Michaelson, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

- Pytałem, czy według pana był chory.

- Nigdy nie było wiadomo, w jakim nastroju się go zastanie. I tak to zostawmy.

- Ma pan jakieś nowe informacje o tej Shearer?

- Oczywiście. Natalie Shearer jest w Rzymie. Nie udało mi się skontaktować z nią telefonicznie, ale możemy kogoś tam posłać.

- Ile to będzie kosztować?

- Ani grosza. Zostanie to odliczone od wartości nieruchomości. Był pan kiedyś w Wiecznym Mieście? To potworny śmietnik. Nie chciałby pan tam nikogo szukać.

- Zastanowię się nad tym.

- Pańska sprawa. Podzielę się z panem informacjami, które posiadam. Jak dogadał się pan z Louise Durrell? Drażliwe stworzenie, prawda?

- Nie, jest w porządku. - Jack uznał, że nie lubi Michaelsona.

W sekretariacie Sally zapoznała Jacka z informacjami o pobycie Natalie Shearer w Rzymie. Zasypała go pytaniami, przetasowała akta i zanim zakleiła kopertę, polizała ją dwukrotnie. Potem zapytała:

- Masz ochotę gdzieś wyskoczyć?

Jack od czasów dojrzewania chciał spotkać kobietę, która będzie tak bezpośrednia, ale teraz tylko zamrugął.

- Nie ma pośpiechu - powiedziała Sally.

## CZWARTY

Aby osiągnąć moc Niewidzialności, potrzebna jest wielka cierpliwość. Zanim pójdziemy dalej, wyjaśnię moją terminologię, po to jedynie, aby dać ci możliwość odłożenia Instrukcji Obsługi Niewidzialności, jeśli uznasz, że nie chcesz mieć z tym więcej do czynienia. Gwoli precyzji: mówię o doskonaleniu sztuki znikania. Nie o sztuczkach, zaklęciach, hipnozie, czy innych oszustwach. Ale o stawaniu się niewidzialnym dzięki siłom psychicznym. Mówię o znikaniu dzięki sile umysłu.

Nie twierdzę, że pokażę ci, jak stać się bezcielesnym. Moje własne możliwości nigdy nie sięgały tak daleko. Z mojego doświadczenia Niewidzialności wynika, że nie można stracić cielesności. Tak więc mówimy tu o fenomenie optycznym. W chwili wejścia w kontakt fizyczny za pomocą oddziaływania na ciało poprzez, powiedzmy, dotyk, zaklęcie (z braku innego słowa) zostaje natychmiast złamane. To oczywiście może być stresujące lub nawet przerażające dla osób nagle świadomych obecności ciała, którego dotąd nie można było zobaczyć. To może zniweczyć twoją chęć pozostania niewidzialnym. Jednak powody, dla których chcesz to zrobić, to nie moja sprawa.

Przekazuję te informacje osobom zarówno czystego, jak i nieczystego ducha.

Teraz powinno być dla ciebie jasne, że nie mówię o

przeniesieniu realnego ciała w inny wymiar czy na inną płaszczyznę, ani o żadnych tego rodzaju nonsensach. Mówię konkretnie o staniu się niemożliwym do zobaczenia, ni mniej, ni więcej.

Już starożytni posiadli tę umiejętność. Żywię przekonanie, że takie praktyki miały wpływ na wielkie momenty w historii. Rozważ rozwój imperium rzymskiego, powiększającego swój obszar raczej na drodze kolonizacji, niż podboju, rozważ rozwój ludzkiego gatunku wreszcie. Kto był matką Rzymu? Odpowiedź brzmi Rea Sylwia, matka Romulusa i Remusa. Rea Sylwia była westalką, dziewicą poświęconą bogini, strażniczką świętego płomienia, zgwałconą w świętym gaju Marsa przez istotę *niewidzialną*, a przygoda przydarzyła jej się podczas zaćmienia słońca, ukrywającego niebiosa w ciemnościach.

Nie twierdzę, że to ja byłem tą zjawą (zupełnie szalony, wzdychasz). Chyba wiem, kto to był i jak tego dokonano. Ale zbytnio wybiegam naprzód. Jeżeli zechcesz podążać za moimi wskazówkami, będziesz potrzebował dużo cierpliwości, ćwiczeń i poświęcenia.

Starannie, z uporem i bardzo uważnie trzeba przejść przez siedem etapów (czyż nie zawsze jest ich siedem?), każdy z nich wykonywać po kolei i perfekcyjnie. Z mojego doświadczenia wynika, że najmniejszy błąd, choćby niewielka utrata koncentracji na którymś z etapów sprawia, iż ćwiczący musi zaczynać od początku. Niektóre kroki wymagają godzin a nawet dni pracy. Błąd czy też dekoncentracja w dalszych częściach procedury mogą być głęboko zniechęcające. Ale też nigdy nie twierdziłem, że proces osiągnięcia

Niewidzialności jest łatwy.

Oto siedem słów kluczowych: Kolor, Światło, Chmura (lub Oddech), Dym, Ciemność, Indygo i Pustka. Przedstawię siedem ćwiczeń w przystępnym i prostym języku, bez tajemnic i nieudomówień. Ty, w zamian, musisz zrozumieć, że ćwiczenia nie dadzą rezultatów za pierwszym razem, a czasem nawet za dwudziestym pierwszym. Ale zapewniam, że ostateczny efekt będzie zaskakujący.

Słowo ostrzeżenia. Na tym etapie działania twój sceptycyzm może być skrajnie szkodliwy dla przedsięwzięcia, które zamierzam ci zaproponować. Takie podejście nie tylko spowoduje porażkę, sprowadzi również na twój umysł bardzo realne niebezpieczeństwo; realne zarówno w sensie fizycznym, jak psychicznym. Jeśli nie jesteś w stanie porzucić swoich racjonalnych obaw, zalecam z naciskiem, byś nie przekraczał bramy tego rozdziału.

Mimo wszystko, trzymam wilka za uszy.

## PIĄTY

W Drake'u czekały na Jacka dwie wiadomości. Jedna była od Louise. Umówiła się ze znajomymi w barze w centrum i zapraszała, by do nich dołączył. Oddzwonił i zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce, wyjaśniając dokładnie, dokąd zamierza pójść. Druga wiadomość pochodziła od pani Price, jego sekretarki w Londynie. Pojawiły się komplikacje w związku ze sprawą Birtlesa. Wiedział, że jeśli zadzwoni natychmiast, to pomimo różnicy czasu może jeszcze ją złapać w biurze. Zdecydował, że tego nie zrobi.

Chciałby dołączyć do Louise, ale już umówił się z apetyczną Sally zaraz po pracy, w barze o nazwie Rock Bottom. Dobrze mu szło, uznał. To dopiero druga noc w Stanach, a miał już dwie propozycje randek; jedną, którą Sally z ironią określiła jako gorącą, i jedną siostrzaną z Louise, chociaż bez podtekstu, w końcu siostra to siostra. Minęło przeszło dwanaście miesięcy od czasu, kiedy zaliczył coś, co od biedy dałoby się nazwać randką.

Jeśli chodzi o kobiety, Jack był chodzącą katastrofą. Kłopoty, jak niewidzialna mała, siedziały mu na ramieniu, a przecież kobiety uwielbiał. Trzy czwarte swojego życia spędził wpatrując się w nie w żalonym oczekiwaniu: z okna jego biura, kiedy przechodziły obok; z samochodu, kiedy wyprzedzały go na światłach; z górnej platformy londyńskiego autobusu, kiedy szły swoją drogą; z dołu ruchomych schodów, kiedy sunęły w górę. Zżerała go niezaspokojona potrzeba

poświęcenia się nie tylko jednej z nich, ale wszystkim. Na odległość.

Brak pewności siebie nie pozwalał mu podjąć konkretnych działań, czekał, aby coś zdarzyło się samo. A kiedy wreszcie się zdarzało, zwykle w postaci kobiety, która wykazała zainteresowanie, uzdrawiało go to, spalało i łamało, wszystko naraz.

Jego problem z kobietami polegał na tym, że z łatwością potrafił je przejrzeć. W pewnym sensie były dla niego przezroczyste. Dostrzegał kłamstwka, zauważał nieszczerzy uśmiech, wychwytywał znudzenie i utratę zainteresowania, widział, kiedy były zranione, ale udawały szczęśliwe. Potrafił czytać z ich twarzy. Każdy mięsień, linia, zmarszczka, fałdka, skrzywienie, drgnięcie czy skurcz były dla niego jak litery alfabetu. Szczególnie podczas aktów miłosnych. Wtedy mówiły rzeczy, których wolałby nie słyszeć.

\*\*\*

Wczesnym wieczorem Chicago było pełne pracowników biurowych, wlewających się do barów. Rock Bottom był zapchany do granic możliwości. Głośna muzyka łomotała w rytmie zatrzymującym serce, jednocześnie nie było jej słychać poprzez rozmowy. Wyglądało to jak picie podczas bessy na giełdzie: wszyscy wokół, zaczerwienieni, wrzeszczeli do siebie, nabuzowani interesami zrobionymi w ciągu dnia i wieczorną wódką w promocji. Sally usadowiła się na wysokim stołku barowym, eksponując nogi obleczone w połyskujące pończochy. Jej ciemne oczy lśniły, a błyszczący na ustach migotał. Zajęła mu stołek, a on, mrużąc oczy od dymu, przecisnął się do niej.

- Przyszedłeś! - uściskała go, ale jednocześnie wydawała się



patrzeć gdzieś ponad jego ramieniem. Odgarniając do tyłu swoje błyszczące, czarne włosy, Sally gadała tylko po to, aby gadać, podczas gdy Jack zamawiał amerykańskie piwo. - To świetne miejsce. Niezły tłum. Czy to przypomina angielskie puby? Tak? Nie? Mniej więcej tak sobie wyobrażam angielski pub. Wciąż mieszkasz w Drake'u? Kiedyś tam spędziłam jedną gorącą noc! Dlaczego nie zatrzymałeś się w tym mieszkaniu? Znaczący, w mieszkaniu twojego starego? Czy...

- To był pomysł twojego szefa, żebym zatrzymał się w Drake'u.

- Jack już wiedział, że aby pogadać z Sally, trzeba jej przerwać.

- To cały Mike! - przyglądała się ludziom w barze. - Lubi zabierać tam swoją kochankę, a jeśli masz w hotelu otwarty rachunek, zakosi kilka nocy na twoje konto. To dlatego go polecił, jednak muszę powiedzieć...

- Próbował mi powiedzieć, że zaoszczędzę.

- Ech, on dużo rzeczy mówi - wciąż ponad jego ramieniem obserwowała bar. - Ciągle klepie mnie po tyłku. Czy...

- Czekasz na kogoś?

- Czekam? Niezupełnie. Uwielbiam twój akcent. Jak ci się podoba Chicago?

- Wietrzne.

- Wietrznym Miastem nie jest nazywane ze względu na wiatr; tak naprawdę...

- Wszyscy mi to mówią, ale zdradzę ci sekret: nadal jest bardzo wietrzne. Sally, czy jesteś pewna, że na nikogo nie czekasz?

Do baru podszedł mężczyzna w popielatym garniturze. Miał

spojrzenie myśliwego. Jackowi wydawało się przez moment, że wszyscy zamilkli; ale tym, co naprawdę poczuł, był jakiś niewidzialny sygnał, coś w rodzaju porozumienia kochanków. Mężczyzna zobaczył go z Sally, zerwał nagle tę niewidzialną nić i odwrócił się. Oczy Sally zwięzły się do ciemnych szparek. Odstawiła kieliszek, oparła się wypielęgnowaną dłonią na ramieniu Jacka i powiedziała:

- Powiem ci trzy niesamowite rzeczy o Chicago. Po pierwsze...

Nad ramieniem Sally Jack zauważył nową grupę ludzi wchodzących do baru. Położył palec na jej ustach.

- Stop! Przyleciałem tu samolotem z silnikiem Rolls-Royce'a. Nie przypląnąłem na tratwie.

- Uwielbiam sposób, w jaki mówisz tratwa - uświadomiwszy sobie, że Jack już ma jej numer, Sally opuściła ramiona. - Okay. Coś ci wyjaśnię. Przyznaję, że potrzebowałam dziś wieczorem towarzystwa, żeby tamten facet zobaczył... ale wiedz też, że chciałam pójść na randkę z kimś szczególnym, tylko z kimś, kogo szanuję...

- Przestań. Przestań mówić. Chcesz, aby był zazdrosny?

- ...kimś, kogo mogłabym, chciałabym, nie *użyć*, ale z kim mogłabym się zaprzyjaźnić, i kto...

Musiał położyć dłoń na jej ustach, aby wreszcie zamilkła.

- Na trzy, masz się głośno roześmiać. Jakbym powiedział najzabawniejszą rzecz, jaką w życiu słyszałaś. Szlag go trafi. Pomyśli, że skoro tak cię rozbawiłem, mam cię w garści. Nie patrz; widzę go ze swojego miejsca. Potem unieś dłoń do ust, jakbyś była zakłopotana, że tak dobrze się bawisz w miejscu publicznym. Gotowa? Raz, dwa,

trzy...

Sally była dobra. Zapiała śmiechem, od którego zatrzęsł się sufit. Głowy ludzi w barze zaczęły obracać się w ich stronę.

- To było dobre - skostatował z uznaniem Jack. - Pauza na oddech i zrobimy to jeszcze raz. Tym razem będę szeptął.

- Patrzy? Patrzy?

- Szarpie swój kołnierzyk. Krew go zalewa. Gotowa na powtórkę? Raz, dwa...

Wyglądało na to, że wszyscy inni też patrzą. Śmiech Sally był tak przekonujący, że prawie spadła ze stołka; machała dłonią w powietrzu, chłodząc policzki; do ust przycisnęła malutką chusteczkę. Dali niezłe przedstawienie. Jack zaczął myśleć, że może faktycznie jest najzabawniejszym człowiekiem w Chicago.

Wtedy poczuł, że ktoś wciska się na miejsce obok niego.

- Dobrze się bawisz?

- Louise! Nie spodziewałem się ciebie tutaj. Pozwól, że przedstawię ci Sally.

- Zabawny facet - powiedziała Sally.

- Z pewnością - odparła Louise. - Dostałam twoją wiadomość. Są tu ludzie, których powinieneś poznać.

- Hej! Nie kradnij mi chłopaka! - zaprotestowała Sally.

Jack machnął ręką.

- Trzymaj dla mnie stołek, Sally. Twój kumpel będzie tu za dwie minuty. Zaufaj mi.

Przeciskał się za Louise przez tłum, w stronę jej przyjaciół.

- Właśnie przyszliśmy - powiedziała Louise.

- Wiem. Widziałem, jak wchodziliście.

Przyjaciele Louise byli życzliwymi mieszkańcami Chicago; kupowali mu drinki, grali w bilard i pozwalali mu wygrać. Louise zapytała go o „kobietę przy barze”, a on udzielał należycie wymijających odpowiedzi.

- Nie jest chyba w twoim typie - powiedziała, kiedy złożył się do uderzenia. - W każdym razie właśnie wychodzi.

- Z facetem w szarym garniturze.

- Co się dzieje?

- Ja tylko gram w bilard.

Wtedy jeden z przyjaciół Louise postanowił zepsuć mu wieczór, mówiąc:

- Hej, słyszałem, że w Anglii byłeś gliną. - Spojrzał znad stołu bilardowego na Louise, jej powieki zadrgały. Zastanawiał się, jak dużo o nim wie.

- Bobby - powiedział Jack. - W Anglii mówimy bobby.

Na zewnątrz lał deszcz, więc Louise odwiozła go do Drake'a. W samochodzie Jack spytał ją o ojca.

- Co wiesz o tej Natalie Shearer w Rzymie?

- Nic nie wiem o jego tamtejszym życiu. Wyraźnie oddzielał mnie od tych spraw. Podejrzewam, że działały się tam rzeczy, o których nie chciał, abym wiedziała.

- Jakie rzeczy?

Louise zapaliła papierosa i uśmiechnęła się.

- Rzuciłeś okiem na jego rękopis?

- Bełkot, absurdalny bełkot.

- Musiałam go przepisać.

- Wiedziałaś o tej sztuczce z atramentem?

- Tak. Chciał wiedzieć, czy dałoby się go wydać w taki sposób.

Da się, ale to obłąkańczo kosztowne. Wiesz, ile kosztowała ta mała sztuczka, tylko dla twojej rozrywki?

Siedzieli w aucie dłuższą chwilę, w końcu Louise powiedziała:

- Przepraszam, że wspomniałam o tej sprawie z policją. Nie wiedziałam, że wprawi cię to w zakłopotanie. Tata powiedział mi, że zostałeś gliną, aby go wkurzyć. Czy to prawda?

Jack roześmiał się.

- Nie wszystko kręciło się wokół taty.

Chciał, aby weszła do jego pokoju na drinka przed snem, ale nie potrafił poprosić. Mimo że już wyłączyła silnik. Mimo że zapaliła papierosa i opuściła okno po swojej stronie, aby nie zaparowało. Mimo że gawędzili swobodnie przez kilka minut, zanim wreszcie wysiadł z samochodu i powiedział dobranoc. Był wściekły na siebie. Była jego siostrą, a w zaproszeniu nie było niczego niestosownego; ale znów tego nie zrobił.

Po tym, jak odjechała, Jack stał w wejściu do Drake'a i spoglądał na zalaną deszczem chicagowską noc. Była jak beczka po oleju, rozmazana i pełna kolorowych smug, poprzecinana czerwonymi błyskami świateł samochodów i niebieskich neonów. Ciemność zamknęła się nad miastem wieżowców. Coś nowego i zimnego

nadchodziło z nad Jeziora Michigan. Deszcz był tylko tego zwiastunem.

\*\*\*

Następnego dnia Jack wymeldował się z Drake'a i wprowadził do mieszkania ojca. Krążył po pokojach, czuł, że w tym kompulsywnym porządku musi ukrywać się duch. Jack wierzył w duchy, takie unoszące się w zapachu szczotki do włosów, wirujące w kłębkach kurzu prześwietlonych porannym słońcem odbijającym się w ogromnym jeziorze. Wyczuwał tutaj coś, co wywoływało odległe wspomnienia, jakieś niejasne wrażenie lęku. Przypominało to próbę wyłapania śladu feromonów, jednej tylko nuty w złożonej fali zapachu wywołanej najczęściej strachem lub pożądaniem. Jack zawsze myślał o tym jak o przejściu pomiędzy samym zapachem a czymś pośrednim - białym szumem, jak o sygnale, który niegdyś wysyłał ojciec. Odczuł to jak ostrzeżenie.

Kiedy Jack w trybie pilnym został odprawiony z Nowego Jorku, spędził wiele godzin na zastanawianiu się co mógł powiedzieć, albo zrobić nie tak. Minęły całe miesiące, zanim napisał list z prośbą o wyjaśnienie. Nie doczekał się odpowiedzi, więc w końcu zadzwonił. Tim Chambers rzucił na sprawę odrobinę światła, powiedział mianowicie Jackowi, że jest zbyt wrażliwy i nieoczekiwanie, po raz kolejny zaprosił go do siebie.

Jack wziął go za słowo, odłożył trochę pieniędzy i zorganizował sobie powrót do Nowego Jorku. Kiedy zadzwonił, aby zawiadomić o swoim przyjeździe, ojciec rozmawiał z nim wymijająco, był

roztargniony, prawie jakby nie wiedział, kim jest Jack. Ale pojechał i tak. Tym razem ojciec zachowywał się tak, jakby był całkowicie obcą osobą. Ich pierwsza rozmowa w Nowym Jorku toczyła się przez trzeszczący domofon.

- Kto?

- Jack.

- Jaki Jack?

- Z Anglii. Twój syn, na litość boską.

- Czego chcesz?

- Czego chcę? Chcę się z tobą zobaczyć, to wszystko!

- Dlaczego?

- Mogę wejść?

- To nie jest dobry moment. Przyjdź kiedy indziej.

Jack upuścił swój plecak na chodnik i usiadł na nim. Po chwili ponownie nacisnął brzęczyk, zdecydowany, że tym razem nie da się spławić. Dzwonek dzwonił, nikt jednak nie odpowiadał. Zdumiony i skonsternowany Jack pojechał do kolegi, którego poznał poprzednim razem, ale wrócił następnego dnia.

Scenariusz powtórzył się. Dygocząc ze złości, bliski łez, powiedział:

- Jeśli mnie nie wpuścisz, wyważę drzwi. Zamek kliknął i odezwał się brzęczyk. Wpuścił go.

Ojciec stał na środku mieszkania z opuszczonymi ramionami. Miał na sobie chińską, jedwabną szatę i jak zwykle, był boso. Nie spuszczał oczu z Jacka.

- Nie lubię pogrózek.

- Więc dlaczego mnie zapraszałeś, skoro nie chcesz mnie widzieć?

- Zapraszałem?

- Przez telefon. Zaprosiłeś mnie, abym przyjechał.

Mężczyzna potrząsnął głową. To właśnie wtedy po raz pierwszy Jack wyraźnie wychwycił coś, co emanowało z postaci Tima Chambersa: sygnał ostrzegawczy, biały szum, zapach i metaliczny smak oblepiający jego język. Umysł ojca wydawał się poruszać jak naoliwiona machina po stalowych torach.

- Brak ci precyzji. Usłyszałeś tylko, jak czynię zachęcającą, przyjacielską uwagę. Zinterpretowałeś ją jako zaproszenie i oto pojawiłeś się pod moimi drzwiami.

Jack był zdezorientowany.

- A co z tym wszystkim? - miał na myśli prezenty, przyjęcia, zabawę.

- Znów brak precyzji.

- Więc chciałeś sobie pobyć tatusiem tylko przez kilka dni, tak?

Chambers ruszył energicznie w jego stronę, aż przestraszony Jack uskoczył na bok. Tymczasem ojciec podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. Ktoś szybko odpowiedział. Jack słyszał, jak ojciec mówi:

- Słuchaj, jest tu młody człowiek, który twierdzi, że jest moim synem. Tak, z Anglii. Tak. Tak. Dziękuję. - Chambers z niewiarygodną delikatnością odłożył słuchawkę na widełki, odwrócił



się do Jacka i powiedział: - Wygląda na to, że mówisz prawdę. Wobec tego masz moją sympatię. Ale ujmę to w taki sposób: nie jestem numerem w twojej szafie grającej. Nie możesz włączyć sobie sentymentalnej i ojcowskiej piosenki, kiedy tylko ci się zechce.

Jack poczuł uderzenie gorąca.

- Dlaczego mówisz do mnie w taki sposób? Nie rozumiem tego.

- Kim jesteś? Tak, wiem, jesteś Jack, i wiem, skąd przyjechałeś. -  
Podszedł do drzwi przytrzymał je otwarte, aby Jack mógł wyjść. -  
Chcę, abyś wrócił. Naprawdę. Ale najpierw dowiedz się, kim jesteś.

Jack był nieznośnie zawstydzony, upokorzony i bezsilny. W tej chwili pragnął jedynie zranić swego ojca, ale nie chciał tego robić jak porzucony mały chłopiec drżący z gniewu i bólu, wezwany tylko po to, aby odebrać piekący policzek. Wyszedł z mieszkania bez słowa i wrócił do domu, do Anglii. Podczas jego nieobecności umarła matka.

Dwadzieścia lat później Jack stał w aseptycznym mieszkaniu ojca, wściekły, że ostatnie myśli matki musiały krążyć wokół powrotu syna do marnotrawnego ojca. Gdzieś w tym mieszkaniu nadal go wyczuwał - wyczuwał jego niechętną, wręcz odstręczającą obecność, zapach i powracający echem biały szum.

\*\*\*

Jack wykonał rzetelną wycenę nieruchomości Tima Chambersa. Zadzwoił do pośrednika, aby określić wartość mieszkania. Biorąc pod uwagę lokalizację w „złotej mili” Lake Shore Drive, pośrednik określił jego wartość na sześćset tysięcy dolarów. W kwestii wyceny

mebli i dzieł sztuki wiszących na ścianach, potrzebował pomocy Louise.

Zaczął zdejmować obrazy ze ścian i sprawdzać, czy z tyłu nie ma jakichś informacji. Na pierwszym znalazł coś na kształt rozmazanego, granatowego węgorza na czarnym tle. Nazywał się *Niewidzialność 1*, a namalowany został przez artystę o nazwisku Nicholas Chadbourne. Jack nie musiał być znawcą sztuki, aby odgadnąć, iż dwa podobne malunki nadal wiszące na ścianie noszą tytuły *Niewidzialność 2* i *Niewidzialność 3*; chętnie dowiedziałby się, ile jego ojciec za nie zapłacił. Po każdym obrazie zostawała na ścianie prostokątna, jasna plama. Kiedy zdjął wszystkie obrazy, nie był ani trochę mądrzejszy.

Musiał się zmierzyć z graciarnią. Otworzył drzwi, spojrzał na stertę śmieci i potrząsnął głową. Potem znalazł czarne, plastikowe torby i zaczął je napełniać.

Działał metodycznie. Były tam stosy ubrań; na metkach nazwiska znanych projektantów, pasowałyby na niego znakomicie - ale ta myśl była odrażająca. Wobec tego zapełniał torby darami dla biednych; najpierw na wszelki wypadek sprawdzał kieszenie. Obraz chicagowskich bezdomnych w ciuchach od Armaniego i Gucciego miał w sobie coś ekscytującego. Były tam także damskie ubrania, jeansy i bielizna ciśnięte beztrosko oraz skórzane, pokryte pleśnią, znoszone buty bez pary. Znalazł też stosy magazynów, ewidentnie prenumerowanych i nigdy nie przeczytanych. To będzie można wyrzucić.

Były fotografie, zwykle tak stare, że chemikalia zdążyły się

utlenić; zwykle lampy, afrykańskie maski, kasety magnetofonowe z wyciągniętą taśmą, powieści w miękkich okładkach, sprzęt narciarski, części starego sprzętu hi-fi, przestarzałe komputery, drewniane, puste ramy, tuziny pustych słoiczków po witaminach, wyschnięte rośliny doniczkowe wciąż w pojemnikach z ziemią... wszystko w niewiarygodnym bezładzie, po prostu wrzucone do pokoju. Pod tym stosem, na podłodze, Jack znalazł jeszcze kilka obrazów - według jego opinii, nie wyróżniały się niczym szczególnym.

Ponadto trafił na artykuł z gazety wsunięty w przejrzystą, Plastikową koszulkę. Jego uwagę przyciągnął nagłówek:

## ZNIKNIĘCIE MALARZA

Krótką notkę nosiła datę sprzed dwóch lat i opisywała zaginięcie młodego artysty w wieczór, kiedy miał odebrać ważną nagrodę państwową i furę pieniędzy. Artykuł zawierał aluzję do *Marie Celeste*<sup>8</sup>, a autor twierdził, że przyjaciele artysty znaleźli w jego mieszkaniu niedokończony posiłek i opróżnioną do połowy butelkę wina. Na zdjęciu w gazecie dwudziestosiedmioletni artysta: zmysłowy, silny młody człowiek z pretensjonalną kocią bródką, spoglądał arogancko w aparat znad okularów w drucianej oprawce. Nazywał się Nicholas Chadbourne.

Jack zabrał notatkę do salonu i spojrzał na odwrotną stronę jednego z obrazów, aby potwierdzić swoje podejrzenie, że to właśnie

---

<sup>8</sup> Marie Celeste - statek widmo, znaleziony 4 grudnia 1872 roku, dryfujący bez załogi 400 mil od Gibraltaru. Jego tajemnica nigdy nie została wyjaśniona.

ten artysta był twórcą *Niewidzialności 1*. Włożył wycinek między inne papiery i powrócił do opróżniania pokoju.

Do czasu, kiedy przyjechał pośrednik, zrobiło się późne popołudnie, jezioro było spokojne, a Jack napełnił piętnaście worków. Pośrednikiem okazała się kobieta z teczką, z włosami zalakierowanymi tak, że można było przeciąć sobie palec o ich krawędzie. Zwracała się do niego jak do członka rodziny, jakby był kimś, kto wreszcie miał dobry powód, aby pozbyć się tego miejsca. Szacunki Jacka co do wartości mieszkania były umiarkowane. Kobieta wyszła po niecałej półgodzinie z zapewnieniem, że mieszkanie szybko się sprzeda. Jednak zanim wyszła, poradziła Jackowi, aby na powrót powiesił obrazy na ścianach.

Jack zadzwonił do Louise prosząc ją o radę w sprawie obrazów i mebli, miał też nadzieję na skierowanie rozmowy w stronę wspólnej kolacji. Dała mu numer do człowieka handlującego meblami; powiedziała także, że większość obrazów na ścianach to dzieła nieznanymi twórców, którzy trafili w gust Tima. Zgodziła się z tym, że ich jedyna wartość polega na pozostawieniu ich na ścianach po to, aby poprawiły wygląd mieszkania. Wreszcie powiedziała: - Jack, to na razie tyle. Muszę pomyśleć o jakimś jedzeniu.

- Jedzenie. Nie myślałem o tym, odkąd wymeldowałem się z hotelu.

- Chcesz się przyłączyć? Mógłbyś zjeść z Billem i ze mną.

Bill? Serce Jacka zamarło. Nic nie słyszał o żadnym Billu.

- Nie mógłbym.

- Oczywiście, że mógłbyś. Przynieś jakieś wino. - Podała mu adres, powiedziała, aby wziął taksówkę i odłożyła słuchawkę, kiedy wciąż jeszcze się wykręcał i protestował. Gdyby miał wybór między konwersacją z jakimś nieznanym Billem, podczas gdy w sekrecie chciał zobaczyć jego żonę nago - żonę, która, tak się składa, była jego siostrą - a samotnym przeżuwanym dwufuntowego steku w ponurej restauracji w centrum handlowym, w każdym wypadku optowałaby za samotnością.

Do czasu, kiedy wysiadł z żółtej taksówki w pobliżu Uniwersytetu Chicago był w marnym nastroju.

Coś się gotowało. Louise wpuściła go do środka, uwolniła od starannie wybranego wina i wsunęła je do lodówki bez jednego spojrzenia.

- Gdzie jest Bill? - nie mógł powstrzymać się od pytania.

- W drugim pokoju - mówiła ściszym głosem, wskazując, że powinien robić to samo. - Zostajesz? To znaczy, jeśli zostajesz to zdejmij płaszcz, chociaż wyglądasz, jakbyś nie miał ochoty.

Mieszkanie było małe, ale schludne, podobnie zresztą jak mieszkanie należące do Tima. Salon był zarazem jadalnią; Louise zapaliła świece stojące na stole, ale jeszcze nie położyła trzeciego nakrycia dla Jacka. W tle nuciła cicho Etta James. Na szafce Jack zauważył znajomy wisiołek w kolorze kości, zawieszony na rzemieniu. Był to ten sam talizman, z którym nie rozstawał się jego ojciec.

- Właśnie mówiłam Billowi o tobie. Skłamałam i powiedziałam,

że jesteś sławną gwiazdą piłki nożnej. W porządku?

- Dlaczego? Lubi piłkę nożną?

- Nie bądź śmieszny. Chcesz go poznać? Chodź ze mną. Pewnie już zasnął.

Jack nie był pewien, czy chce poznać śpiącego męża w podkoszulku, ale Louise, machnąwszy ręką na jego protesty, poprowadziła go do sypialni. Bill faktycznie spał. W kołysce. Jego dziecinne usteczka wyglądały jak plasterek truskawki. Spał z maleńką piąstką wysuniętą spod kocyka.

- Już możesz przestać mu się przyglądać - powiedziała Louise.

- Godzinami mogę patrzeć na śpiące dzieci. To jak patrzenie z mostu na rzekę.

Musiała pociągnąć go za rękaw.

- Chodźmy jeść.

Przygotowała jambalaya<sup>9</sup>, a ostre przyprawy sprawiły, że się spocił.

- Ile lat ma Bill?

- Półtora roku.

- Piękne dziecko. A ojciec?

- Mam trzydzieści jeden lat. Chciałam mieć dziecko, ale nie znalazłam właściwego faceta. Więc poderwałam takiego, który podobał mi się na oko i zaszłam w ciążę. Zrobił, co do niego należało. Nie wiedział nic o Billu dopóki mały się nie urodził. Czy to cię szokuje?

Jack był zaszokowany, ale ponieważ to było Chicago, a luz

---

<sup>9</sup> Jambalaya - kreolska potrawa na bazie ryżu z dodatkami

wydawał się miejscową wartością, powiedział:

- Ani trochę.

- Naprawdę? To szokuje wielu ludzi.

- Kłamię. Tak, to bardzo zaskakujące. Bardzo nowoczesne. Bardzo amerykańskie.

- Amerykańskie? Myślisz, że to amerykańskie? To ciekawe. Czy Angielka nie zrobiłaby czegoś takiego?

Zastanowił się nad tym i uznał, że tak, kobiety wszędzie mogłyby zrobić coś takiego, gdyby zechciały.

- Czasami tylko gadam, żeby ukryć zaskoczenie, to wszystko. Hej, ta kolacja jest ostra.

- Smakuje ci?

Nie powiedział, że mu smakuje, powiedział, że jest ostra, ale nabrał kolejną porcję na widelec, aby pokazać, iż nie narzeka.

- Kim jest ojciec?

Na usta wypłynął jej uśmiech.

- Tego ci nie powiem. Gdybym to zrobiła, wiedziałbyś coś, czego nie wie Bill.

- Nie powinienem był pytać.

- To normalne pytanie. - Podniosła się, przypominając sobie o winie w lodówce. - To ja nie jestem normalna.

Miała rację. Nie była normalna. Louise znów usiadła i nalała wina, a nieruchomy płomień świecy przebijał przez żółtozielony trunek, który miał taki sam kolor, jak jej oczy. Znów pomyślał, że jest w niej jakiś niepokój, wpatrywał się w nią i widział, że to coś więcej,

niż zmęczenie wynikające z samotnego macierzyństwa.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Wydajesz się rozproszony.

- Myślałem o tych wszystkich rzeczach w mieszkaniu naszego ojca.

- Mówiłam ci - autorami wszystkich obrazów są nieznani twórcy. Może jeden czy dwa są coś warte, ale dopóki nie znajdziesz kupca, to czysta teoria. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, sprzedawał sam. Wiem, bo załatwiałam całą papierkową robotę.

- Znalazłem wycinek z gazety dotyczący autora jednego z obrazów, które tam wiszą.

Louise zawahała się nieznacznie i odłożyła widelec.

- To był typowy młody człowiek, jak wszyscy ci, którymi Tim się otaczał. Kręcili się przy nim, ale wyłącznie w charakterze zwolenników. Nigdy nie byli to ludzie w jego wieku: potrzebował młodych, aby siedzieli u jego stóp i wpatrywali się w niego z podziwem. A oni go lubili. Widzieli w nim siebie.

- Nie rozumiem.

- Byli niestabilni psychicznie. Jak osoby specjalnej troski. Osobnicy maniakalno-depresyjni, ofiary, samotnicy, wszelkiej maści obłąkańcy. Tim stawiał ich na nogi i wmawiał, że to męki twórcze, ponieważ są artystami. Kupował ich obrazy, wieszał w swoim mieszkaniu. Uważali go za boga.

- Dlaczego mówisz, że byli jak on?

- Powinieneś coś wiedzieć o Timie. W różnych momentach swego życia zachowywał się tak, że trudno było uwierzyć, iż



rozmawiasz z tą samą osobą.

- Och, miałem tego próbkę.

- Tak sądzisz? Nie widziałeś nawet *połowy*.

- Podoba mi się twój akcent.

- Nie mam akcentu. - Patrzenie na uśmiech Louise było jak patrzenie na zapalną rozkwitającą płomieniem. - To jest Ameryka. Stary, jesteś tu jedyny z akcentem. - Potem zmarszczyła brwi. Osuszyła kieliszek i potarła palcami oczy. Była spięta, teraz wyraźnie to widział. Miał pewność, że to coś więcej, niż zmęczenie związane z samodzielnym wychowywaniem dziecka. *Wyłącz*, powiedział do siebie, *wyłącz oko policjanta*.

- Wiesz, jestem naprawdę zmęczona - powiedziała. - Nie będziesz miał mi za złe, jeśli wezwę ci taksówkę?

- W Anglii, stwierdził Jack, ludzie zerkaliby na zegarki, skręcali serwetki, ziewali. - Rany, już tak późno!

Kiedy czekali na taksówkę, Louise zapytała, czy wciąż ma zamiar opublikować „Niewidzialność”.

- Muszę, bo inaczej nie dostanę swojej części.

Przez chwilę rozmawiali o warunkach testamentu.

- Zabawne - powiedziała Louise, ponownie ziewając - z tą Niewidzialnością, ale to naprawdę działa.

Odezwał się brzęczyk przy drzwiach. Przyjechała taksówka Jacka.

- Nie w taki sposób, jak myślisz. Ale to zaskakujące. Jeśli chodzi o widzenie rzeczy.

- Jak to?

- Spróbuj. - Podała mu płaszcz, a on go założył. Potem zaskoczyła go dotykając jego szczęki chłodną, smukłą dłonią i pocałowała go w policzek. - Dzięki, że wpadłeś. Lubię twoje towarzystwo. - Spojrzał głęboko w jej żółtawe, lwie oczy. - Taksówka czeka - powiedziała.

## SZÓSTY

Cześć, mamó. - Louise kopniakiem otworzyła tylne drzwi i położyła torbę z zakupami i prezentami na kuchennym stole. Matka Louise mieszkała na przedmieściach Madison w stanie Wisconsin, wystarczająco daleko, aby bez przekraczania granicy z Kanadą uciec z Chicago. Z jakiegoś powodu i wbrew zdrowemu rozsądkowi, nigdy nie zamykała tylnych drzwi na klucz.

- Cześć kochanie! - Dory Durrell - po rozstaniu z Timem Chambersem, kiedy Louise miała zaledwie trzy lata, wróciła do panińskiego nazwiska - przepłynęła przez kuchnię, złożyła pocałunek na policzku Louise i zabrała z jej ramion Billye'go.

- No proszę, niech ci się przyjrzę! Popatrzmy! Trochę urósł, Louise.

To, że Dory widziała Billy'ego raptem kilka dni wcześniej, nie miało znaczenia; Louise odwiedzała matkę co najmniej raz, a czasem dwa razy w tygodniu. Dory nie widziała świata poza dzieckiem, była świetną opiekunką i wspaniałym źródłem matczynej mądrości i troski. Louise i jej matkę łączył silny, dobry związek. Dopóki nie poruszały jednego tematu.

- Nie spodziewałam się was dzisiaj - powiedziała Dory do Billy'ego, odgarniając mu włosy.

- Wyczuliśmy kawę. - Kawa w domu Dory zawsze oznaczała domowe ciasta i ciasteczka, chociaż była beznadziejną kucharką. -

Pomyślałam, że zrobimy ci niespodziankę.

- Oby więcej takich niespodzianek, kotku. Zobaczmy, co też babunia ma dla ciebie w pojemniku na ciastka.

Billy powąchał ciastko i rzucił się na nie łapczywie. Przeszli do salonu. Dory wyjęła jakieś zabawki dla Billy'ego i zaczęła narzekać na nowy system wywożenia śmieci. Opowiedziała Louise o scysji z telefoniczną ankieterką. W przypadku Dory nie było łatwo wstrzelić się w monolog i choć Louise śmiała się i razem z nią ostro krytykowała natarczywość ankieterek, z trudem skupiała się na tym, co mówiła matka. Przyjechała dziś z zadaniem wykraczającym daleko poza zwyczajną pogawędkę.

Dory miała nadwagę i siwe włosy, jednak nadal nosiła luźne, czarne spodnie i czarną kamizelkę, jak w czasach, które nazywała „artystyczną młodością”. Dory poznała Tima Chambersa wkrótce po tym, jak Beatlesi po raz pierwszy przyjechali do Stanów Zjednoczonych. Rok później urodziła się Louise. - Anglicy - powiedziała kiedyś dowcipnie Dory - byli szalenie modni i musiałam się trochę namęczyć, zanim jakiegoś znalazłam. - Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, kiedy poznała Tima Chambersa. Chłopcy z Liverpoolu nie wprawiali jej w ekstazę. Zwróciła się w stronę jazzu, folku, poezji egzystencjalnej i ogólnie sztuki.

Na obecnym etapie życia nienawidziła wszelkiej „sztuki”. Jakkolwiek miała dobre oko, wszystkie swoje artystyczne talenty przeniosła na dom. Louise podniosła patchworkową kołderkę leżącą na sofie. Była to „kołderka Billy'ego”. Dory zaczęła nad nią pracować

w dniu narodzin Billy'ego, osiemnaście miesięcy temu. Miała nadzieję, że będzie gotowa na jego trzecie urodziny.

Louise oglądała poszczególne kwadraty. - To piękna robota, mamó. Naprawdę piękna.

- To mi zapełnia noce.

Dory była skromna. Kołdra była wyjątkowa.

- To prawdziwe dzieło sztuki.

- Do diabła z tym. Ładnie wygląda i ma ogrzać Billy'ego, to dla mnie najważniejsze.

Nie do końca była to prawda. Dory chciała stworzyć patchwork opowiadający historie na dobranoc. W każdym kwadracie wyhaftowała postacie z różnych bajek. Nie istniał żaden ustalony porządek, były tam historie biblijne, mity greckie, bajki Ezopa, legendy indiańskie, chińskie przypowieści, historie ludowe i rodzinne anegdotki. Dory zbierała opowieści, projektowała wzór i wyszywała go ręcznie w wielokolorowej tęczy. Pochodzą z książek z bajkami, powiedziała. Trzeba tylko wziąć kwadrat i opowiedzieć historię. Na każdej stronie kołdry znajdowało się trzydzieści pięć kwadratów.

Louise wiedziała, że Dory wyszywa tę kołdrę prawie każdego wieczora od dnia narodzin Billy'ego, z wyjątkiem może kilku nocy, kiedy źle się czuła, albo była na wakacjach. Jeśli skończy ją na trzecie urodziny Billy'ego, będzie to praca tysiąca nocy. Jak kołdra Szeherzady i latający dywan; kołysanka i piżamka dla okruszka. Wszyła w tę kołdrę tyle miłości, że na samą myśl o tym Louise chciało się płakać.

- Zdecydowałam, że jeden kwadrat zostawię na *podsumowanie* - powiedziała Dory.

- Och?

- Pracuję teraz nad muzułmańską przypowieścią i przeczytałam, że wschodni tkacze dywanów z rozmysłem robili w osnowie jakiś błąd, ponieważ tylko Allach jest doskonały, a próba powtórzenia jego doskonałości to grzech. Cóż, ja nie zamierzam z tym dyskutować, ale pomyślałam, że Billy powinien zobaczyć, ile jest wciąż historii do opowiedzenia. Prawda?

Louise wiedziała coś jeszcze: puste miejsce było kwadratem Indygo.

- Świetnie to wymyśliłaś, mamó.

- Louise, czy coś zaprzęta ci głowę? Kompletnie nie słuchasz, co do ciebie mówię.

- Oczywiście, że słucham. Kołdra...

- Do diabła z kołdrą. Słyszę, jak pracuje twój mózg, cyk, cyk, cyk. jak młot pneumatyczny na asfalcie.

- W porządku. Chodzi o mojego brata.

Dory podniosła kołdrę, złożyła ją i odłożyła na bok.

- *Przyrodniego* brata.

- Wszystko jedno. Właściwie nigdy nie poznałaś Jack...

- Ani nie chciałam.

- Nie musisz go lubić, ale...

- Cholerna prawda, że nie muszę go lubić!

- Mamó, mogłabyś się zamknąć? Mogłabyś się zamknąć na *dwie*

*sekundy?*

Louise przerwała. Przerwała, kiedy zobaczyła dziwny wyraz oczu swojej matki. Nie trwało to dłużej, niż sekundę czy dwie, ale Louise rozpoznała go. Wzrok Dory przesunął się, skupił na czymś i zaszklili, jakby nagle w rogu pokoju dostrzegła coś, co ją zaskoczyło. Za każdym razem, kiedy Louise widziała to spojrzenie, wycofywała się.

Kochały się bardzo, ale często bywało tak, że po dziesięciu minutach przebywania razem, napięcie wisiało w powietrzu. Tak było i tym razem. Dory ściągnęła usta, odłożyła kołdrę i igły do skrzyni za sofą. Niezmiennie ta sama sprawa doprowadzała je do wybuchu, albo prawie. I niezmiennie obie potem żałowały.

Dory nigdy nie rozmawiała o Timie Chambersie i nigdy nie odpowiadała na dotyczące go pytania córki. Ale też nigdy, nawet w czasach gdy Chambers zajmował się Louise, nie chciała wiedzieć, gdzie byli, co robili, albo o czym rozmawiali. Nie można było ignorować jego istnienia, skoro sąd przyznał mu prawo do odwiedzin i wakacji. Jednak funkcjonował na drugim planie; w świecie zamieszkałym przez duchy; w narożniku piekła zarezerwowanym specjalnie dla niego.

- Cokolwiek sobie myślisz - naciskała Louise - to jest mój brat i chociaż dopiero co go poznałam, sądzę, że ty też powinnaś.

- Ma w sobie zbyt wiele cech tego człowieka, na pewno. Chodź do mnie Billy, na kolanka.

Billy nie chciał usiąść na kolanach Dory. Zaczął wyrywać się do

Louise, ale Dory go nie puszczała.

- Mamo, mam przeczucie, że poprosi mnie, abym pojechała z nim do Rzymu, i...

- Rzym? Trzymaj się z daleka od niego i *tego miejsca*, słyszysz?

- Ale jeśli mnie poprosi, zastanawiam się, czy zajęłabyś się Billym.

- Do diabła, oczywiście, że tak. Mówiłam ci - ten człowiek, kimkolwiek jest, ma zbyt dużo ze swojego ojca.

- Więc co to mówi o mnie? I cokolwiek myślisz, Jack jest tak samo ofiarą swojego ojca. Jak ty i ja.

- Ofiarą! Nie jestem żadną cholerną ofiarą. - Dory posadziła sobie Billy'ego na ramieniu i przeszła przez kuchnię.

Louise podążała z tyłu.

- Nie możesz znieść, gdy w twojej obecności ktoś wspomina jego imię.

- Samo wymawianie jego imienia bruka mój dom i powietrze, którym oddycha mój wnuk i moje dziecko. - Z Billym, wciąż wrzeszczącym i szarpiącym się na jej ramieniu, Dory kopniakiem otworzyła drzwi kuchenne i wymaszerowała do ogrodu.

- Mamo! - krzyknęła za nią Louise. - Co on ci zrobił?

\*\*\*

Pozbycie się nieruchomości Tima Chambersa - przynajmniej amerykańskiej części - było łatwiejsze, niż się spodziewał. Idąc za radą pośredniczki, Jack z powrotem powiesił obrazy i zakrył przybrudzone prostokąty, które się pojawiły, kiedy je zdjął. Worki ze



śmieciami zostały wyrzucone, a handlarz meblami przyleciał jak na skrzydłach. Jack zatrzymał sobie tylko albumy z fotografiami.

Jedyne, co było jeszcze do załatwienia w Chicago, to publikacja *Niewidzialności*. Na później zostawił sobie Natalie Shearer. I Rzym.

Kimkolwiek była Natalie Shearer, dostało jej się sporo pieniędzy. Louise przyjęła swoją część (darowizna była solidna, wynosiła znacznie więcej, niż miał otrzymać Jack) a po odliczeniu kosztów wydania rękopisu, Shearer dostała większość z tego, co zostało. W testamencie było jeszcze kilka zapisów na rzecz mało znanych fundacji dobroczynnych; to co zostało na szarym końcu, należało do Jacka.

Rozglądał się melancholijnie po mieszkaniu obwieszonym obrazami i wyjrzał przez okno na Lake Shore Drive. Zastanawiał się, jak długo wolno wykonawcy testamentu dumać nad własnością, zanim ją sprzeda. Rozmyślał o swoim mieniu i interesach w Catford, w Londynie.

Rozmyślenia były raczej ponure. Jego biurem był pojedynczy pokój dzielony z panią Price, w budynku położonym przy ruchliwej ulicy. Po tym, jak zrezygnował z pracy w policji, został woźnym sądowym, ponieważ było to zajęcie po łagodniejszej stronie prawa. W dodatku nadal przydawało się policyjne doświadczenie. Początkowo praca przychodziła mu z łatwością. Prawnicy wynajmowali go regularnie do dostarczania wezwań sądowych, a on znajdował specyficzną przyjemność w doręczaniu dokumentów facetom bijącym żony, albo uchylającym się od płacenia alimentów. Ale nie wkładał w

to więcej serca, niż w lizanie znaczków.

Któregoś dnia uświadomił sobie, dlaczego czerpał przesadną przyjemność z zapędzania w kozi róg ukrywających się, bezużytecznych tatusiów i brutalnych mężów. Zrozumiał z dreszczem obrzydzenia, że to Tim Chambers dopadł go w ten sposób. Okłamał Louise: naprawdę został policjantem z powodu niechęci Chambersa do policji; a po wyplątaniu się z tego zajęcia, nadal wyładowywał swoje rozgoryczenie na każdym durniu z ulicy, który nie sprostał minimalnym wymogom ojcostwa.

Zaczął robić sobie coraz dłuższe i dłuższe przerwy na lunch. Zajmował się głównie samotnym pićem w obskurnych londyńskich pubach, chociaż pani Price go ostrzegała. Widziała, że liczba klientów maleje. A kiedy wyszła ta sprawa w Chicago, popełnił niewybaczalny błąd w sprawie Birtlesa.

Było mu głupio, że nie odezwał się do pani Price po tym, jak próbowała się z nim skontaktować. Wiedział, że nie może zostać w Chicago zbyt długo, nawet udając, że ma tu więcej zajęć związanych z likwidacją mieszkania, niż zakładał. Wszystko było skażone zapachem Tima Chambersa. Mieszkanie wciąż nim cuchnęło. Wszyscy, których znał w Chicago, byli z nim powiązani. Wszystkie rozmowy, jak drogi prowadzące do Rzymu, nieuchronnie zmierzały do człowieka, którego nawet po śmierci darzył niechęcią.

Jack winił go za wszystko, co w jego życiu poszło źle, jeszcze zanim pojawił się na uniwersytecie w dniu egzaminu. Teraz, kiedy Tim Chambers nie żył, kogo będzie obwiniał?

\*\*\*

Jack spędził dzień próbując doszukać się sensu w *Niewidzialności*, i to był prawdziwy koszmar. Nie miał pojęcia, jak zabrać się za publikację. Manuskrypt był ledwie stertą kartek. Żaden wydawca nastawiony na zysk nie spojrzy na te brednie. Zadzwoił do Academy Chicago Publishers, gdzie asystentka redaktora była tak miła, że odebrała jego telefon podczas swojej przerwy na lunch. Podała nazwisko pewnego nadętego wydawcy, dając mu do zrozumienia, że wyda wszystko, jeśli mu się dobrze za to zapłaci.

Ów nadęty wydawca, osobnik o imieniu Brace, ślinił się, jakby chciał odgryźć Jackowi dłoń. Inny, gość o nazwisku Joseph Rooney spytał, czy Jack mógłby przyjechać do jego biura, mieszczącego się w South Side. Jack wysiadł z taksówki zniesmaczony okolicą, a po wspięciu się na trzy ciągi schodów nie zobaczył niczego, co zrobiłoby na nim wrażenie.

Rooney był jak wielki i ociężały niedźwiedź, wzbudzał natychmiastową sympatię. Poprowadził Jacka przez pomieszczenie zastawione kartonami do małego, przeszklonego biura na tyłach budynku. Jack pomyślał, że oto znajduje się na terytorium Ala Capone; wiedział, że powinien wyjść i poszukać czegoś bliżej centrum, ale kiedy Rooney oświadczył, iż firma to tylko on oraz starsza pani redaktor, poczuł się swojsko, jak w domu.

Chociaż w biurze nie było szczególnie ciepło, Rooney ocierał swoją wielką twarz chusteczką i uśmiechał się przez cały czas.

- Wydajemy gówno - zahuczał. - Każdego rodzaju gówno. A

jeśli trafi się coś dobrego, to odsyłamy ludzi z kwitkiem. Specjalizujemy się w gównianej poezji. Niektóre z publikowanych przez nas gówien mogłyby skłonić konia, żeby sam ugryzł się w zad.

- Czy nie powinien pan chociaż udawać, że to wspaniałe rzeczy?

- Nieee. Tak się robi w Anglii. To kwestia próżności, tam trzeba mówić ludziom, że są świetni. A my mówimy, niech to będzie tak beznadziejne, jak ci się podoba, ale dawaj forszę. Tu ma pan parę przykładów naszych dokonań.

Jack był pod wrażeniem. Rooney pokazał mu antologię poezji oraz kilka biografii nieznanym nikomu ludzi, którzy walczyli na frontach drugiej wojny światowej. Były starannie opracowane, miały ładnie zaprojektowane, błyszczące okładki, a czcionka była duża i czytelna. Ten człowiek najwyraźniej był dumny z efektów swojej pracy, chociaż wszystko wskazywało na to, że powinno być odwrotnie.

- To właśnie na poezji zdieramy z ludzi skórę - powiedział szczerze Rooney. - Pozwalamy im wyłożyć forszę na dwa czy trzy słodkie wierszyki przeznaczone dla innych durniów. Dla nas to maszynka do robienia pieniędzy. Do cholery, nienawidzę poezji.

Jack wyciągnął rękopis *Niewidzialności*. Rooney pochylił się i wrzucił go do pudła.

- Gotowe - oświadczył.

- Nie chce pan rzucić na to okiem?

- Nieee. Płacę za to komuś innemu. A jeśli mogę wycisnąć z pana wystarczająco dużo gotówki, to poprawię błędy ortograficzne i

gramatyczne. Powiadam panu, nie dbam o to, co to jest, bo i tak to zrobimy. Przez telefon powiedział mi pan, że koszty nie grają roli. Potraktuję manuskrypt jak wyznania konkubin szacha Persji. O ilu kopiach mówimy?

- Testament opiewa na dwieście tysięcy egzemplarzy.

Rooney wyprostował się gwałtownie, a potem wyskoczył ze swojego fotela. Wytrzeszczył oczy, które wyglądały jak jajka smażone na patelni jego wielkiej, czerwonej twarzy.

- Pan sobie ze mnie żartuje!

- Nie. Da pan radę to zrobić?

- Czy dam radę? Posłuchaj, ja dam sobie radę, *ty* nie.

- Nie nadążam za panem.

Rooney tanecznym krokiem wyszedł zza biurka, machając ręką na Jacka.

- Chodź. Chodź ze mną. Chodź, chodź. - Jack poszedł za nim z powrotem do magazynu. - Normalnie operuję liczbą około pięciuset egzemplarzy. A to jest duże zlecenie z ubiegłego tygodnia. Czeka ją na odbiór. Popatrz na te wszystkie pudła. Jak myślisz, ile ich tam jest? - Jack popatrzył na ścianę zastawioną pod sam sufit kartonami i wzruszył ramionami. - Pięćset.

- No i?

- No i gdzie umieścisz dwieście tysięcy?

- Nie mam zamiaru ich zatrzymywać. Będę je rozprowadzał.

- *Rozprowadzał je.* Ha! Jesteś popieprzonym komediantem z Londynu w Anglii, Jack. Chodź, usiądź jeszcze. - Rooney, na powrót

za swoim biurkiem, zatarł ręce. - Słuchaj, mówię poważnie. Jeżeli chcesz kilkaset tysięcy, to ja ci je dostarczę. Do diabła, nawet jeśli chcesz milion, to jest tylko jeden pieprzony, kanadyjski las. Ale jest pewien kruczek związany z tym wydawniczym gównem. Możesz wydać tyle egzemplarzy, ile ci się podoba. Ale nie możesz ich *rozdawać*.

- Najwyraźniej tego nie przemyślałem.

- Nie, ty może nie, ale ja owszem. Księgarnie ich od ciebie nie wezmą, nawet za darmo. Możesz stać na ulicy i próbować wciskać je ludziom do rąk, też ich nie wezmą. Jedyne co możesz zrobić z tymi książkami, to wysłać je pocztą do ludzi, których nienawidzisz.

Jack nawet przez sekundę nie zastanawiał się, co miałby z tym wszystkim zrobić. Mógłby pewnie wynająć gdzieś magazyn, ale na jak długo i co potem? Potrząsnął głową. Doceniał fakt, że Rooney go ostrzegł.

Rooney wydawał się czytać w jego myślach.

- Mówię ci to teraz, żebyś potem nie miał problemu - powiedział.

- Rzecz w tym, że warunki testamentu są kategoryczne.

Rooney podciągnął wysoko spodnie.

- Idź do domu. Zastanów się nad tym. Jeżeli chcesz taką liczbę, dostaniesz ją. Jeśli chcesz mniej, daj mi znać. Masz, weź swój manuskrypt. Ja się nigdzie nie wybieram.

Odprowadzając Jacka do drzwi, Rooney pokazał mu kartony z książkami, które nagromadziły się przez lata. Twierdził, że już setki razy zbierał się, aby je wyrzucić na śmietnik. Jack podziękował mu za

szczerłość.

- Jestem uczciwym facetem - powiedział Rooney. - Wydaję całe to gównno, i uczciwość to wszystko, co mam. Mówię więc ludziom, że to gównno i to mnie trzyma. Od jak dawna jesteś w Chicago? Wskoczysz czasem ze mną na piwo?

- Być może.

- Lubię pić piwo i patrzeć na nagie dziewczyny. Lubię nagie dziewczyny. Nie chcę, żeby takie grubasy jak ja ich dotykały. W porządku, jest jak jest, tylko patrzę. Znam w Chicago wszystkie miejsca, w których można pić piwo i patrzeć na dziewczyny.

- Zapamiętam - odparł Jack.

Rooney uśmiechnął się i pomachał. Jack pomyślał, że mimo wszystko wygląda na smutnego i nieco przytłoczonego własną uczciwością.

## SIÓDMY

Tribune Tower na North Michigan Avenue najeżona nieregularnymi skałami i kamieniami wyglądała jak kadłub statku oklejony skorupiakami. Kamienie o niepowtarzalnej strukturze zwieziono tu z całego świata, a każdy z nich był kawałkiem historii. Pierwszym, na który padł wzrok Jacka, był gładki narzutowy tkwiący w szarym murze, pochodzący z rzymskiego Koloseum. Przylegał do niego skalny odłamek ze Świętych Wrót z Bazyliki Świętego Piotra. Najwyraźniej wszystko, rozmowy, drogi, nawet kamienie i testament ojca, wszystko prowadziło go do Rzymu.

Po spotkaniu z Rooneyem Jack zadzwonił do Louise po radę w sprawie publikacji *Niewidzialności*. Ona także nie miała pomysłu, co właściwie miałby zrobić z dwustoma tysiącami książek. Rozmowa z Rooneyem go przygnębiła. Sądził, że zlecenie druku będzie prostą sprawą. Wpadł na pomysł, aby książki wyprodukować, a zaraz potem dać na przemiał, ale po namyśle wydało mu się to marnotrawstwem, wręcz perwersją. Ten czyn z pewnością zachwiałyby jego pozycją wykonawcy ostatniej woli. Woli szalonego ojca.

Niczego mu nie zawdzięczał. Jednak w pewnym sensie był mu wdzięczny za tę wątpliwą spuściznę. Jack miał ukształtowany światopogląd, sumienną uczciwość w stosunkach z ludźmi i brak kontaktu z ojcem niczego tu nie zmieniał. Postrzegał ojca jako przykład tego, jak *nie* postępować. Jeśli był zakłopotany albo



niepewny, nie wiedział, jak się zachować w danej sytuacji, zadawał sobie pytanie, jak postąpiłby ojciec; a ponieważ zawsze widział go w najgorszym świetle, rozwiązanie - hojność, współczucie, czy uprzejmość - przychodziło samo.

Jacka męczyła sprawa Birtlesa, ponieważ zwyczajnie nie dopełnił obowiązku. Rzetelność, czy też kryjący się pod nią gniew, dodawała mu sił do pracy. Kiedy był policjantem, jego absolutna uczciwość izolowała go od ludzi, z którymi musiał sobie radzić, a także od niektórych kolegów. W angielskim postępowaniu sądowym te cechy były pożądane, zwłaszcza w sprawach tak śliskich, jak sprawa Birtlesa - kiedy musiał dostarczyć odpowiednie dokumenty oskarżonemu. Dopóki chodziło o sprawy sądowe, mogło to się odbywać w dowolny sposób. Woźny sądowy zawsze mógł skłamać (podsądni często to robili), dziury w niebie od tego nie było. Często dowodem było tylko słowo przeciwko słowu; ale Jack jako woźny sądowy miał swój kodeks etyczny, który jakoś chronił cały ten bałagan przed ześlizgnięciem się w bagno kłamstw i kłamstewek. Jack musiał dotknąć Birtlesa; inaczej Birtles nie był realny.

Jack potrzebował pilnego kontaktu z panią Price. Musiał znaleźć sposób dostarczenia Birtlesowi tego, co nad nim wisiało.

Znów rozmyślał o publikacji *Niewidzialności*. Wrócił po kolacji u Louise i zaczął czytać manuskrypt raz jeszcze, zaintrygowany jej oświadczeniem, że ta sztuczka naprawdę działa. Coś takiego z pewnością byłoby użyteczne, mógłby którejs nocy niepostrzeżenie dostarczyć dokumenty Birtlesowi prosto do pubu Haunch of Venison:

*Niech spadnie na mnie grom z jasnego nieba, jeśli kłamię, ale coś właśnie się do mnie podkradło i złapało mnie za ucho!*

Jack westchnął z rozmarzeniem i powrócił do lektury.

\*\*\*

Kapela grająca za ich plecami w Tip Top Tap Club była tak dobra, że Jack walczył z chęcią odwracania się bez przerwy w jej stronę. Pomyślał, że ludzie w Chicago muszą być rozpuszczeni nadmiarem dobrego jazzu i bluesa, skoro tak znakomici muzycy grają w norze w rodzaju Tip Top Tap. Czarny muzyk wygrywał na saksofonie leniwy, mroczny harlemski nokturn, podczas gdy organy, bas i wibrafon towarzyszyły mu z senną, niemal pogardliwą wirtuozerią. Jack sączył piwo z butelki i rzucał ukradkowe spojrzenia na zespół.

- Na co wciąż się gapisz? - warknął Rooney, ani na moment nie spuszczać wzroku ze sceny. - Chcesz kolejne piwo, czy co?

Sześć stóp dalej, na scenie wyginała się naga dziewczyna. Wielki korpus Rooneya zapadł się w fotelu, ręce zwisały mu z boków, w jednej dłoni, niemal opierającej się o brudną podłogę, trzymał butelkę piwa. Miał klapki na oczach. Między jego wytrzeszczonymi oczami, a seksem wirującym w plamie niebieskiego światła można by rozpiąć stalową linę.

Jack wolałby trochę ciemniejsze miejsce, nieco dalej od sceny, ale Rooney uparł się, aby usiąść tak blisko. Zapewne owa bliskość sprawiała, że Jack czuł się niewyraźnie. Chciał się odwrócić i popatrzeć na zespół; nie mógł jednak, ponieważ nie chciał, aby Rooney wziął go za geja.

Wolałby raczej towarzystwo Louise. Chciał zaprosić ją na kolację, ale zrezygnował po pierwszych słowach w rozmowie przez telefon. Gawędziła radośnie o Billym, o tym, jaki miała z nim ciężki dzień, a ten temat nie rokował dobrze na wieczór. Tak więc po tym, jak się rozłączył, pozostał mu tylko desperacki krok w postaci spotkania z potencjalnym wydawcą. Rooney radośnie przystał na propozycję i zabrał go do klubu Tip Top Tap, którego, jak oświadczył z dumą, był członkiem; chociaż przy drzwiach Jack nie zauważył bramkarza, a piwo kosztowało tyle, że zbladłby milioner.

Dziewczyna na scenie nie interesowała go ani trochę. Nie wywoływała w nim żadnych emocji, żadnego pożądania. Zaczął przyglądać się jej jednak, obserwując z zaciekawieniem, w jaki sposób patrzy poprzez publiczność. Przypuszczalnie stosowała trik, podobnie jak balerina koncentrowała się na jednym punkcie, aby uniknąć mdłości i przetrwać występ. Uśmiechała się, nawet nawiązywała kontakt wzrokowy, ale równie dobrze mogłaby to robić przed lustrem, w zaciszu własnej sypialni. Znalazła sposób, by jej widownia stała się niewidzialna.

Wreszcie występ dobiegł końca (jakkolwiek nie było żadnego finału jak w konwencjonalnym striptizie, skoro dziewczyna weszła nago i tak samo wyszła). Rooney się ocknął, otarł brwi chusteczką i uszczęśliwiony uśmiechnął się do Jacka. - Mówiłem ci, że będziesz się dobrze bawił.

- Naprawdę dobra muzyka - powiedział Jack.

Rooney obrócił głowę i szybko zerknął na muzyków, którzy

akurat zrobili sobie przerwę na papierosa. Zmarszczył brwi, jakby próbował dociec jakim cudem ktoś ich w ogóle wpuścił.

- Taa.

- Wydajesz pornografię? - zapytał Jack.

- To o tym jest twoja książka?

- Nie. Po prostu się zastanawiam.

- Wydaję wszystko, co mi ludzie przynoszą. Już ci mówiłem, że nie czytam tego sam. Osobiście uważam, że czytanie jest niezdrowe.

- Jasne.

- Myślałeś o książce twojego starego?

- Owszem. Zeszłej nocy zacząłem ją czytać jeszcze raz. Nie jest warta tego zachodu; ale jeśli jej nie wydam, nie dostanę swojej części spadku.

- Popytałem trochę o twojego staruszka. Taki przyjacielski wywiad. - Rooney wezwał kelnerkę i zamówił kolejne dwa piwa. Kelnerka była w stroju topless. Jack pomyślał, że jej sutki wyglądają na obolałe, a wyraźnie zaznaczone żyły na nabrzmiątych piersiach wskazywały, że muszą być pełne mleka. - Nie przychodzę tu zbyt często. To nie jest moje ulubione miejsce w Chicago. Ale twój stary tu bywał. Tak, bywał tutaj.

- Żartujesz. - Jack rozejrzał się, jakby widział to miejsce po raz pierwszy. - Znałeś go?

Rooney spojrzał na niego.

- Nie. Ale znam ludzi, którzy go znali. W przerwie między jedną pornografią a drugą, wydałem kilka książek o sztuce. Całe to gówn

w pełnym kolorze, pieprzone zygzaki albo te kleksy, które wyglądają jak mikroby. Wiedziałaś, że twój ojciec zajmował się sprowadzaniem z Włoch i Europy Wschodniej renesansowych przedmiotów? Nielegalnie, jak można się domyślić. - Rooney mówił to bez złośliwości. - Wygląda na to, że miał jeszcze jeden szczególny zwyczaj. Przychodził tutaj. Niektóre dziewczyny robią coś więcej, nie tylko tańczą... Jack, mam nadzieję, że nie następuję ci na odcisk?

- Nie. Mów dalej.

- Wygląda na to, że najbardziej lubił wziąć dziewczynę i zrobić jej tatuaż. Tu, na ramieniu. Mały, falisty znak. To chyba naprawdę go kręciło. Dziwny facet.

Kelnerka wróciła z dwoma butelkami o długich szyjkach. To była kolej Jacka, więc uregulował rachunek. Dodał hojny napiwek. Rooney przerwał swoją przemowę i odwrócił się w stronę sceny. Kapela znów chwyciła instrumenty, a saksofonista zaczął dźwiękiem tak niskim, że wprawił mózg Jacka w wibracje. Pojawiła się nowa tancerka, szczupła dziewczyna z grzywą niebiesko-czarnych włosów. Kiedy się obróciła, Jack z ulgą stwierdził, że nie ma żadnego tatuażu na ramieniu. Zastanawiał się, czy ma go Louise Durrell.

Odwrócił się, aby powiedzieć coś do Rooneya, ale zrezygnował. Rooney był całkowicie wyłączony.

## ÓSMY

**RZYM, 9 PAŹDZIERNIKA 1997**

Kiedy samolot zawisł nad lotniskiem Fiumicino, Jack oblał się zimnym potem. Próbował się podnieść, ale stewardessa przytrzymała go łagodnie.

- Dokąd pan idzie? Zaraz będziemy lądować.

Billy wrzeszczał, bo z powodu dekompresji bolały go uszy. Louise, siedząca z nim na miejscu przy oknie, odwróciła się do Jacka.

- Wszystko w porządku?

- Mówiłem ci, że nie znoszę latania. No i sama widzisz.

Louise wyciągnęła rękę i położyła chłodną dłoń na jego nadgarstku. Poza powitalnym czy pożegnalnym cmoknięciem w policzek, dotknęła go po raz pierwszy. Jej gest był dziwnie kojący. Jack spojrzał jej w oczy. Billy przestał krzyczeć i popatrywał to na jedno, to na drugie, zapewne głowiąc się, dlaczego nagle przestał być w centrum uwagi. Potem znów zaczął wrzeszczeć.

Jackowi to nie przeszkadzało. Był szczęśliwy, że Louise zgodziła się polecieć z nim do Rzymu. Po upojnej nocy z Rooneyem Jack stwierdził, że tylko ona trzyma go jeszcze w Chicago; a ponieważ nic nie mogło się między nimi wydarzyć, równie dobrze przed powrotem do Anglii mógł polecieć do Rzymu i spotkać się z Natalie Shearer.

Kazał więc Rooneyowi czekać, powiadomił Michaelsona, że

jedzie do Rzymu i wstąpił do mieszkania Louise, aby się pożegnać.

- Rzym - westchnęła Louise, biorąc od niego płaszcz. - Pewnie nie będziesz tam potrzebował pomocy, co?

- Słucham?

- Nie, w porządku. Myślę życzeniowo, Jack.

Jack usłyszał, jak mówi do niej spokojnie, zupełnie jak nie on.

- Skoro już o tym wspomniałaś, to jest w tym sporo racji. Mam na myśli to, że znasz interesy naszego ojca od podszewki. Mogę potrzebować jakiegoś wsparcia organizacyjnego. Oczywiście zapłacę ci tyle, co on.

- Zapłacisz mi? Żartujesz? Naciągnę cię tylko na bilet lotniczy i pizzę na Schodach Hiszpańskich.

- Nie, oczywiście, że ci zapłacę. Z pieniędzy za mieszkanie. Muszę przecież.

Zadowolenie zmiękczyło jej rysy.

- Hej! Nie sądzisz chyba, że naciągaczka ze mnie?

- Czy to oznacza zgodę?

- Rany, to świetna myśl. Ale trzeba się zastanowić, co z Billym.

Jack usłyszał, jak zapewnia ją, że bez problemu mogą wziąć Billy'ego ze sobą, że jest w wieku, w którym łatwo z nim podróżować, że powinna wziąć swojego laptopa, a chłopiec nie będzie im przeszkadzał w pracy. Mówił o tym, że są rodziną, mimo wszystko, i że powinni spędzić ze sobą tyle czasu, ile się da, aby nadrobić stracony czas. W gruncie rzeczy powiedział za dużo i Louise zaczęła dziwnie na niego patrzeć. Ale w żadnym wypadku nie

zamierzała zrezygnować z podróży do Rzymu.

\*\*\*

Z lotniska odjechali pociągiem z Termini, a stamtąd taksówką prosto do domu Chambersa. Tarasowy budynek stał pośród innych domów w kolorze ochry, przy obsadzonej drzewami alei w południowo-wschodniej części miasta, pomiędzy Koloseum a Via Appia. Nad Rzymem zapadał zmierzch w ledwo dostrzegalnych, błękitno-fioletowych barwach.

Weszli do budynku. Usłyszeli głośną muzykę operową, z jednego z pokojów sączył się kontralt, okrywając dom jak wieczorna mgiełka.

- Czy ktoś tutaj mieszka? - spytał Jack, stawiając torby w holu.

- Nie, o ile mi wiadomo - odparła Louise.

Jack spojrzał w górę schodów. Dom miał trzy piętra; wszystko skrzypiało i pachniało pleśnią. Nie był w najlepszym stanie i nic nie wskazywało na to, że panuje w nim obsesyjny porządek, jak w mieszkaniu w Chicago. Balustrada była rozchwiana. Błękitno-złota tapeta w heraldyczny wzór wisiała poodklejana w narożnikach. Wszędzie były stiuki i złote liście, lustro w bogatych ramach i mnóstwo częściowo wypalonych świec w żelaznych świecznikach. Na ścianach nie było żadnych obrazów.

Głośna muzyka dochodziła z frontowego pokoju na parterze. Nadal w płaszczu, Jack udał się na rekonesans, ale zatrzymał się gwałtownie. W narożniku holu ktoś stał. Jack z policyjnego nawyku nie spuszczał oka z postaci i w ułamku sekundy dotarło do niego, że



coś z nią jest nie w porządku.

Jack rozumiał działanie impulsów wzrokowych. Ludzkie oko porusza się szybko, zbyt szybko, aby mózg mógł wszystko zarejestrować jednocześnie. Ale kiedy oko się porusza, robi to w ścisłym porządku. Ogarnia wszystkie obiekty znajdujące się w pomieszczeniu, rejestruje najpierw kobietę, nie mężczyznę, człowieka przed psem, psa przed kotem, kota przed rośliną i roślinę przed obiektem nieożywionym. Wszystko w szczegółowym porządku i w ułamku sekundy.

To właśnie zaalarmowało Jacka i zatrzymało go w drzwiach. Postać w narożniku miała na sobie smoking i muszkę, a także ciemne okulary i beret.

- Upiorne - powiedziała Louise, przepychając się obok niego z Billym na ramieniu. - Przez sekundę pomyślałam, że to żywy człowiek.

Był to manekin krawiecki. Louise dotknęła materiału rodem z Savile Row<sup>10</sup>, a Billy złapał beret i ściągnął go. Obnażona głowa manekina była popękana, przez szczeliny wystawały kłaczki włókna.

- Mocna rzecz - stwierdziła Louise.

Jack nie odpowiedział. Kichnął od zapachu niedawno stopionych woskowych świec i jakiejś nieokreślonej, zastarzałej woni, którą poczuł w chwili otwarcia drzwi wejściowych. Owa woń w połączeniu z odorem wilgoci kojarzyła mu się z lękiem i z ojcem. Spojrzał na Louise.

Mocniej przycisnęła do siebie Billy'ego, podeszła do sprzętu

---

<sup>10</sup> Savile Row - londyńska ulica skupiająca krawców szyjących ekskluzywne ubrania na miarę

grającego i ściszyła muzykę.

- To Mahler. „Das Lied von der Erde”. Jeden z ulubionych kompozytorów ojca.

- Zaczekaj tutaj. Sprawdzę górę.

Nie było go tylko przez kilka minut.

- Nikogo tam nie ma - powiedział po powrocie. - Nie ma też światła.

Wydawało się, że czyta mu w myślach.

- Może sprzątaczką zostawiła włączoną muzykę.

- Może. Ale coś mi tu nie pasuje.

- Rozejrzyjmy się za jakimś ogrzewaniem. Podekscytowanie Billy’ego było niemal wystarczające, aby przepłoszyć duchy. Wszędzie stały solidne świeczniki, więc Louise pozapalała tkwiące w nich świece, wspomagając w ten sposób słabe światło lamp elektrycznych. Świece wyznaczały krąg miękkiego, pomarańczowego blasku, kiedy Louise i Jack rozpakowywali swoje rzeczy. Wkrótce zapach mocnej, czarnej kawy sprawił, że wszystko wydawało się w porządku. Jack znalazł w kuchni szafkę pełną wina. Muzyka Mahlera wciąż grała cichutko.

- Ich suche Ruhe für mein einsam Hertz - powiedziała Louise do taktów muzyki. - Szukam ukojenia dla mojego samotnego serca.

- Jak to się stało, że tyle wiesz o muzyce klasycznej?

- To chyba jedna z niewielu rzeczy, które mi przekazał.

- To jedna z rzeczy, których nie przekazał mnie - powiedział smutno Jack. - Zauważyłaś jedną wspólną cechę obu mieszkań? Nie

ma telewizora. Ani tutaj, ani w Chicago. Kto dzisiaj nie ma telewizora?

- Był przeciwny telewizji. Tak czy inaczej, jesteśmy w Rzymie. Kto, do diabła, chciałby tu oglądać telewizję? - podniosła się. - Czy moglibyśmy zrobić coś boleśnie przewidywalnego? Koloseum nocą? Mówiłeś, że to niedaleko.

Nie chciał nigdzie wychodzić dopóki istniała możliwość, że ktoś inny wciąż korzysta z tego miejsca. Ale kiedy spojrzał na nią, skąpaną w pomarańczowym świetle, poczuł, że nie jest w stanie odmówić spełnienia nawet jej najmniejszej prośby.

\*\*\*

- Czy coś może stać się bardziej zachwycające, jeśli patrzy się na to częściej? - zapytała Louise. Była oszołomiona.

Koloseum, największy i najsłodszy cukierek Rzymu, na wpół przeżuty przez tysiąclecia, miał na sobie wyraźne ślady zębów historii. Jack widział tak wiele filmów przedstawiających budowlę z wysokości okien samochodów mknących po sąsiadującej z nim autostradzie, że przyszło mu do głowy, iż gladiatorzy z całą pewnością na występy przyjeżdżali fiatami.

Oboje spodziewali się, że Koloseum będzie pełne turystów, ale nie było nikogo poza nimi. Zamknięte na noc, zalane było powodzią złotego światła. Jack trzymał Billy'ego, podczas gdy zachwycona Louise szła pod arkadami rozpościerając ramiona jak samolot, albo szybujący orzeł.

- Wydaje się większe - powiedział Jack. - Większe, niż

zapamiętałem.

Jako student odbył obowiązkową podróż po Europie, ale wtedy był zbyt zajęty sobą, aby przyglądać się budynkom.

- Takie rzeczy zawsze wydają się większe - Louise wciąż szybowwała pod łukami - kiedy jesteś z kimś, kogo lubisz. - Jack obejrzał się na nią, ale zniknęła w plamie mroku. W niekontrolowanym odruchu Jack mocniej przytulił Billy'ego i pocałował go. Przez całą drogę, począwszy od lotniska w Chicago grał rolę ojca; teraz ta rola stała mu się niebezpiecznie bliska.

- Kiedy byłem bardzo mały, ojciec opowiadał mi o lwach i świętach Bożego Narodzenia - powiedział, kiedy Louise wróciła. - A potem mówił, że był po stronie lwów.

- Ja też - odparła Louise.

Jack nie był pewien, co miała na myśli: że też była po stronie lwów, czy że staruszek jej też o tym opowiadał. Ale nie miał okazji tego wyjaśnić, ponieważ zaraz powiedziała:

- To powoduje zawroty głowy. Sama myśl o tym, że tu jestem. Rzym. Czuję się jak po zażyciu ekstazy.

Wiedział, co ma na myśli. W bryzie wyczuwał zapach Tybru. Na Rzym się nie patrzy, w Rzym trzeba się zanurzyć, a on opływa człowieka, jak ciepła woda. Historia była wszędzie, jak mineralne błoto na dnie rzeki, błyszczące, gdy przebijało przez powierzchnię wody.

Starożytność pachniała pękami anemonów i mamiła zatopionymi skarbami, a każda zwietrzała skała przy bliższym badaniu okazywała

się zabytkiem. Nie było tam ani kawałka pierwotnego, surowego kamienia. Wszystko zostało wykopane, wyrzeźbione, przerobione, poprawione i wrzucone w lśniący strumień. W Rzymie, aby poruszać się poprzez historię, potrzeba skrzeli, a gdyby wynurzyć się i zaczerpnąć powietrza, okaże się, że nawet niebo jest zasnuwane pyłem z antycznych cegieł. Rzym jest przesytem, słodyczą i blaskiem jednocześnie. Każdego wieczora miasto ugięło się pod ciężarem własnej pamięci; rano odbudowywało się z nowej, gorącej cegły, aby zaraz zamienić ją w przeszłość.

Rzym odurzał jak działka narkotyku. Jack czuł to na Via di San Gregorio pełnej prychniętych spalinami autobusów, i wśród trąbiących fiatów pod Łukiem Konstantyna, i na szarym niebie nad brunatnożółtą cegłą. Czuł przejmująco wilgotny i ciepły oddech Rzymu na karku i bał się, że zakocha się w swojej przyrodniej siostrze.

- Możemy wracać - powiedziała Louise. - Dostałam już wszystko, co mogłam dostać w jedną noc.

Billy zasnął w ramionach Jacka. Do mieszkania mieli dwadzieścia pięć minut spacerem, ale uparł się, że poniesie chłopca, choć mięśnie drżały mu z wysiłku. Gdzieś po drodze Louise wzięła go pod ramię i w ciszy szli przez ulice rozjaśnione słabym światłem latarni, jak para wracająca do domu.

Tym razem w domu nie było muzyki. Jack naprawił bezpieczniki na wyższych piętrach, ale Louise zaproponowała, aby nie włączać światła na dole. Woląła świece. Zwiedzając dom natknęła się na trzy

kolejne manekiny. Jeden stał w zaciszu półpiętra, miał na sobie wojskowy płaszcz i maskę gazową z respiratorem z drugiej wojny światowej; kolejny, także z popękana głową, ubrany był w togę i stał w sypialni; trzeci, w stroju baleriny i wojskowych buciorach, czaił się w łazience.

Kiedy Louise przygotowała łóżko i położyła Billy'ego, Jack otworzył butelkę wina, a Louise nastawiła muzykę. Wzięła kieliszek, podeszła do okna, uchyliła je i wyjrzała na obramowaną drzewami aleję poniżej. Włosy upięła wysoko i spojrzenie Jacka spoczęło na jej opalonym karku. Chciał podejść do okna, stanąć tuż za nią, bardzo blisko.

- To miejsce - odetchnęła - to, że tu jesteśmy...

- Nawet jeszcze nie zaczęliśmy zwiedzać.

Odwróciła się od okna.

- Ale to nie jest antyczny budynek, prawda?

- Nie. Nie jest. To jak... miałem zamiar powiedzieć *niewidzialna* siła na wolności. Może za bardzo przejąłem się tymi bzdurami, które wypisywał nasz ojciec.

- Czytałeś to? - podeszła do sofy i zrzuciła poduszki na stertę przy jego stopach, ponownie napełniła kieliszki i przyklękła.

- Po tym, jak powiedziałaś mi, że to działa. Ale to są brednie.

- Powiedziałam tylko, że to działa w zaskakujący sposób. Co zrobiłbyś, gdybyś mógł stać się niewidzialny?

- Krążyłbym wokół ciebie. Patrzył, jak robisz różne rzeczy.

Jack zobaczył, jak jej kark, aż po konchy uszu, pokrywa się

rumieńcem.

- Jakie rzeczy?

- Patrzyłbym, jak pijesz wino z kieliszka. Podoba mi się sposób, w jaki to robisz. Patrzyłbym, jak kładziesz Billy'ego do łóżeczka. Takie rzeczy.

Patrzyła w swój kieliszek, a on żałował, że to powiedział. Chciała pójść spać. Już złożyła swoje rzeczy w pokoju z gigantycznym, poskrzypującym łóżem. Jack spytał, czy ma przynieść tam Billy'ego, ale powiedziała że będzie lepiej, jeżeli sama to zrobi. Powiedziała dobranoc, ale go nie pocałowała.

Miał mnóstwo sypialni do wyboru. Większość z nich wyglądała, jakby były niedawno używane. Jack ulokował się w pokoju wychodzącym na główną ulicę. Stał w oknie. Zapomniał wyłączyć muzykę. Spod podłogi sączył się miękki kontralt, poprzez który słyszał słaby, monotony szum nocnego ruchu Wiecznego Miasta.

## DZIEWIĄTY

Aby opanować sztukę niewidzialności przede wszystkim musisz rozwinąć zdolność postrzegania pewnego koloru; to nieuchwytny kolor Indygo.

Nigdy go nie widziałeś. Sądzisz, że tak, ale to nieprawda. Może się zdarzyć, że jakaś cecha, wybryk ludzkiej natury sprawi, iż tak się stanie, ale byłbym bardzo zaskoczony, gdyby więcej niż jedna osoba na pięć milionów przychodziła na świat wyposażona w tę zdumiewającą umiejętność widzenia trudnej do uchwycenia barwy.

Oczywiście jej nazwa jest wystarczająco często przywoływana w przypadkowych, typowych opisach kolorystycznych elementów spektrum. Każdemu sceptykowi powiem teraz - idź i poszukaj spektrum załamane światła. Przyjrzyj mu się, dla siebie. Sam sobie wskaż poziom czerwonego, pomarańczowego, żółtego, zielonego i niebieskiego, a potem pocuj, jak ściska się twoje serce - niemal niezauważalnie, ale jednak - kiedy uświadomisz sobie to, co wiedziałeś zawsze: że twoje oczy przesuwają się od niebieskiego do fioletowego, ale tak naprawdę nie rejestrują stopniowania koloru. Gdzie przeoczyłeś Indygo? Wskaż je. Nie potrafisz. Wyizoluj je. Nigdy tego nie zrobisz. Udajesz, że właściwa gradacja niebieskiego z jednej, a fioletu z drugiej strony tworzy tajemniczą właściwość ukrytą w pytaniu. Oszukujesz sam siebie, w każdym tego słowa znaczeniu. Robiłeś to przez całe życie; dlaczego teraz to zmieniać?



Zakładam, że zakończyłeś ćwiczenie usatysfakcjonowany zaskakującą prawdą. Obawiam się, że opisane ograniczenia i dyscyplina narzucona w tej Instrukcji Obsługi Światła wydadzą ci się bardziej zniechęcające, niż czytelnikom o bardziej naukowym podejściu.

Jeżeli na tych stronach powiem, abyś coś zrobił, a ty tego nie zrobisz, nie uda ci się. Prowadzony przez innych, bardziej doświadczonych w tej dziedzinie, pisma okultystyczne i wskazówki arkan, zjechałem siedem kontynentów w poszukiwaniu tej barwy. Na całym globie znalazłem tylko trzy miejsca, gdzie kolor ten jest łatwo dostępny - w każdym razie dla osób podążających dokładnie za moimi instrukcjami - jedno z tych miejsc jest obecnie poza ich zasięgiem ze względu na wydarzenia polityczne i militarne, które w tym konkretnym kraju powodują chaos. Pozostałe dwa miejsca znajdują się w Chicago i w Rzymie, stolicy Włoch. Możesz tam pojechać i rozejrzeć się na własną rękę, jednak przekonasz się, iż żaden przewodnik, poza moim, nie wspomina o obecności ulotnego Indygo.

Istnieje jeszcze jedna możliwość, choć sądzę, że znajduje się poza zdolnością pojmowania i cierpliwością większości ludzi. Wspominam o niej tylko ze względu na poczucie obowiązku. Otóż cień jest stale dostępny na obu biegunach.

Dołączyłem niegdyś do pieszej ekspedycji na biegun północny i południowy. W obu przypadkach wyprawom nie udało się zdobyć świętego Graala i musieliśmy zawrócić; w obu przypadkach byłem jedynym członkiem ekipy, który nie był przerażony. Natknąłem się na

swojego własnego Graala; przy obu okazjach widziałem i objąłem to, co nieuchwytnie.

Pozwolę sobie dodać, że nie można pójść na Arktykę lub Antarktydę i z góry zakładać powrót z upragnionym kielichem. Odkrycie go zależy od poddania się dzień po dniu bezlitosnemu środowisku Białego Światła. Na biegunach doświadcza się braku naturalnych barw. Ziemia jest biała, niebo jest białe. Po jakimś czasie nawet towarzysze zaczynają wyglądać jak zarys szarych, przypominających duchy postaci, wlokących się mozolnie przed lub za tobą. Przyjazne pogawędki między kolegami wkrótce milkną, a nawet stają się irytujące. Cisza, przerywana jedynie rytmicznym poskrzypywaniem czyichś butów na śniegu, staje się jedynym akceptowalnym stanem. W tym momencie oczy, zwierciadło duszy, zamglone spoglądaniem do wewnątrz zaczynają łzawić. Przerażająca biel, dzień po dniu.

A potem w nocy ktoś ma sny. Inspirujące sny o migoczącym, nasyconym, egzotycznym kolorze. Tak, jak można śnić o ciepłe, można też śnić o imperialnych szkarłatach, arystokratycznych szafirach, szmaragdowych zieleniach i żółciach. Jak antidotum na nieustępliwą biel, sny są kwieciste, bogate i przerażające nadmiarem. Po wielu dniach stwierdziłem, że można się obudzić, dołączyć do kolumny, kontynuować marsz i w mgnieniu oka znów osunąć się w sen, podczas gdy ciało wciąż jest w ruchu. I oto widziałem je w kalejdoskopowym majestacie snu, tam mogłem znaleźć moje mistyczne Indygo.

Jeśli raz zobaczysz ten kolor, już nigdy go nie zapomnisz. Choć w większości przypadków jest całkowicie niedostrzegalny, sam w sobie jest wielkim sekretem stanu Niewidzialności.

Przyjmuję, iż nie masz ani zdolności, ani odporności, ani nawet możliwości, aby odwiedzić rejony polarne po to tylko, by poczuć tchnienie tego fenomenu. Dlatego właśnie musisz trzymać się ściśle moich instrukcji. Wcześniej mówiłem, że nikt nie zaprowadzi cię tam, gdzie ja mam zamiar cię zabrać. Żaden przewodnik, ani Baedeker, ani Fodor nie zagościli nigdy w pałacu Indygo. Wymaga to mojego przewodnictwa. Jak już mówiłem, dostęp do tego miejsca jest możliwy w konkretnym dniu roku, o konkretnej godzinie o zmierzchu. Widać je z konkretnej ulicy znad rzeki, kiedy światło przygasa. Chociaż traktujesz to jak figurę retoryczną, jest to wyraźna ścieżka do drzwi percepcji. I tylko wtedy, kiedy podążysz tą drogą i nigdzie z niej nie zboczysz, jeśli precyzyjnie wypełnisz instrukcje, trafisz w dłonie nadprzyrodzonego.

## DZIESIĄTY

Między Jackiem a Louise było jakieś napięcie. Plany mieli dość płynne, Rzym rozleniwiał, powinni oglądać zabytki, pałace i pomniki, zanim zabrali się za szukanie Natalie Shearer. Wypełnianie ostatniej woli mogło poczekać. Ale po wydarzeniach pierwszego wieczoru w Rzymie było to niemożliwe. Nie rozmawiali o tym, co się stało. Jack mógł zapytać „Co ja takiego zrobiłem?“, ale tego nie zrobił. Louise mogła poruszyć temat mówiąc „A co do ostatniej nocy...“, ale tego nie zrobiła.

- Wczesnie wstałeś - powiedziała Louise, wychodząc z sypialni w jedwabnym kimonie, które znalazła wiszące na drzwiach. Lazurowy błękit, z wijącym się na plecach fioletowym chińskim smokiem, podkreślał jej lekką opaleniznę. Światło padające z okna ślizgało się po jedwabiu.

- Pomyślałem, że zabiorę się za sprawę Shearer.

- Dobry pomysł. Więc do roboty.

- Zamierzam zacząć od miejsc, które nasuwają się same.

Wyszukałem dla ciebie kilka numerów telefonów. Może mogłabyś dziś spróbować.

- Jasne.

- Wrócę po południu. - Jack zszedł ze schodów z płonącymi policzkami. Uświadomił sobie, że podczas tej krótkiej, ale paradoksalnie długiej rozmowy wstrzymywał oddech.

Nie zrobił zupełnie nic w sprawie Shearer. Idąc po własnych śladach z poprzedniego wieczoru, wrócił do Koloseum. Kiedy zaczęło padać, arabscy handlarze oferujący parasole zjawili się jak spod ziemi, więc kupił jeden, potem opłacił sobie wejście do Koloseum. Nawet deszcz nie przepłoszył stamtąd turystów, ale Jack znalazł osłonięte miejsce w górnym rzędzie. Parasol trzymany pod odpowiednim kątem chronił go od deszczu.

Najbardziej niepokoiło go to, że nie wiedział, czy jest w Rzymie ze względu na Natalie Shearer, czy ze względu na Louise Durrell. Teraz już nie mógł udawać, że jest zainteresowany wyłącznie rolą wykonawcy ostatniej woli swego szalonego ojca. Chociaż Louise była tu z nim pod pretekstem pomocy w sprawie Shearer, nadal miał na jej temat zbyt wiele niestosownych myśli. Wmawiał sobie, że to nie była ucieczka z Chicago. W ostatniej chwili i wbrew instynktowi, wprowadził sporo komplikacji i zamieszania związanego z obecnością Louise w Rzymie.

Kiedy zgodziła się z nim przyjechać, nie mogła wiedzieć, że ukrywał romantyczne wyobrażenia. Nie miała o tym pojęcia, dopóki sam się z tym nie zdradził. Dlaczego zadaje sobie ból przez kobietę? Nawet nie wiedział, kim naprawdę jest Louise Durrell, ani dlaczego nie mógł jej wyrzucić ze swoich myśli, ani dlaczego ona (albo inne, podobne do niej kobiety) sprawiła, że siedział teraz w zalewanych deszczem ruinach.

Siedział jak przykuty do areny, słyszał ryk zwierząt i czuł lwi zapach kobiecej żądz, krążącej i czekającej na strażnika, który

uniesie sztabę i otworzy klatkę. I jak zapewne niegdyś obywatele Rzymu czekał, aż arena zatrzęsie się od szyderczego śmiechu. Ponieważ Louise była jego siostrą.

Deszcz ustał, wyszło słońce i parasole, oprócz tego, który trzymał Jack, zniknęły. Nie ruszył się ze swojego miejsca, aż zobaczył pomiędzy kolumnami u podstawy areny kobietę z małym dzieckiem. Louise pchała spacerowy wózek, który przywieźli ze sobą. A więc jej także instynkt kazał wrócić do miejsca magii z pierwszej nocy.

Nie mogła go widzieć, ale na wszelki wypadek schował się za pochylonym parasolem i patrzył. Z tej odległości Louise była małą, samotną figurką zagubioną w ogromie Koloseum, przechodzącą przez tunele, szukającą drogi wyjścia. Odgarnęła włosy z oczu, wydawała się marszczyć brwi, niepewna, w którą stronę pójść. Musiał zdusić odruch kazały mu pognać w dół, do niej.

Ubolewał nad władzą, jaką miały nad nim kobiety; nad tym, że każda jego myśl była związana z potrzebą przebywania z nimi; że był tak beznadziejnie kobietami zafascynowany, i mógł się okłamywać co do własnych motywacji, aby tylko być blisko nich; że nie mógł być pewien swoich opinii o nich i był jak uzależniony od działki jakiegoś paskudztwa. Marniał z tęsknoty w niewątpliwie najbardziej romantycznym mieście na świecie, boleśnie pragnął iść u boku tej jednej, szczególnej i jakże nieodpowiedniej. Odgarniała teraz włosy z oczu i wyglądała na zupełnie zagubioną i samotną. Pchała ciężki wózek między głazami, które wygrywały fanfary na cześć historii.

Louise zniknęła mu z oczu, a jemu coś kazało szybko za nią

pobiec. Ale strach, który przykuł go do starożytnego kamienia był większy niż gladiatorska żądza zwycięstwa. Poczul strach przed tym, że ona go odrzuci. Pozwolił więc jej odejść, dając czas na dokładne obejrzenie Koloseum, zanim sam stąd wyjdzie.

Ile czasu, nie wiedział. Dalej więc siedział, bo jeśli Louise wybrała najbliższe wyjście, to już jej nie ma; z drugiej strony jeśli się nie spieszy, to wciąż może być w pobliżu. Dał więc sobie tyle, ile trzeba, aby przekonać samego siebie, że wcale jej nie goni, ale nie aż tyle, aby mieć pewność, iż naprawdę odeszła. I tak wpadł na nią, gdy wychodziła z Koloseum.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami, odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i powiedziała:

- Czy możemy zacząć od nowa?

\*\*\*

Spędzili popołudnie objadając się wspaniałymi, rzymskimi ciastami, chociaż wiedzieli, że to jedzenie zastępcze. Z Koloseum przeszli do Forum i zrobili sobie typową wycieczkę, a Louise sprawdzała wszystko w przewodniku. Rozmawiali o architekturze. *Architekturze*. Podczas gdy tak naprawdę Jack chciał porozmawiać o tym, co się dzieje między nimi, usłyszał swój głos, jakby nagrany przez przewodnika muzealnego, mówiący o bogatych reliefach na Łuku Tytusa i przepięknych sklepieniach Bazyliki Maxentiusa i Konstantyna. Louise podjęła grę mówiąc o zrównoważonych proporcjach Domu Dziewic Westy i o wzbijających się w górę, eleganckich kolumnach świątyni Kastora i Polluksa. Podczas

wycieczki Billy w swoim wózku był dziwnie cichy. Od czasu do czasu wykręcał główkę, aby spojrzeć na swoją mamę, potem na Jacka, zupełnie jakby się zastanawiał, o czym tych dwoje ludzi tak gorąco dyskutuje.

Potem Louise, nie nawiązując szczególnie do niczego, Powiedziała:

- Jak sądzisz, czy małżeństwo jest rodzajem architektury?

Jack nie spuszczał wzroku z masywnego łuku Septymusa Sewera.

- Byłem żonaty dwa razy i żaden z tych związków nie przetrwał nawet ułamka tego czasu, co budowle, które tu stoją.

Billy'emu zadrżały usteczka.

- Chyba jest głodny - powiedziała Louise.

Znaleźli cukiernię, gdzie kelner roztaczał włoski czar, posadził Billy'ego w wysokim krzeselku i skakał wokół nich, jakby byli pierwszymi klientami w sezonie. Billy wycelował palec w kelnera i powiedział:

- Dada!

Kelner oblał się rumieńcem. Louise oblała się rumieńcem. Jack zrobił dziwny grymas. Wzięli małe, neapolitańskie ciasteczka ryżowe i cappuccino. Rzym okazał się nieznośnie, słodki. Powodował, w każdym razie u Jacka, nowy rodzaj bólu zębów.

Jack nigdy nie zakładał, że ambicje jego i Louise dotyczące wyprawy do Rzymu są zbieżne. Często musiał przywoływać się do porządku, ponieważ nie miał prawa tego oczekiwać. Ubolewał, że



miasto tak szybko stało się miejscem tortur.

Rzym był poniekąd odpowiedzialny za jego kłopotliwe położenie. Problem z tym miastem był taki, że stawiał człowieka jak na scenie. Nieważne, w jakim miejscu akurat się przebywało, każdy gest stawał się wyrazisty, wręcz przerysowany. Ruiny, ulice wybrukowane średniowiecznymi kamieniami, renesansowe kościoły, barokowe fontanny - wszystko to było niezmiennie. Każde z tych miejsc było sceną, a na takiej scenie trudno prawić banały. W każdej sytuacji człowiek był jak posąg, jakby wszystkie wielkie wydarzenia, narodziny i upadki imperiów dotyczyły go bezpośrednio, i jakby cudem tylko ocalał, a z kart historii przywiodła go miłość, waluta współczesnego Rzymu. Miłość stawia każdego poza historią. Tłumi poczucie śmiertelności. Jest jedynym antidotum na przemijanie czasu, w dodatku w bogatych dekoracjach.

Być może dlatego Rzymianie nie przejmują się zabytkami, przechodząc obok nich codziennie w drodze do pracy. Beztrosko zaśmiecają i zanieczyszczają pomniki i ulice, a *menefreghismo*<sup>11</sup> - rzymska umiejętność lekceważenia wszystkiego - jest warunkiem koniecznym, aby nie utonąć w rwącym nurcie historii. Rzymianie nieznający miłości biegają po mieście z telefonami komórkowymi, płacą specjalnym firmom, by dzwoniły do nich co pół godziny, desperacko chcą nadażyć za modą i mają świadomość, że cały ten wysiłek to tylko próba desperackiej samoobrony. Nie dostrzegają w pędzie, że moda już się zmieniła, coś im umknęło, coś ważniejszego, niż kolejna moda. W Rzymie dopuszczalny jest tylko jeden stan, tylko

---

<sup>11</sup> *Menefreghismo* (wł.) - nieprzejmowanie się niczym, luz

jedno może uwolnić człowieka od długu historii: musi żarliwie kochać i być kochanym z taką samą żarliwością, wtedy unosi się ponad postępującym rozkładem. Jeżeli nie, jest jak przykuty do brudnej ziemi przez gladiatora, wystawiony na drwiny tłumu i skazany na śmierć.

- Dlaczego marszczysz brwi? - spytała Louise. - Zawsze marszczysz brwi.

- Tak? Zamyśliłem się tylko. Jeszcze kawy?

Louise chciała coś powiedzieć. Milczała przez chwilę.

- Idziemy?

- Chcesz jeszcze coś obejrzeć?

- Mam wrażenie, że upiłam się cegłami.

- Moglibyśmy zejść do rzeki. Rzucić okiem na słynny Tyber.

- Pewnie. Potem wrócimy, dobrze? Zdrzemniemy się? Jestem trochę wybita z rytmu. Moglibyśmy kupić kilka rzeczy i zjeść w domu. Czy to brzmi zachęcająco? - świdrowała go wzrokiem, jakby to było najbardziej intymne pytanie, jakie mogła mu zadać.

- Brzmi nieźle.

Zeszli do rzeki. Billy szybko zasnął w swoim wózku. Przeszli kawałek liczącym dwa tysiące lat Mostem Fabrycjusza, popatrzyli w dół na szarozieloną wodę. Jack przeczytał na głos z przewodnika coś o rzece w czasach upadku imperium, rzece pełnej ciał i syczących węży; o królach, cesarzach, papieżach, antypapieżach oraz politycznych powodach, dla których można było zostać zabitym i wrzuconym do Tybru. I to prawie rytualnie.

- Chyba nie myślisz o tym, aby mnie tam wepchnąć, co? -  
powiedziała Louise.

- Jeszcze nie - odparł Jack.

## JEDENASTY

Tego wieczoru Louise zaskoczyła Jacka, ponieważ oprócz makaronu i sałatki z ostrym, wyciskającym łzy sosem, były też świece i usta muśnięte różową szminką. To wprowadziło go w zakłopotanie. Byli w domu sami i oprócz niego nikt nie mógł jej zobaczyć.

Znów włączyli muzykę operową i wyłączyli światło elektryczne. W domu migotały świece.

- Kathleen Ferrier - powiedziała Louise, wsuwając kompakt do odtwarzacza. - Tata ją uwielbiał.

Jack uczył się nie pałać nienawiścią do różnych rzeczy tylko dlatego, że ojciec je kochał. Kobięcy głos, pełny i głęboki sprawił, że podniosły mu się włoski na przedramionach.

- Lubił sopran, co?

- Kontralt - poprawiła Louise, a Jack poczuł się głupio.

Wszystko to zdarzyło się po tym, jak przygotowała posiłek.

- Czy wujek Jack dostanie całusa na dobranoc? - powiedziała do Billy'ego, zanim zabrała go do sypialni, aby ułożyć go do snu. Owszem, wujek Jack dostał całusa na dobranoc i poczuł, jak jego serce mocniej zabiło. Ale podobało mu się określenie „wujek”. Włączało go do ich życia.

Louise poprosiła, aby poszukał jakichś serwetek i nakrył stół. W salonie stała bogato zdobiona szafka z drewna orzechowego, od której zaczął poszukiwania. Wysunął szufladę i znalazł stertę papierów:

listów, rachunków i wycinków z gazet. Wszystkie pochodziły z włoskich czasopism i widniały na nich zdjęcia niejakej Anny Marii Accurso, kruczowłosej, sarniookiej, włoskiej piękności. Nie musiał znać włoskiego, aby domyślić się, o co chodziło. Słowo *suicida*<sup>12</sup> widniało na każdej notce. Jego oczy zatrzymały się na dacie publikacji: 17 lutego. Zapamiętał, aby zapytać o to Louise, tymczasem odsunął papiery i przewracał zawartość szafki, dopóki nie znalazł serwetek.

Jakiś czas później usłyszał szum wody lejącej się z prysznicza, a potem, kiedy Louise pojawiła się ze szminką na ustach i cieniem na powiekach pomyślał, że jest gotowa podbijać nocne kluby Rzymu. Zamrugał, ale nic nie powiedział. Wszystkie myśli o wycinkach z gazet wyparowały mu z głowy.

Louise zaczęła od czerwonego wina i chociaż pomyślał, że za szybko jej idzie, znów nic nie powiedział. Zanim usiedli do jedzenia, musiał otworzyć drugą butelkę. Zastanawiali się nad osobowością Natalie Shearer. Jack zrobił lekceważącą uwagę o znajomych ojca, ale był zaskoczony słysząc, że Louise go broni.

- Wiem, że masz powód, żeby go nienawidzić - powiedziała - ale pod wieloma względami to był nadzwyczajny człowiek.

Jack nie miał takich doświadczeń.

- Wiesz, dlaczego według mnie lubił Rzym? Podobały mu się te faszystowskie powiązania. Słyszałem kiedyś, jak rozwodził się nad pięknem faszystowskiej architektury.

- No i co z tego? Mnie też podoba się dworzec. Czy

---

<sup>12</sup> Suicida (wł.) - samobójstwo

kiedykolwiek słyszałeś, aby wygłaszał jakieś prawdziwie faszystowskie opinie?

- Wiele razy. - Jack zastanowił się. W czasie, który spędził w Nowym Jorku, nigdy nie poznał sympatii politycznych ojca. Czasem wygłaszał zacietrzewione prawicowe oświadczenia; innym razem brzmiał jak anarchista; kiedyś słyszał, jak mówi, że w Stanach Zjednoczonych jest republikaninem, a w Rzymie komunistą. Louise osuszyła swój kieliszek i wyniosła talerze do kuchni. Chwiała się, musiała przystanąć i wpaść w wąskie drzwi do kuchni. Kiedy przygotowywała deser karmelowy, Jack usłyszał huk.

Na podłodze z terakoty coś się roztrzaskało. Jack uprzątnął rozbite szkło i przypomniał sobie stłuczony kieliszek na jednym z przyjęć ojca w Nowym Jorku.

- Pamiętasz, że nigdy nie nosił butów?

- Pewnie. Nie znosił butów.

- Tak, kiedyś - au! - Jack zaciął się w palec kawałkiem szkła. Odruchowo wsadził go do ust.

- Pokaż. - Wzięła jego dłoń i zbadała ranę. Włożyła jego palec do ust i possała. Poczul jej język przesuwający się wzdłuż cięcia. Potem puściła jego rękę i odwróciła się, aby wziąć deser. - To drobiazg. Weź chusteczkę. I otwórz jeszcze jedno wino.

Jack odkorkował trzecią butelkę i wrócił na miejsce. Louise, zarumieniona, spytała, o czym mówił. Musiał się przez chwilę zastanowić.

- Już wiem. No więc było przyjęcie i ktoś stłukł kieliszek. Wtedy

go wielbiłem, chociaż znałem go raptem trzy tygodnie. Ze świadomością, że ma gołe stopy, od razu opadłem na czworaki i zacząłem zbierać odłamki. On mnie powstrzymał. - Co ty robisz? - zapytał. Ratuje twoje stopy, odparłem. - Nie przejmuj się tym. Skóra zasysa szkło - powiedział, i stanął na nim całym ciężarem, a potem strzepnął odłamki ze stopy do kosza na śmieci. A potem pokazał mi stopę. Nie było ani śladu. Żadnej ranki. Nic.

- Podróżował po świecie po to tylko, żeby uczyć się takich sztuczek. Pojechał na Borneo czy gdzieś tam, aby chodzić boso po rozżarzonych węglach. Kiedy byłem mała, próbował mnie tego nauczyć, ale za bardzo się bałam. Nalej mi jeszcze wina, proszę.

- Masz zamiar się upić?

Jej spojrzenie było zamglone, a do oczu zakradł się lekki zez. Złapała butelkę i opadła ciężko na sofę.

- Zostajesz przy stole?

Podniósł się, aby usiąść w fotelu po drugiej stronie pokoju, ale poklepała dłonią poduszkę obok siebie. Usiadł, ale starał się od niej odsunąć. Uśmiechnęła się i przeciągnęła, po czym zrelaksowana opadła na oparcie. Światło świec uwydatniło puszek na jej ramionach, niewidoczny w normalnym świetle. - Dlaczego tak niechętnie mówisz o czasach, kiedy byłeś gliną?

- Bobbym. Mówiłem ci wcześniej, że w Anglii mówi się bobby. Jak chcesz, to ci wszystko opowiem.

- Czy zdarzyło się coś złego?

- Masz na myśli to, czy widziałem martwe dzieci? Albo wojny

narkotykowe? To nie dlatego oszczędłem.

- Więc dlaczego?

- Z powodu oka policjanta.

- Co?

- Co, co?

Lekko potrząsnęła głową i spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wydawało mu się, że jakimś cudem wytrzeźwiała. Podniosła się na nogi.

- Nawet nie powinnam tu być. Mam milion rzeczy do zrobienia w Chicago.

- Usiądź - powiedział Jack. - Odpręż się.

- Nie, idę do łóżka. Boli mnie głowa. Wypiłam za dużo wina - przypadkowo kopnęła niedokończoną butelkę.

Jack odczekał jeszcze chwilę po jej wyjściu. Wreszcie poszedł do swojego pokoju zostawiając butelkę i rozlane wino.

\*\*\*

Następnego ranka Jack z rozmysłem wstał wcześniej i wyszedł z domu, zanim Louise się obudziła. Szedł bardzo szybko w kierunku przeciwnym do Koloseum, nie zatrzymał się, aż dotarł do bramy Świętego Sebastiana, cały czas myśląc o krwi.

Krew, dumał, przypadek, który dawał dzieciom to samo serce, sprawiał, że rosną razem, bawią się i walczą, dopóki pokrewieństwo (dotychczas tak naprawdę nie rozumiał tego słowa) nie zamieni się w więź na całe życie. Ale czy krew wzywa krew, czy krew rozpoznaje krew? Jeśli dobrze ją rozumiał, to teraz przyciąganie było obopólne.



Kto powiedział, że to zakazane? Biskup w białej szacie w Złotej Kopule, wznoszącej się na północnym brzegu Tybru jak złoty polip, jak napuchnięta cysta winy i lęku? *Polizia* w swojej kwaterze głównej na Questura Centrale? Policjanci w Rzymie nosili różne mundury w zależności od pełnionej funkcji, białe i stalowoniebieskie, błękitne, popielate i czarne jak *carabinieri*. Zastanawiał się, którzy z nich przyjdą po grzesznika pożądającego swojej siostry. I kto nakaże im przyjść.

Może to nie miałoby znaczenia, gdyby nie wiedział, że to siostra, ot, zwyczajny akt bez poczucia winy. A gdyby przypadkowo był w Chicago w całkiem innej sprawie i spotkaliby się w barze dla singli? Czy to naprawdę była jego siostra, skoro mówiła z dziwnym akcentem, nie rozumiała wcale jego żartów i sądziła, że spodnium to jakieś warzywo? Prawdziwa siostra nie byłaby taka. Spojrzał na swoje ręce. Leciuteńko drżały.

Brama Świętego Sebastiana zamykała się nad jego głową. Rzym dopasowywał się do jego uczuć, przybierał odcień zgnilizny, a pomniki wyglądały jak brudna imitacja antycznej architektury zrobionej z papier *mâché*<sup>13</sup>. Nagle rzymskie dekoracje wydały mu się zbudowane przez partaczy, zwiastunów pecha.

Jack musiał sobie przypomnieć, po co właściwie przyjechał do Rzymu, więc wyruszył do agencji detektywistycznej. Wynajął ją jeszcze w Chicago, aby odnalazła Natalie Shearer. Biura agencji mieściły się w dzielnicy San Giovanni. Złapał taksówkę. Wielkie

---

<sup>13</sup> Papier *mâché* (fr.) - masa rzeźbiarska, sporządzona z rozdrobnionego i namoczonego w wodzie papieru z dodatkiem substancji wiążących i wypełniających.

biuro na drugim piętrze nowoczesnego budynku było obsługiwane przez drobną, młodą kobietę w masywnych okularach. Miała na imię Gina. Nie wyglądała na więcej niż trzynaście lat, ale krwistoczerwona szminka na ustach świadczyła o czymś innym. Jack podał swoje nazwisko, a ona szybko skojarzyła sprawę. Zrobiła kilka operacji w komputerze i coś dla niego wydrukowała.

- Mamy dla pana adres. Nawiązaliśmy kontakt. Ta osoba mieszka tutaj.

To było raczej łatwe, ale Jack wiedział, że poszukiwanie ludzi zazwyczaj tak właśnie wygląda. Zerknął na adres.

- Trastevere - odpowiedziała młoda kobieta. - To zachodni brzeg rzeki. Czym możemy jeszcze panu służyć, panie Chambers?

- Nie, niczym - powiedział Jack, ale zaraz coś przyszło mu do głowy. Jej angielski był bardzo dobry. Wyciągnął portfel i wyjął z niego jeden z wycinków znalezionych przy okazji poszukiwania serwetek. - Właściwie tak. Czy mogłaby to pani dla mnie przetłumaczyć?

Wzięła od niego wycinek.

- Chce pan to na piśmie?

- Nie. Proszę mi tylko powiedzieć, o co chodzi.

Wzruszyła ramionami, przeczytała całość i powiedziała:

- Cóż, ta dziewczyna na zdjęciu była artystką. Rzeźnia?

- Rzeźba?

- *Si*. Rzeźba. I popełniła samobójstwo. Anna Maria Accurso. Nie wiedzą, dlaczego. To dziwne, ponieważ zdobyła wiele nagród. I nie

zostawiła żadnej informacji, dlaczego to zrobiła. A zabiła się piętnastego lutego, dokładnie o północy, tyle wiedzą. Pytają, dlaczego, ale nie ma odpowiedzi. Miała dwadzieścia trzy lata i również mieszkała w dzielnicy Trastevere - zdjęła okulary i spojrzała na niego życzliwymi, brązowymi oczami. - Sądzę, że to bardzo smutna historia.

- Tak. Tak. Bardzo smutna. Była pani bardzo pomocna - wyciągnął kartę kredytową. - Czy mogę uregulować rachunek, skoro już tu jestem? - znów wzruszyła ramionami, nacisnęła kilka klawiszy eleganckimi, pomalowanymi paznokciami i usłyszał zgrzytanie drukarki. Jack spojrzał na rachunek. - Nie doliczyła pani usługi translatorskiej - co skwitowała ponadczasowym, rzymskim gestem. - Jeszcze raz dziękuję.

- Proszę bardzo. Proszę dać znać, gdybyśmy znów mogli pomóc.

Oczywiście - wyszedł z budynku, desperacko próbując sobie przypomnieć nazwisko tego młodego, chicagowskiego artysty, który zniknął. Chadbourne? Nicholas Chadbourne? Próbował także przypomnieć sobie datę jego nagłego zniknięcia. Zapisał sobie w pamięci, aby zapytać o to Louise; ale najpierw musiał odwiedzić Natalie Shearer.

## DWUNASTY

Jack przeszedł przez most Garibaldiego. Ze wzgórza rozległ się huk wystrzału z armaty, oznaczający południe. Odnalazł adres Viale di Trastevere w wąskiej uliczce między budynkami w kolorze pieprzu. W oknie powyżej stara kobieta opierała się na parapecie między doniczkami z geranium, ssła policzki i obserwowała, jak się zbliża. W kolejnym oknie wisiało pranie, nieruchome w spokojnym powietrzu. Niewidoczny kanarek wyśpiewywał gdzieś swoje melodie odbijające się echem od ceglanych murów.

Podszedł do wielkich wrót sklepionych łukiem. Stare drewno było spróchniałe i popękane, a zgniłozielona farba odpadała płatami. Tabliczka z przyciskami domofonu nie zawierała wskazówek, do jakich przynależały mieszkań. Jack nacisnął pierwszy od góry i czekał. Z okna nad jego głową gapiła się na niego starucha ssąca policzki. Nacisnął wszystkie guziki jednocześnie.

Nikt się nie odezwał, więc Jack popchnął drzwi. Uchyliły się, ukazując wąskie przejście prowadzące na otwarty dziedziniec okolony trzema piętrami mieszkań. Na podwórku coś się działo; w górę tryskała kaskada jadowicie niebieskich iskier, a figura w industrialnej masce pochylała się nad palnikiem spawalniczym. Kiedy podszedł, spawarka z nagłym trzaskiem wybuchła ogniem, a Jack zaczął mrugać, oślepiony fioletowymi błyskami. Odwrócił wzrok i czekał, aż spawacz skończy. Spawarka sapała, prychała i dymiła jak pistolet na

filmie. Spawacz zauważył Jacka, odwrócił się powoli, zerknął parą ciemnych oczu zza brudnej, przyciemnianej szybki.

Zdjął maskę i cisnął ją na ziemię, a Jack z zaskoczeniem stwierdził, że spawaczem była kobieta. Długie, ciemne włosy miała odgarnięte do tyłu. Ognieście czerwona wstążka zwracała uwagę na długą szyję o barwie kości słoniowej. Jej twarz, pomazana węglem, lśniła od potu.

- Mówi pani po angielsku? Szukam Natalie Shearer.

- A kto pyta? - choć wyglądała na Włoszkę, jej akcent był angielski jak popołudniowa herbata.

- Znała pani Tima Chambersa.

Ściągnęła usta, jakby powstrzymywała uśmiech. Nałożyła maskę, uniosła palnik i wróciła do swojej pracy. Jack przestępował z nogi na nogę, dopóki nie odłożyła palnika.

- Czego on chce? - krzyknęła zza maski.

- Niczego nie chce. Nie żyje. Maską znów opadła.

- No to co?

- Zostawił pani mnóstwo pieniędzy.

- Dobrze. Kiedy je dostanę?

- Nie wydaje się pani przejęta wieścią, że umarł. Ani zaskoczona tym, że zostawił pani jakieś pieniądze.

Była wysoka i smukła, co podkreślały zatłuszczone, postrzępione jeansy. Jack oceniał ją na nieco powyżej trzydziestki. Łatwo było dostrzec, dlaczego ojciec stracił dla niej głowę, chociaż jej urok nieco już przygasał, może z powodu życiowych doświadczeń. Większość

kobiet uśmiechnęłyby się na powitanie, ale nie ta.

- Jeśli przyjechałeś dać mi jakieś pieniądze, dobrze. Jeśli nie, to jestem zajęta.

- To nie takie proste. Trzeba spełnić jeden czy dwa warunki. Na przykład, trzeba wydać książkę.

- No nie mów. Niewidzialność. Cholera.

Z kieszonki na piersiach wyciągnęła papierosy i zapaliła jednego, trzymając go między dwoma długimi, choć brudnymi palcami.

- Do diabła, zostanie dla ciebie mnóstwo kasy.

Natalie Shearer markotnie obejrzała efekty swoich działań spawalniczych, jakby podejmowała decyzję. Jack widział tylko połączone rury, jak szprychy w kole. Potem uniosła wzrok i spojrzała na niego twardo. Białka jej oczu były nieco zaczerwienione, może od spawania, w jej spojrzeniu było także coś wilczego i srebrzystego, niepokojącego i prowokującego, Jack poczuł strumyczek wilgoci pod kołnierzykiem.

- Wejźmy do środka - powiedziała.

„Środek” był zdewastowaną przestrzenią roboczą z nagimi rurami, gołymi deskami i pustymi ścianami. Studio było puste po jednej stronie, po drugiej zaś zalegała masa ciasno upchanych, figuratywnych rzeźb, jakby jakaś gigantyczna dłoń uniosła podłogę i strząsnęła wszystko w dół, do jednego kąta. Kiedy weszli do środka, napotkali spojrzenie dwóch ciemnookich, włoskich chłopców. Siedzieli na śpiworach, dzieląc się papierosem. Powietrze cuchnęło

haszyszem i niemytymi stopami.

- *Vattene!* - parsknęła Natalie, jakby byli kotami w kuchni. „Wynocha!”. Jak koty, zniknęli szybko. - Ci Włosi są przystojni - powiedziała do Jacka, wsypując kawę do garnka i stawiając go na piecyku - ale masz ochotę ich użyć, a potem po prostu wyrzucić.

Poruszała się w agresywnie kołyszący się sposób. Taksowała go wzrokiem, badała szczegóły, zimno oceniała. Chciała pozbawić go pewności siebie, zepchnąć do defensywy. Widywał to wcześniej u ludzi, którzy mieli coś do ukrycia.

Nie było na czym usiąść, żadnego stołka, nawet odwróconej skrzynki. Wcisnęła mu do ręki obtłuczony kubek. Cała rozmowa była prowadzona w niewygodnej, stojącej pozycji.

- Znałeś Tima?

- Był moim ojcem.

Zmarszczyła brwi.

- Nigdy mi nie mówił, że ma syna.

- Mnie też za dużo o tym nie mówił.

- Więc rozumiesz, dlaczego nie szlocham, prawda?

Jack prychnął. Cechowała ją taka sama zimna uroda, jak posągi na Forum i podobnie jak one była niezbyt skłonna do płaczu.

- Jak dobrze go znałaś?

- Pomógł mi. Załatwił mi wystawę, tu, w Rzymie. Chociaż musiałam się z nim za to przespać.

Twarda dziwka; ale teraz widział, że to tylko wykręty.

- Jesteś artystką; mogę cię o coś spytać? Widziałaś kiedykolwiek

kolor indygo?

- Ha! - postawiła swój kubek na zachlapanym farbą blacie i wskazała mu obraz o grubej strukturze, ukazujący stopniowanie koloru pomiędzy niebieskim a fioletem. - Mieszam wszystko, co się da. Krew menstruacyjną, spermę, wszystko tam jest. Mleczko makowe. Niebieskie curaçao<sup>14</sup>. Wszystko. Nie możesz zobaczyć indygo, bo nie da się go zobaczyć.

- Mój ojciec w nie wierzył.

- Tak jak wszyscy. Cały świat wierzy, że istnieje kolor o nazwie indygo, dopóki nie poprosisz, aby go wskazano. Kiedyś w niego wierzyłam. Kiedy byłam młoda i łatwowierna. Spędziłam mnóstwo czasu próbując go uchwycić na płótnie. Na tym obrazie są dwie barwy uzyskane z barwnika roślinnego zwanego *Indigofera*. Powiedz mi, że to nie są odcienie niebieskiego.

- Aby otrzymać spadek po moim ojcu musimy opublikować jego książkę o niewidzialności; są tam jeszcze inne warunki. Jesteś na to gotowa?

- Może.

- Nie przyszedłem tu po to, aby cię przekonywać. Tak albo nie, i wybacz, ale wyglądasz, jakby pieniądze były ci potrzebne. Będę tu jeszcze może ze dwa dni. Mieszkam w jego domu. Adres to...

- Znam jego dom. Jeśli odpowiedź będzie brzmiała „tak”, zadzwonię do ciebie - zabrała mu kubek i wylała resztki do zlewu w kącie. Potem wyprowadziła go na zewnątrz i podniosła maskę leżącą na podwórku, gotowa wracać do pracy. Dwóch włoskich chłopców

---

<sup>14</sup> Curaçao - rodzaj napoju alkoholowego.



siedziało tam, gapiąc się na nich.

- Nad czym pracujesz? - zapytał Jack.

- Skoro nie widzisz, co to jest, nie ma sensu, żebym ci tłumaczyła - naciągnęła rękawice, nałożyła maskę i włączyła palnik. Jack wyszedł z dziedzińca. Na ulicy stara kobieta patrzyła z nad parapetu i wciąż ssała policzki.

## TRZYNASTY

Masz prawo sądzić, że kiedy odnoszę się do Niewidzialności, lub umiejętności dostrzeżenia koloru Indygo, mówię o jakiejś sztuczce umysłu. We wszystkim o czym mówię, chodzi o pewien fenomen optyczny. Trudność polega na tym, że być może nie będziesz w stanie powtórzyć obserwacji w sposób satysfakcjonujący dla siebie.

Ludzie są biernymi odbiorcami świata widzialnego. Widzą tylko część tego, co mają przed oczami. Słabo reagują, umyka im, nawet na podstawowym poziomie, wzór na dywanie, cień na trawniku, wąż pod kwiatem.

Istnieją wszakże obserwatorzy aktywni, o naukowym zacięciu, ci obciążają oczy lornetką, teleskopem, mikroskopem czy okularami i przyzwyczajeni są do obiektów wielkich i małych. Jednak truizmem współczesnej nauki jest stwierdzenie, że obserwowany obiekt ulega zmianom ze względu na sam akt obserwacji. Kształt blednie, cień znika, wąż umyka w trawę.

Jest też trzecia możliwość, jednak wymaga wprawy. Wymaga umiejętności widzenia pośredniego. Kluczem dostępu do widzenia pośredniego stało się dla mnie zrozumienie koloru Indygo. Ale jak to osiągnąć? Rozpruj wzór na dywanie, a zostanie ci tylko przędza; uchwycić cień w sieci i zobacz, co ci to da; złap węża za ogon i obedrzej go ze skóry.

Zanim zajmiemy się siedmioma krokami prowadzącymi do

umiejętności widzenia, skoncentruję się na przygotowaniu umysłu. To nie są ćwiczenia dla słabeuszy. Jeśli cierpisz na jakiegokolwiek zaburzenia nerwowe, choroby psychiczne, nadpobudliwość, masz zbyt bujną wyobraźnię, nie jesteś w stanie skończyć powziętych działań, jesteś introwertykiem, melancholikiem, albo jesteś uzależniony od narkotyków lub alkoholu, czy też przejawiasz inne słabości woli, wówczas powinieneś odłożyć tę książkę na półkę. Nie jest dla ciebie. Jeżeli jednak wiesz na pewno, że masz duże zdolności umysłowe, ryzykujesz utratę wszystkiego, ale w zamian możesz doświadczyć cudu.

Musisz być całkowicie wolny od wpływu narkotyków i alkoholu przez okres co najmniej sześciu tygodni przed przystąpieniem do ćwiczeń. Niedokładne zastosowanie się do tego warunku spowoduje chorobę.

Podczas trwania eksperymentu nie wolno ci oglądać telewizji (sugerowałbym, abyś nie robił tego także przez dwa tygodnie przed jego rozpoczęciem). Nie chodzi tu o zło tkwiące w treści audycji telewizyjnych, raczej o drgania wynikające z przekazywania obrazu przez kineskop. Zmęczenie oka światłem ekranu telewizyjnego skutkuje optycznymi zaburzeniami, które zakłócą twoje widzenie pośrednie (zob. aneks techniczny).

Aby skoncentrować się przed rozpoczęciem eksperymentu, dwa razy dziennie znajdź dwadzieścia minut ciszy i prywatności. Po prostu usiądź wygodnie w fotelu i poświęć czas kontemplacji brakującego koloru spektrum. Wiesz już, że kolor Indygo jest niedostępny: dlatego

po prostu skup myśli na luce pomiędzy pasmem niebieskim i fioletowym. Stwierdzisz, że twój umysł gdzieś buja. Nie walcz z tym; przypomnij sobie o celu i odkryciu, ku którym zmierzasz i zacznij raz jeszcze.

Ostatnim etapem przygotowywania umysłu jest jego oczyszczenie. Nie mówię o paleniu kadzideł, wykreślaniu magicznych kręgów w powietrzu ani innych czarach-marach. Mówię o konfrontacji z demonem Sceptycyzmu.

Jeśli masz przyjaciół lub krewnych o sceptycznym światopoglądzie, pod żadnym pozorem nie wdawaj się z nimi w dyskusję o ćwiczeniach. (Możesz się nawet zastanowić, czy to nie jest czas na pozbycie się przyjaciół, którzy nie udowodnili swojej wartości - to jest twoja sprawa). Kiedy już nakreślisz umowną linię oddzielającą cię od demonów i wątpliwych przyjaciół, musisz się zmierzyć z własnymi. Demon Sceptycyzmu jest przebiegły. Spotkałem się z nim i przejrzałem go. Na krótką metę wydaje się atrakcyjny i kuszący. Jest nowoczesny i modny, cwany jak młody Rzymianin, inteligentny, uroczy i przyjacielski. Ale przy bliższym poznaniu jest, zapewniam cię, raczej paskudnie brutalny. Jego skóra pokryta jest plamami i łuszczy się. Wychodzą mu włosy, a jego modne ubranie jest złej jakości. Uroczy błysk w oczach to nic innego, jak lśnienie szronu. A jego objęcia są zimne, jak płynny tlen.

Jeśli odstawisz wódę i trawkę, spędzisz dwa razy dziennie po dwadzieścia minut na kontemplacji brakującego koloru Indygo i wreszcie pokonasz demona wątpliwości, będziesz gotów do zrobienia

pierwszego kroku.

Krok pierwszy dotyczy substancji Koloru.

## CZTERNASTY

Wyglądasz jakoś inaczej. Coś się zmieniło. - Natalie Shearer zapaliła papierosa i osuszyła trzeci kieliszek wina, chociaż byli dopiero przy przystawce.

Siedzieli w trattorii o nazwie Da Giovanni, o której Natalie powiedziała, że ludzie, którzy w niej jadają, nazywają ją Trucicielem. Znała całą obsługę i połowę klientów, większość z nich była krewnymi osadzonych w położonym po sąsiedzku więzieniu. Reszta gości wyglądała jak kolekcja grotesek Felliniego.

Wcześniej tego samego popołudnia, wracając ze spotkania z Natalie, Jack znalazł kartkę od Louise z informacją, że razem z Billym poszli zwiedzać Watykan. I dobrze, pomyślał Jack, nie chcę oglądać żadnego Watykanu. Niezupełnie była to prawda. Chciał stanąć pod ręką Boga w Kaplicy Sykstyńskiej, stykając się palcami z Louise i nasłuchując gromu. Drżał od duszonej w sobie tęsknoty. Musiał się gdzieś wyładować.

Później tego popołudnia zadzwonił do swojego biura w Londynie, ale nikt nie odebrał. Pani Price z jakiegoś powodu odłączyła automatyczną sekretarkę. Jack zmarszczył brwi, zastanawiając się, dlaczego miałyby to zrobić. Potem zadzwoniła Natalie i poprosiła o spotkanie w Trucicielu, więc teraz to on zostawił liścik dla Louise.

- No i? - zapytała Natalie, wydmuchując dym. - Coś się

zmieniło?

- Nie wiem, co miałyby się zmienić - Jack pociągnął nosem, rozglądając się po otaczających go rzymskich twarzach.

Przygotowując się do wyjścia włączył muzykę na cały regulator; kiedy się golił, po domu niesły się operowe głosy i płonęły tuziny świec. To było niesamowite miejsce, a kiedy przed lustrem mydlił twarz, czuł głęboki niepokój związany z tym domem, z jego trzema mrocznymi piętami, tajemniczymi drzwiami i manekinami o popękanych głowach, straszącymi na schodach. Ale poza tym nabrał upodobania do radzenia sobie bez światła elektrycznego i co ważniejsze, dojrzało w nim postanowienie, by odsunąć wszystkie niestosowne myśli dotyczące Louise.

Natalie też się przygotowała. Po tym, co zobaczył na pierwszym spotkaniu, Jack był zaskoczony widząc ją schludną, pachnącą, z zadbanymi dłońmi. Kiedy myślał o Natalie - a myślał przez kilka godzin po ich spotkaniu - wyobrażał ją sobie z brudnymi paznokciami. W jakiś dziwny sposób był niemal zawiedziony widząc wypolerowane jak perły paznokcie na smukłych, długich palcach. Jednakże we wnętrzu jej dłoni wżarła się jakaś fioletowa substancja. Palcem wskazującym gładziła brzeg kieliszka, przyglądając mu się uważnie.

- Do końca wieczoru wyciągnę to z ciebie. Lubisz czarno-białe filmy?

- Niespecjalnie.

- Dobrze. Ja ich nie znoszę. Nie znoszę ludzi, którzy je oglądają.

Daj mi rękę.

- Po co?

- Po prostu daj. Nie tę, prawą.

Natalie uniosła jego dłoń do ust i zaczęła lizać zagłębienie między palcami. Nie przejmowała się tym, że ktoś może patrzeć. Nie spuszczając z niego wzroku powoli, zmysłowo, wsunęła sobie jego palec do ust, ssała go delikatnie i gładziła jedwabistym językiem. Potem mocno ugryzła.

- Ach!

Pozostali goście obejrzeni się. Jack schował dłoń pod stół. Jej zęby zostawiły na palcu dwa białe odciski.

- Dobrze. Nie wkurzyłeś się. Chciałam się przekonać, czy jesteś człowiekiem, który łatwo wpada w złość.

Na stoliku wylądowało kolejne danie. Natalie warknęła coś do kelnera, który odszczeknął jej w odpowiedzi, ale to Natalie, jak zauważył Jack, miała ostatnie słowo.

- Wyglądasz na kobietę, która zwykle dostaje to, czego chce.

Ta uwaga sprawiła, że znów spojrzała na niego w ten dziwny, wilczy sposób. Jej oczy sprawiały wrażenie ciągle zażawionych. Chociaż jej cera była jak porcelana, nie było w niej absolutnie nic kruchego. Długie, brązowe włosy ściągnięte do tyłu odsłaniały giętką, białą szyję. Zastanawiał się, co zrobiłaby, gdyby stanął za nią i sam z kolei ugryzł ją w kark. Jack poczuł, że ma erekcję i wbił widelec w makaron.

- Tego popołudnia byłeś spięty, zatroskany, emanowałeś dziwną



energiją. Teraz jesteś rozluźniony, zdecydowany. Twoja aura jest inna.

- Czy to wino jest bardzo mocne?

- Nie jestem pijana. Kiedy patrzę, to dostrzegam aurę. To znaczy, *czuję* ją. Potem ją wizualizuję. Czy to oszustwo?

- Nie powiedziałbym. Co mówi moja aura?

- Mówi, że chcesz mnie zerżnąć.

Spróbował zachować spokój.

- Zamówmy następną butelkę, kocurze. Upijmy się.

Jack rozejrzał się, jakby szukając pomocy u kelnera albo u klientów z powiązaniem kryminalnym, ale żadnej nie dostał.

- To tak pogrywałaś z moim ojcem?

- Chryste, nie. Musiał na to zapracować. Nienawidził dziwek. A ty, uważasz takie kobiety za hojne? W ogóle go nie przypominasz. Chociaż masz jego rysy.

Temat stawał się nieco krępujący. Jack nagle przypomniał sobie nazwiska dwojga młodych artystów, chłopaka, który zniknął i tej dziewczyny, która się zabiła. Zapytał Natalie, czy znała któreś z nich.

- Jasne. Znałam oboje. Twój ojciec miał swoich naśladowców, a oni do nich należeli.

- Ale czy miał coś wspólnego z tym, co się stało? Z tym zniknięciem? Z samobójstwem? Wydaje mi się, że wokół niego działy się dziwne rzeczy.

Wzruszyła ramionami.

- Obcowanie z twoim starym to była niebezpieczna sprawa. Bardzo niebezpieczna. Ale zawsze się starał, aby to inni wprowadzali

jego pomysły w czyn, wiesz? I lubił zwichrowane dzieciaki. Lubiał ich energię, a one do niego lgnęły, jak opiłki żelaza do magnesu. Nie można go tak do końca winić, jeśli już byli zwichrowani psychicznie.

- Byli dobrymi artystami?

- Nie żyją, więc mogą być - powiedziała z goryczą.

- Nie bardzo poważasz żyjących, co?

- Będę szczerą, nie chciałam niczego z tego spadku. Ale przełknęłam dumę, ponieważ to oznacza, że przez kilka lat mogę spokojnie pracować. Możemy iść? Ty płacisz.

Na zewnątrz się ochłodziło. Jack zatrzymał się, aby zapiąć płaszcz, a kiedy to robił, zobaczył na powierzchni kałuży warstwę oleju, może benzyny. Zapatrzył się w nią. Olej wirował powoli, ukazując spektrum. Oprócz pozostałych czterech kolorów był tam również opalizujący błękit i głęboki fiolet.

- Wiem, na co patrzysz - powiedziała Natalie. - Tutaj go nie znajdziesz.

- Czy w ogóle można go znaleźć?

- Być może. Ale nie tutaj. Chodź. Zrobię ci kawy u siebie. Powiedziałeś, że jest coś, o czym powinnam wiedzieć.

Natalie pchnęła drzwi do swojego studia, zaskakując w nim tych samych dwóch włoskich chłopców palących haszysz.

- Won! - powiedziała ostro, a oni wyszli. Potem jednego z nich zawróciła i zabrała mu maleńką kostkę konopi i podała ją Jackowi razem z tytoniem i bibułkami papierosowymi. Kiedy zapalała piecyk, aby zrobić kawę, Jack usiadł na podłodze i próbował zrobić skręta.

- Nie pomyśl sobie nie wiadomo czego - powiedziała. - Mam na myśli tych chłopców. Pozwalam im się tu kręcić ze względu na włamywaczy. Czasami tu sypiają, ale *nigdy* ze mną. Jeśli kogoś przyprowadzę do domu, zgodnie z umową wynoszą się.

Jack spojrział na nią znad niechlujnego skręta. Zastanawiał się, dlaczego nagle zaczęła się przejmować tym, co mógłby sobie o niej pomyśleć.

- Pozwalam sobie na jednego faceta co dwa lata.

- Żartujesz.

- Można poznać, kiedy opowiadam dowcip, bo wtedy się śmieję. W tej kwestii się różnimy. Ty się śmiejesz, kiedy coś boli. Akurat nadszedł czas na egzekwowanie moich praw małżeńskich, to wszystko.

- Nie wiem, czy powinno mi to pochlebiać.

- Wyluzuj. Nigdy nie powiedziałam, że to będziesz ty. - Podała mu malutkie espresso i wzięła niefachowo zrobionego skręta. - Co to jest? Psia noga? Gdzie się nauczyłeś tak skręcać? - zapaliła, zaciągnęła się i wydmuchnęła kłęb dymu.

- W policji.

- Teraz mnie nabierasz - oparła się o ścianę, paląc i patrząc na niego uważnie. - Nie, nie nabierasz.

- Dziewięć lat. Potem rzuciłem to dla łatwego życia woźnego sądowego.

Potrząsnęła głową, jakby wołała o tym nie myśleć.

- Więc co to za problemy z tym testamentem?

Wyjaśnił komplikacje związane z dystrybucją dwustu tysięcy darmowych książek, problem, który zbyła beztrąsko.

- Powiedz mi coś - powiedział Jack. - Kiedy spytałem cię o kolor indygo, skłamałaś, prawda? Powiedziałaś, że nigdy go nie widziałaś. Kłamałaś?

- Co za pytanie. Powiedziałam ci, że nie jestem w stanie odtworzyć go na płótnie, czy gdziekolwiek. Jednak go widziałam. Widziałam go we śnie i od razu wiedziałam, co to jest. To nie jest niebieski ani fioletowy. Kiedy raz go zobaczysz, spędzisz resztę życia na szukaniu.

- Nauka mówi, że ten kolor nie istnieje.

Złożyła palce w wieżyczkę, poważniejąc.

- Naukowcy mają po części rację. Kolor to wibracja elektromagnetyczna, zgadza się? Cóż, indygo nie drży w taki sam sposób, jak inne kolory - porzuciła próby wyjaśnienia. - Zresztą, czy nauka wie o wszystkim?

- Poszłaś za instrukcjami z książki mojego ojca?

- Ha! - opadła na podłogę, podciągając kolana pod brodę. Miała długie nogi, jak baletnica. W jej zmysłowości było coś pociągającego i odpychającego zarazem. Kiedy pochyliła się, aby podać mu skręta, cały czas patrzyła mu w oczy.

- Problem z twoim ojcem polegał na ciągłym oddzielaniu ziarna od plew. Miał tyle opowieści z podróży, że nikt nie wiedział, w co wierzyć. Kiedyś mi powiedział, że na Sumatrze kochał się z kobietą, która miała oczy w kolorze indygo; a kiedy rok później wrócił, aby ją

odnaleźć, okazało się, że współplemieńcy wyłupili jej oczy, bo uznali ją za demona.

Jack znów spojrzał w oczy Natalie. Nie było w nich koloru indygo, ale były niepokojące. Stalowoszare, z plamkami bladej żółci. Pomimo jej niesamowitego magnetyzmu było w niej coś chłodnego. Wydawała się niepodobna do innych kobiet określających siebie poprzez jakość związku. Była inna. Była kimś, kto chadza sam. Mogła pójść sama na gorącą pustynię albo w lodową pustkę, i to jej się podobało.

Podniósł się do wyjścia.

- Przyniosę ci dokumenty do podpisu. Muszę pozbyć się jego własności, zanim trafią do ciebie jakiegokolwiek pieniądze. - jak długo jeszcze będziesz w Rzymie?

- Kilka dni.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Chcesz znaleźć indygo, a to jedno z najlepszych miejsc na świecie, aby to zrobić. Ale musisz wiedzieć, skąd zacząć.

- Powiedziałaś, że stary był niebezpieczny. A ja uważam, że to ty jesteś niebezpieczna.

Odprowadziła go do drzwi.

- Mówisz tak tylko dlatego, że wiesz, co chcę usłyszeć. Czarus z ciebie.

Jack odwrócił się w progu, chciał się odciąć, ale ujęła jego twarz w dłoń, jej spojrzenie spoczęło na nim na jedno uderzenie serca.

Potem gwałtownie zamknęła za nim drzwi. Usłyszał stłumione „cześć” z drugiej strony i został z nosem rozplaszczonym o framugę.

Kiedy wrócił, w domu panowała cisza. Drzwi do sypialni Louise i Billy’ego były uchylone. Spoglądał na nich przez chwilę. Billy otworzył oczy, spojrział na Jacka i usiadł. Potem znów się położył i zaraz zasnął.

## PIĘTNASTY

Louise, Billy i Jack siedzieli przy śniadaniu. Jack karmił Billy'ego jajkami i chlebem. Bardziej niż jedzeniem, Billy był zainteresowanym opluwaniem Jacka jajkami na miękko. Nagle zadzwonił telefon.

Po drugiej stronie słuchawki była Natalie.

- Możemy się spotkać za godzinę? - kiedy Jack się zawahał, dodała: - To ważne.

- Gdzie?

- W Panteonie. Wiesz, gdzie to jest?

- Znajdę bez problemu.

Louise odwróciła się do niego. Dwie minuty wcześniej uzgodnili, że spędzą ten poranek razem, zwiedzając Villa Borghese. A teraz zmieniał plany.

- Co jest takie pilne? - spytała Louise.

- Nie powiedziała.

Louise wróciła do jajek. Billy opierał się stanowczo.

- Jaka ona jest?

- Natalie? Trochę dziwna.

- Czy jest piękna?

- Dziwnie niesmaczna.

- Kobiety ojca zawsze były piękne, inteligentne, zmysłowe i silne. Ma tatuaż na ramieniu?

- Louise, skąd mam wiedzieć? Lepiej już pójde, jeśli mam tam

być za godzinę.

- Hej! Po co ten pośpiech? To tylko dziesięć minut metrem. Czy Billy i ja też możemy pójść?

Jack nie zastanawiał się nad tym. Zawahał się, zanim odpowiedział:

- Oczywiście. Czemu nie?

Louise uśmiechnęła się.

- Nieee. Macie sprawy do obgadania. Gdzieś się pokręcimy.

Billy wskazał palcem na Jacka i zagruchał coś w swoim języku.

\*\*\*

Turyści w grupach z przewodnikiem chowali się pod mokrym portykiem ogromnego Panteonu. Arabscy sprzedawcy krążyli między czerwonymi i szarymi kolumnami oferując parasole. W powietrzu, w mgiełce pod dachem, wyczuwało się zapach mokrych płaszczy i ciepło ludzkiej masy. Jack przeszedł pod portykiem i stanął pod niewiarygodnym sklepieniem.

W tle dźwięczały ciche śpiewy gregoriańskie; rotunda drżała od rozmów zwiedzających, a kopuła odbijała dźwięk. Odnosiło się wrażenie, że setka ludzi szepcze coś w podnieceniu. Przez wole oko w kopule kaskadami lał się deszcz. Lśniąca i mokra marmurowa podłoga tuż pod otworem była ogrodzona sznurami. Jack znalazł ławkę. Spojrzał w górę na migoczący deszcz, srebrzystoczarny, opadający cylindryczną kolumną między kamiennym sufitem a marmurową podłogą. Coś działo się z deszczem, kiedy wpadał przez otwór. Był jak gdyby podtrzymywany przez światło spowalniające jego spadanie.



Ktoś przysiadł na ławce obok niego. Płaszcz wniósł zapach deszczu, skóry i ciepła jej ciała.

- Powiedział mi kiedyś, że to jest jedno z bardzo nielicznych miejsc, w których można zobaczyć indygo. Ale tylko w określonym czasie w roku i przy szczególnym świetle.

- Widziałaś je kiedyś?

- Nie. Chociaż siedziałam tu wiele razy.

- Dlaczego poprosiłaś, abyśmy się tu spotkali?

- Popatrz na deszcz. W przyszłości, za każdym razem, kiedy usłyszysz śpiewy gregoriańskie, pomyślisz o Panteonie i miękkim deszczu wpadającym przez dach. Zeszłej nocy twój ojciec przyszedł do mnie we śnie. Miał na sobie garnitur z indygo. Było elektryczne. Wszystkie inne kolory były stłumione. Przyszedł, aby mi coś przypomnieć.

- Przypomnieć?

- Abym się nie poddawała. I nigdy nie przestała szukać nieuchwytnego indygo.

Zwróciła wzrok ku wodzie wlewającej się przez dziurę w kopule, tęczówki miała ciemne, spojrzenie natchnione, jak mistyczka. Zobaczył coś w jej oczach i uświadomił sobie, że to już się stało. To coś innego, niż zakochanie, uznał. To psychiczna dysfunkcja, dzięki której łatwo mógł przekonać siebie, że potrzebował bliskości tej kobiety tak, jak potrzebował tlenu.

- Dlaczego zapisał ci pieniądze?

- Ponieważ jestem cholernie cudowna. Ponieważ wierzył, że

dałam mu dostęp do indygo tam, gdzie nikt inny nie mógł tego dla niego zrobić.

- A jak to zrobiłaś?

- Powiedziałam tylko, że w to wierzył. Nie mam pojęcia, czy to prawda. Dalej, chodźmy.

Na zewnątrz Natalie wyciągnęła parasol i rozłożyła go nad nim. Ściągnęła ramiona, przyciskając swój skórzany płaszcz do jego boku. Czuł zapach szamponu na jej włosach. Szli bocznymi uliczkami, po mokrej kamiennej kostce syczącej pod stopami i między budynkami sprawiającymi wrażenie, że rozpadną się na deszczu niczym herbatniki. Był zadowolony, pozwalając się prowadzić, i nie pytał dokąd idą.

Być może był to uspokajający wpływ Panteonu, albo deszczu, ale Natalie była wyciszona.

- Tamtego dnia pytałeś mnie o tych młodych artystów. Nie byłam z tobą całkowicie szczerą. Twój ojciec ich do tego doprowadził. I innych młodych ludzi także.

- Co masz na myśli mówiąc, że ich do tego doprowadził? Chcesz powiedzieć, że zabił Accurso?

- Niezupełnie. Ale jeśli uczysz szczeniaka łapania patyka, a potem wrzucasz patyk do dołu z wapnem, to kto jest odpowiedzialny? Szczeniak, dlatego że jest głupi?

- Ale co on dokładnie zrobił?

- Nie znam wszystkich szczegółów. Kiedy się zorientowałam, o co chodzi, wściekłam się. Klóciłam się z nim przez cały czas.

Gromadził wokół siebie ludzi, aby nimi manipulować. To była zabawa w boga. Widział dwoje ludzi, którzy się w sobie zakochują i znajdował sposób, aby wprowadzić tam trzecią osobę, tylko dla zabawy, jaką miał z obserwowania narastającej zazdrości.

Deszcz przestał padać, ale Natalie nie zamknęła parasola. Szli w dół, do Tybru, przekroczyli most Fabricio i zatrzymali się pośrodku, aby popatrzeć na rzekę. Była wezbrana świeżym deszczem, nurt był wartki, ale kolor wody wyglądał jak pleśń na skórze. W powietrzu unosiły się ostre, mineralne zapachy.

- W Rzymie zawsze przechodzi się przez mosty. Twój ojciec uważał, że mosty to święte miejsca. Miejsca wielkich możliwości. Drzwi do innych światów.

Kiedy mówiła, z wody poderwała się czapla, zmierzając prosto na nich. Zanim dotarła do mostu, zaczęła się wznosić, pracując ciężko skrzydłami. Wreszcie przemknęła nad nimi, mocnym dziobem ledwie o cal ominąwszy ich twarze, ciężko machała skrzydłami, ale wciąż nie mogła się unieść. Jack poczuł dreszcz wibrującej obecności ptaka, a uderzenie jego skrzydeł spowodowało, że zaczerwienił się z emocji. Wielki ptak złapał wreszcie prąd powietrzny, przechylił się i odleciał kołując. Natalie śledziła jego lot, ale Jack kątem oka uchwycił coś, co unosiło się w rzece poniżej.

Cokolwiek było w wodzie, wynurzyło się na moment, a potem zniknęło. Trudno było to dostrzec. Woda była poznaczona fioletowymi i cynamonowymi wirami. Obiekt znów się pojawił, poruszał się bardzo szybko w błotnistym nurcie. Krótco błysnęła

twarz. To było ludzkie ciało. Potem znów zniknęło.

- Wróżby - powiedziała Natalie. - Myślisz, że ten ptak był znakiem?

Jack nie słuchał. Wychylił się mocno poza balustradę mostu, próbując wypatrzyć ciało, ale wiedział, że prąd musiał je znieść pod most. Pospieszył na drugą stronę. Lśniące, małe fale powodowały, że obraz był niewyraźny. Przeszukiwał wzrokiem głębokie cienie każdego wiru i grzbiet każdej błotnistej fali.

- Co się stało? - chciała wiedzieć Natalie. - Co widziałeś?

Jack przez długi czas gapił się w wodę. Jeśli to było ciało, zniknęło.

- Nic - powiedział.

- Dziwnie wyglądasz.

\*\*\*

Tym razem dwaj chłopcy w jej studiu podnieśli się i wyszli nie czekając na polecenie, chociaż Jack usłyszał, jak jeden z nich żali się gorzko na deszcz. Kiedy Natalie robiła kawę, rozejrzał się po ponurym wnętrzu. Jej obrazy i rzeźby były bardzo abstrakcyjne; w ogóle do niego nie przemawiały.

- Co dokładnie próbujesz powiedzieć przez to wszystko?

- Nigdy nie dyskutuję o sztuce - odparła, zapalając zapalniczką najpierw kuchenkę, a potem papierosa.

W sumie była to ulga dla Jacka. Na tyłach studia znalazł drzwi. Otworzył je sądząc, że prowadzą do toalety. Wewnątrz było ciemno, chociaż uchwycił blask światła, kiedy drzwi się otwierały. Ściany były

pomalowane na czarno, a błysk pochodził od lustra. Zauważył cienki sznureczek zwisający gdzieś z góry. Pociągnął go i niewielkie pomieszczenie zalało ultrafioletowe światło. Na środku, przodem do lustra, stało krzesło z twardym oparciem.

Natalie wsunęła się przed nim, delikatnie zamknęła drzwi, jakby chciała coś ukryć.

- Co tam jest?

Nie odpowiedziała.

- Jeśli szukasz kibla, jest na zewnątrz.

Usiedli na jej materacu, popijali kawę i palili haszysz.

- Twój ojciec nigdy tak naprawdę nie akceptował używek. Był bardzo nietolerancyjny.

- Byłaś w nim zakochana?

- Proszę cię!

- Myślę, że dlatego interesujesz się mną.

Poruszyła się lekko.

- Częściowo masz rację.

- Dlaczego go zostawiłaś?

- Mówiłam ci. Musiałam się wycofać. Albo zniknęłabym jak inni.

Może to była kwestia mocnego haszyszu, ale Jack zaczął się czuć prześladowany przez ducha swojego ojca. Czyż nie przyjechał do Rzymu powodowany jego wskazówkami? Przypomniał sobie, co Natalie mówiła o zabawach w boga, o wciskaniu trzeciej osoby pomiędzy dwoje kochanków. Natalie miała ambiwalentne uczucia w

stosunku do starego; nienawidziła jego wad, ale wciąż trzymała się wspomnień. Być może też była naznaczona przez niego tatuażem na ramieniu. Obecność ojca unosiła się nad studiem jak zapach śmierci. Było to jak ostrzeżenie. Jack łyknął mocnej kawy i poczuł, jak bije mu serce. Instynkt kazał mu przeciwstawić się ojcu i wreszcie wrócić do domu, do Anglii; zapomnieć o testamencie, zapomnieć o wszystkim.

Ale nie potrafił tego zrobić. Wszystkie drogi prowadziły go właśnie tutaj. Zastanawiał się, czy pisząc testament ojciec przewidział, co może się zdarzyć, wykazując tym samym przenikliwą znajomość charakteru syna. Czy z wyrachowaniem popychał Jacka w ramiona Natalie? Poczul liźnięcie paranoi.

Natalie pochyliła ku niemu twarz jak rozświetlony księżyc; pomyślał, że ma zamiar go pocałować. Zamiast tego zaciągnęła się, przycisnęła swoje wargi do jego warg i wdmuchnęła dym do jego ust. Wciągnął go głęboko, smakując ostry smak haszyszu i słodki posmak jej oddechu. Poczul krążącą szybciej krew i nie wiedział, czy to skutek narkotyku, czy wydychanego przez nią powietrza. Mieszanka była piorunująca i przez sekundę, zanim zdążył się zastanowić, miał przeczucie, że nie umknie łatwo przed tą kobietą. Skręt był zbyt mocny. Nie mógł się skupić. Twarz Natalie rozpływała się jak ekran kontrolny telewizora.

Tym razem go pocałowała, pocałunek był bardzo głęboki i długi. Jej język był cudownie śliski, jak dotyk mokrego jedwabiu; jak słodka, topniejąca faktura. Badała jego usta długimi, delikatnymi ukąszeniami, jej język ostrożnie wił się pod jego podniebieniem. Czuł,

jakby to był pierwszy, dziewiczy pocałunek. Jego usta zadrżały.

Nagle odepchnęła go szorstko. Znów usiadła, obserwowała go przez chwilę, potem podniosła się i stanęła pod oknem, spoglądając na szare niebo.

- Mógłbyś już sobie iść?

W gruncie rzeczy Jack był wdzięczny za możliwość zebrania myśli. Czuł się tak, jakby prosto w twarz wybuchł mu płomień. Wychodząc zachwiał się lekko, przystanął aby coś powiedzieć, ale nie znalazł słów.

Dziedziniec był pełen cieni. Dwaj chłopcy krążyli wokół. Jeden z nich cmoknął i powiedział coś obraźliwego. Jack przystanął i rzucił mu nienawistne spojrzenie. Podeszedł do chłopaka i stanął przy nim, ich oczy dzieliły milimetry. Jack pamiętał włoskie wyrażenie oznaczające „pierdol swoją matkę w ciemnym grobie”. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, odwrócił się i wyszedł z dziedzińca.

## SZESNASTY

Późnym popołudniem Jack wrócił do domu i zastał Louise popijającą kawę z przystojnym Włochem w okularach i lnianej marynarce. Billy spał na kanapie. Mężczyzna opierał o kolano podkładkę do pisania. Kiedy Jack przyszedł, wyglądał jakby czuł się winny, wymamrotał przywitanie i wyszedł. Jack spojrzał na Louise.

- Pośrednik.

- Agent obrotu nieruchomościami. Tak mówimy w Europie.

- Jak zwał, tak zwał. Pomyślałam, że ktoś powinien zabrać się za to, po co tutaj przyjechaliśmy.

- Podał cenę?

- Jeszcze nie. Dobrze się rozejrzeliśmy po domu. Byłam wszędzie. Są tu różne dziwne pokoje.

- Znalazłaś coś nowego?

- Niektóre pokoje są dziwnie małe. Ale nie ma tu żadnych tajemnic. No, może jedna.

Louise poprowadziła go przez hol. Pod schodami znajdowała się szafa. Drewniane drzwi, których wcześniej nie zauważyli, odsunęły się ze zgrzytem. Louise sięgnęła do środka, pociągnęła za sznurek i zapaliła ultrafioletowe światło.

Weszli do środka. Szafa była zaskakująco przestronna. Na środku, na dywaniku przypominającym kilim, odbijając się w wielkim lustrze, stał fotel z wysokimi podłokietnikami. Drugi sznurek zwieszał



się z sufitu dokładnie nad fotelem. Ściany pomalowano w spiralne wzory, w kolorze trudnym do określenia w migoczących leciutko, ultrafioletowych promieniach.

Louise zasunęła za sobą drzwi. Zamknęły się szczelnie, zatraskując ich w środku. Stała przed lustrem, jej skóra w ultrafioletowym świetle miała kolor bursztynu. Oczodoły były purpurowym cieniem, tak jak i nozdrza oraz zagłębienie pod dolną wargą. Zęby i białka jej oczu lśniły demonicznym blaskiem. Jack nie czuł się swobodnie zamknięty w szafie z Louise.

- Czemu to mogło służyć? - zapytał.

Louise odsunęła drzwi i wyszła na zewnątrz. Jack ruszył za nią i zamrugał, oślepiony mroczkami, które pojawiły mu się przed oczami w normalnym świetle. Wrócili do salonu, gdzie nadal spał Billy.

- Natalie też ma taki pokoik - zdradził Jack. - Widziałem dzisiaj. Taki sam. Światło, lustro, fotel.

- Próbowalesz tego z Natalie? Tylko żartuję. Nie bądź taki zmieszany. Jak poszło dzisiaj?

Nie wszystko jej powiedział, tylko niektóre rzeczy. Nie wiedział, dlaczego zatrzymał część dla siebie, ani kogo chronił, ale narkotyczny pocałunek i trup w rzece to nie był temat do opowiadania. Zadzwoił telefon. Louise wyszła do holu.

Wróciła i powiedziała:

- To Alfredo.

Jack spojrzał pytająco.

- Pośrednik - agent obrotu nieruchomościami. Chce mnie zabrać

na kolację. Dzisiaj.

- Tylko żonaci mężczyźni działają tak szybko.

- Wspomniałam mu, że jesteś moim bratem. Wciąż czeka przy telefonie. Chce się dowiedzieć, czy uda mi się załatwić opiekunkę.

Jack rozejrzył się za kandydatkami.

- Och! Jasne. Nie ma sprawy.

- Naprawdę? Nie masz nic przeciwko temu?

- Idź. Będziemy się z Billym świetnie bawić. Dalej, on czeka.

- Nie poganiaj mnie. Uważam, że każdy poważny facet może poczekać przy telefonie przynajmniej minutę.

Kilka następnych sekund spędzili gapiąc się na siebie, aż wreszcie Louise wróciła do telefonu i potwierdziła spotkanie.

\*\*\*

- Dziecko? Nie zbliżam się do dzieci - powiedziała Natalie.

Jack ścisnął telefon między podbródkiem a ramieniem, jednocześnie kołysał Billy'ego, aby przestał wrzeszczeć. Jednak to nie działało. Billy zaczął wyć dwie sekundy po tym, jak Alfredo przyjechał po Louise.

- W porządku. To tylko taka luźna myśl - rzucił do telefonu.

Cisza na linii trwała jakieś siedem sekund, zanim Natalie powiedziała:

- Ale w twoim przypadku zrobię wyjątek. Daj mi godzinę.

Przyjechała na skuterze Vespa, trąbiąc i podkrecając manetką obroty silnika. Zaparkowała skuter pod frontowym oknem, weszła do domu i skierowała się prosto do kuchni, jakby dobrze znała rozkład

pomieszczeń. Przywiozła pizzę w płaskim kartonie. Podeszła prosto do szafki z winami, głośno postukała butelkami, aż znalazła takie, które odpowiadało jej gustowi. Billy w ramionach Jacka przestał wyc na chwilę i gapił się w przestrzeń.

- Więc to jest wnuczek Tima. Słodki dzieciak.

- Billy, przywitaj się z Natalie.

- Baba - powiedział Billy.

- Podobny do Nicka - powiedziała, fachowo otwierając wino.

- Do Nicka?

- Swojego ojca.

- Znasz jego ojca?

- Cóż, Tim powiedział mi, że ojcem małego jest Nick. A czyż można wiedzieć z całą pewnością, kto jest twoim czy moim ojcem? Czy możesz wiedzieć na pewno, że to Tim jest twoim ojcem?

Jack przyjął kieliszek wina, jakby było zakażone jakimś wirusem.

- Kim jest Nick?

- To co, jemy? Nick był jednym z tych dzieciaków, o których ci opowiadałam. Zniknął. Może nie żyje.

Jack uświadomił sobie, że Natalie mówiła o Nicholasie Chadbourne, młodym artyście, którego obrazy wciąż wisiały w mieszkaniu w Chicago. Nagle zrozumiał, dlaczego Louise nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, kto jest ojcem Billy'ego.

- Słuchaj, skoro znasz Louise, to lepiej nic nie mów. Myśli, że nikt nic nie wie. Karmiłaś kiedyś dziecko?

- Nakarmić go?

Wbrew temu, co mówiła na początku, Natalie doskonale radziła sobie z Billym. Kiedy zjedli pizzę, podniosła chłopca, połaskotała go, podrzuciła w powietrze, zawirowała z nim po podłodze, pobawiła się chwilę, zmieniła pieluszkę, jej doświadczenie było odwrotnie proporcjonalne do umiejętności Jacka w tym zakresie.

- Byłam kiedyś nianią - powiedziała. - Ale w końcu zawsze mnie zwalniano, bo tatusiowie chcieli mnie przelecieć.

Natalie wzięła Billy'ego na wycieczkę po domu, co, jak podejrzewał Jack, było pretekstem, aby sprawdzić co się zmieniło, odkąd była tu ostatnio. Jack był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że było to raptem cztery tygodnie wcześniej. Zobaczyła jego minę.

- Mam klucz. Ten dzieciak prawie śpi; położymy go do łóżka? Louise zajęła ten pokój, zgadza się? Twój ojciec prosił mnie, abym miała oko na dom, więc od czasu do czasu tu zaglądam.

- Myślałem, że nim gardziłaś.

- Bo to prawda. Ale to dom w sam raz na imprezy, albo żeby umieścić w nim gości. Widziałeś, jak mieszkam. Właściwie to kilka osób ma klucze. Powinieneś uważać na nieproszonych gości.

Przez kilka chwil stali nad Billym, czekając, aż zaśnie. Chłopiec wskazał na Jacka i powiedział:

- Ta-ta! - Jack poczuł, że jego oczy zwilgotniały. Natalie dotknęła jego ramienia, wyszli z pokoju i wrócili do holu.

- Nieproszeni goście? Wydawało mi się, że jedna czy dwie sypialnie wyglądają na używane.

- Prawdopodobnie czekają, aż się wyniesiecie.

- Przypuszczam, że powinienem się tym zająć. Ale w sumie muszę tylko sprzedać dom i przekazać ci pieniądze.

- Na pewno nie chcę tego miejsca. Popatrz na te pieprzone manekiny. Za dużo złych wspomnień.

- Jakich złych wspomnień?

Ale Natalie tylko zapaliła papierosa i pozwoliła, aby pytanie zawisło w powietrzu. Jack wobec tego zapytał o szafę pod schodami, tę z lustrem i ultrafioletowym oświetleniem.

Natalie nazwała to dymnym kredensem i oświadczyła, że to tylko jeden z szalonych pomysłów jego ojca.

- Skoro to takie szalone, to dlaczego sama masz taki sam kredens?

- Był czas, kiedy wierzyłam we wszystko, co mówił. Po prostu jeszcze się nie zebrałam, aby go zlikwidować.

- Jak to działa?

- Nie działa.

- Więc jak *ma* działać?

- Przeczytaj książkę, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. Znalazłeś słuchawki?

Natalie znów zmieniała temat. Rozmowa z nią często przypominała slalom gigant.

- Nie.

- Zaczekaj. Pewnie są w dymnym kredensie.

Natalie wyszła z holu i Jack usłyszał, jak odsuwa drzwi szafy. Po

chwili wróciła niosąc dziwne urządzenie. Był to hełm skonstruowany z metalu i skórzanych pasków, metalowych rurek, lusterek i zniekształconych soczewek.

- Zobacz, czy pasuje.

Jack wyglądał na zmieszanego. Hełm wyglądał jakoś gotycko, było w nim coś złowrogiego. Skórzane paski były sztywne i pachniały nowością.

- Najpierw mi powiedz, do czego to służy.

- To kask wykorzystujący standardową optykę Strattona - powiedziała, wprawnie rozplątując paski. - Przekręca pole widzenia o sto osiemdziesiąt stopni, przestawia prawą i lewą stronę, górę i dół. To naprawdę wariactwo. - Podała mu go do zmierzenia.

Poleciała Jackowi, aby zamknął oczy, kiedy nakładał hełm. Paski zacisnęły się pod jego podbródkiem i na karku, szczypiąc skórę. Był niewygodny i ciężki, powodował, że opadała mu głowa. Natalie kazała mu otworzyć oczy. To, co zobaczył, zaszokowało go. Szarpnął głową w prawo i w lewo, w górę i w dół, zaczął dyszeć. Sięgnął, aby zdjąć z głowy urządzenie, ale jego ręce złapały powietrze.

- Nie panikuj. Weź głęboki wdech. Nie próbuj go ściągać.

Jack był zdezorientowany. Próbował złapać hełm, ale dłonie przesunęły się w złą stronę. Uchwycił widok swoich palców przed oczami, pojawiły się z zupełnie innej strony, niż się spodziewał, trzepotały jak oszalałe skrzydła. Samo pochylenie głowy powodowało, że jego pole widzenia pływało. Poruszył prawą ręką, ale zobaczył ruch z lewej strony.

- Natalie, zdejmij to ze mnie!

- Spróbuj tego. Połóż ręce tam, gdzie ci się wydaje, że masz pachwinę. - Jack powoli przesunął dłonie do pasa, ale zamiast tego poczuł, jak dotyka głowy. Natalie roześmiała się. - Nie; zacznij myśleć fiutem!

- Zdejmij to ze mnie! Zaraz się porzygam! - poczuł jej smukłe palce muskające jego uszy i rozpinające paski. Ku jego uldze, hełm został zdjęty. Zamrugał nerwowo. Był spocony i miał mdłości. - Muszę się napić.

- Przekonałbyś się - powiedziała Natalie, odkładając hełm na podłogę - że mdłości szybko mijają, a po kilku godzinach przyzwyczaiłbyś się do tego, co widzisz.

- Jasne. Kto wytrzymałby w tym gównie przez kilka godzin?

- Twój ojciec to odkrył. Stwierdził, że jeżeli nosisz go przez tydzień, to rzeczy zaczynają wydawać się normalne. Po kilku tygodniach adaptacja jest całkowita.

- Po kilku tygodniach! Przecież to bezcelowe.

- Nic, co robił twój ojciec, nie było bezcelowe. To coś wykazuje ludzką elastyczność. Podstawa twojej percepcji może jest odwrócona, ale my dalej możemy normalnie funkcjonować.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że nosił to przez kilka tygodni.

- Nie powiedziałam, że *on* to nosił. Znalazł innego frajera, który to zrobił.

- Jeden z tych młodych artystów?

Przytaknęła smutno. Kolejne nieobecne spojrzenie, jakby coś jej

się przypomniało.

- Ten temat wpędza mnie w depresję. Możemy porozmawiać o tobie?

Ale po wyczerpaniu standardowych policyjnych anegdot nie wiedział, o czym miałby mówić. Natalie obserwowała go jak myśliwy. Chociaż rozciągnęła się swobodnie na kanapie prowokująco wypinając biodra, ważyła każde słowo. Zapytała, jaka jest najgorsza rzecz, którą kiedykolwiek zrobił, a on odparł:

- Skłamałem i powiedziałem, że miałem z kimś kontakt, a nie miałem.

- Co?

Wy tłumaczył jej sprawę Birtlesa.

- Przecież to drobiazg - powiedziała. - No więc nie miałeś z nim kontaktu. I co z tego?

- Ludzie tacy jak ty, nie rozumieją. To wszystko.

Wyglądało na to, że jeśli się nie wygada, to wpadnie w ponury nastrój, więc pozwoliła mu mówić. Zapytała o Louise i pomimo wymijających odpowiedzi zrozumiała wszystko. Ziewnęła, udając obojętność, ale była bardzo uważna. Miała dziwnie rozmazany wzrok. Spojrzała na niego przez przymknięte powieki, a to dziwne, żółte, wilcze spojrzenie zaniepokoiło go po raz kolejny.

\*\*\*

Louise wróciła do domu sporo przed północą. Przyprowadziła Alfredo, oboje byli zarumienieni i podekscytowani po udanym posiłku. Nastąpiły niezręczne prezentacje; Jack przedstawił sobie



Louise i Natalie, a potem Louise przedstawiła Jackowi Alfredo, chociaż już przelotnie się spotkali. W zamieszaniu jakoś tak wyszło, że Natalie i Alfredo zostali zostawieni sami sobie. Przywitali się po włosku, wymieniając zwyczajowe grzeczności, a kiedy wszyscy się usadowili, rozmawiali dalej w sympatycznym tonie.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał Jack ponad włoskimi uprzejmościami.

- Wspaniale. On jest przesłodki. Więc to jest...?

- Aha.

- Widziałeś już jej tatuaż?

- Nie.

- A ja ci stworzyłam taką okazję! Wolno działasz, mój drogi.

- Już taki ze mnie powolniak - patrzył na nią o sekundę za długo; potem oboje sobie uświadomili, że w tej drugiej rozmowie coś poszło nie tak. Ton Natalie był agresywny, Alfredo rozdrażniony. Kiedy dotarło do nich, że Louise i Jack zwrócili na nich uwagę, zamilkli. Nastąpiła kłopotliwa cisza, w której pokój zdawał się robić coraz ciaśniejszy.

- Więc gdzie byliście na kolacji?

Alfredo znów stał się czarujący. Jego angielski był bez zarzutu.

Alfredo roześmiał się.

- Zabrałem Louise do mojej ulubionej restauracji w Rzymie. Na Via di Monte Testaccio. Mam na myśli prawdziwą *cucina Romana*<sup>15</sup>.  
Podobało ci się, Louise?

- Co się stało? - chciała wiedzieć Louise.

---

<sup>15</sup> Cucina Romana (wł.) - rzymska kuchnia

Natalie, z rękami założonymi na piersiach i skrzyżowanymi nogami, wyglądała przez okno. Miała wysuniętą dolną wargę.

- Zmusiłem Louise, aby spróbowała sałatki z nóżkami, a potem mózdzku w białym winie.

- Czy coś mi umknęło? - spróbowała Louise raz jeszcze.

Jack nie dopuścił jej do głosu.

- Opierała się, Alfredo?

- Bardzo mocno. Na początku. Ale nad nią popracowałem.

Wolno, wolniutko.

- Ta ra ra ra - wymamrotała Louise.

- Brzmi świetnie - powiedział Jack. - Sam muszę spróbować.

- Bardzo drogie - powiedziała Louise.

- Nie aż tak bardzo - zagruchał Alfredo.

Zapadła męcząca cisza, zanim Alfredo nie podniósł się do wyjścia. Cmoknął na dobranoc Natalie, tak samo Louise, potrząsnął ręką Jacka i wyraził nadzieję, że mogliby wszyscy razem spotkać się w tamtej restauracji. Louise odprowadziła go do drzwi. Jack go polubił i powiedział to, kiedy ich nie było.

- Nienawidzę czegoś takiego - odparła Natalie.

- Czego?

- Żonatych facetów uwodzących inne kobiety.

- To znaczy, że on *uwodzi* Louise?

- Nie znoszę mężczyzn, którzy nie mają odwagi zostawić żony - oświadczyła Natalie - jeśli chcą być z inną kobietą.

- Masz sztywne zasady.

- Co to? - spytała Louise wróciwszy, wskazując na hełm Strattona. Przystanąła, aby go podnieść, dotknęła skórzanych pasków, nie była jednak w stanie odgadnąć ich przeznaczenia.

- Przymierz - powiedziała serdecznie Natalie.

- Nie rób tego - powiedział to chyba zbyt gwałtownie, bo Louise wyglądała na zaskoczoną.

- Chcę powiedzieć - poprawił się Jack - że możesz się źle poczuć.

- Serio?

- Przesadza - oświadczyła Natalie. - Zobacz, czy pasuje.

- Ja zrobiłem to wcześniej i nadal mam lekkie mdłości - ostrzegł Jack.

- Co to, do diabła, jest?

- Jedna z zabaweczek naszego ojca.

Louise trzymała hełm, jakby miał ją ugryźć.

- Więc co on z tym robił?

- Och - powiedziała swobodnie Natalie - kazał komuś wziąć tabletkę kwasu i trzymać to na głowie przez sześć godzin. Albo brał ładną, nagą dziewczynę i...

- Nie chcemy tego słuchać - powiedział Jack.

- Właśnie, że chcemy - zaprotestowała Louise. - Co robił?

Natalie znów popatrzyła na Jacka.

- Zauważyłam, że lubisz ignorować różne rzeczy. Zamiatać je pod dywan. Mówić ogólnikami. Dlaczego to robisz? Czy może po prostu chronisz Louise?

- Chroni mnie? Przed czym?

- Przed niczym szczególnym - odparła Natalie.

- Ja też nie wiem, o co ci chodzi - powiedział Jack.

Natalie wstała.

- Hej, Louise, mamy wspólnego znajomego.

- Och?

- Tak, pamiętasz Nicka? Dobrze się znaliśmy. - Louise wyglądała jak ogłuszona. Spojrzała na Jacka. Jack poczuł, że jego policzki czerwienieją z gniewu. Przecież prosił Natalie, aby nie wspominała o Nicku.

- Oj, zrobiło się późno, muszę lecieć - powiedziała Natalie. - Miło było cię poznać, Louise. Ucałuj ode mnie Billy'ego.

Jack zaczął się podnosić, ale Natalie go przytrzymała.

- Sama wyjdę - pocałowała go prosto w usta, pocałunek był odrobinę zbyt długi i zbyt dwuznaczny, biorąc pod uwagę obecność Louise. Potem wyszła. Usłyszeli, jak pod oknem odpala swoją Vespę, zwiększa obroty, zmienia bieg i znów zwiększa obroty, dopóki dźwięk nie zabrzmiał jak bzyczenie dokuczliwego owada pośród rzymskiej nocy.

- Ucałuj ode mnie Billy'ego - przedrzeźniała ją Louise z niepotrzebną uszczypliwością.

- Proszę - powiedział Jack, wyglądając na zmęczonego. - Nic nie mów.

## SIEDEMNASTY

Zapewne mnóstwo czasu poświęcasz kontemplowaniu luki między spektralnym niebieskim, a fioletowym, pozwól sobie jednak przypomnieć, co nauka ma do powiedzenia na temat Indygo. Nic.

Od dzieciństwa uczy się nas, że spektrum składa się z siedmiu barw. Z pewnością uczyłeś się tego na przykładzie tęczy. Kto od niepamiętnych czasów zapewnia nas, że istnieje siedem wyraźnych kolorów w normalnym spektrum światła? Nie nauka, która mówi tylko o sześciu. Wróć do podręczników fizyki i zajrzyj do encyklopedii, a odkryjesz dziwną awersję nauki do myśli o nieuchwytnym Indygo. Jak do członka rodziny, o którym się nie wspomina, chociaż istnieje. Kolor, którego nazwy się nie wymawia. Dla nauki - tabu.

Naukowe pojmowanie kolorów bazuje na koncepcji barwy, nasycenia i drgań. Światło widzialne to wibracja elektromagnetyczna. Odmienne długości fal tych wibracji są odbierane subiektywnie jako barwy. Barwa czerwona i barwa fioletowa to skrajne końce widzialnego spektrum, ponieważ ich fale mają różną długość. Długość fali barwy czerwonej to 0.000030 cala; fioletu 0.000014 cala. Pomiędzy nimi występują cztery jasno określone wariacje fal, albo pasm (pomarańczowe, żółte, zielone, niebieskie). Jeśli więc istnieje pięć innych pasm, a ogólnie siedem, to powinniśmy z łatwością wskazać *Indygo!* A tak nie jest. Dlaczego?

Kolor światła określonej długości fali nazywa się czystym kolorem spektralnym. Mówi się o nich, że są w pełni nasycone. Nie można ich zobaczyć poza laboratorium, wyjątkiem są lampy sodowe używane na autostradach, stanowiące przykład niemal w pełni nasyconej żółci. Większość kolorów widzianych każdego dnia jest znacznie mniej nasycona - innymi słowami, stanowią mieszanę długości fal. Jest to dokładnie to, czym okazuje się każda artystyczna próba odtworzenia Indygo: rozczarowującą wariacją na temat niebieskiego.

Indygo nie ma. Indygo nigdy nie istniało.

Tyle, jeśli chodzi o naukę. A co ze sztuką i artystami, na drugim krańcu spektrum? Co oni mają do powiedzenia w tej kwestii? Zapytaj ich, choć zapewne sprowokujesz pobłażliwy uśmiech. Przyznaję, że mam słabość do artystów. Jednak ich bełkot i wymądrzanie się na temat Indygo powoduje, że mam ochotę wepchnąć ich wszystkich do kanału (co zresztą raz zrobiłem z pewnym irytującym młodym człowiekiem). Z oczami wilgotnymi ze wzruszenia będą wskazywać słynne obrazy i podtykać najróżniejsze teorie na temat niebieskiego, niebieskiego, niebieskiego.

Naukowcy i artyści. Kanalie i głupcy. Istnieje jednak alternatywa, a ja mogę cię do niej doprowadzić. Postrzeganie Indygo to wrota do Niewidzialności. (Jeśli myślisz o niej jak większość ludzi, będziesz musiał zmienić swoją koncepcję, ponieważ idea przekazywana przez fantastykę naukową, to oczywiście kompletna bzdura: gdybyś był niewidzialny w sensie sugerowanym przez H.G.

Wellsa, to nawet twoje gałki oczne byłyby transparentne. Nie byłbyś w stanie zamknąć oczu. Nie byłbyś w stanie spać).

Nie wskazuję ci też ciemnego kąta, ani innego kamuflażu, przy użyciu którego mógłbyś być niezauważalny. To przebranie, tylko sztuczki. Prawdziwa Niewidzialność to gigantyczny wyłom w realnym świecie.

Co właściwie stało się z nieuchwytnym Indygo? Zniknęło ze świata, przypadło w jakiejś szczelinie? Nie ulega wątpliwości, że ten kolor w historii był namacalną siłą. Różne źródła mówią nam, że „poprzednio” Indygo było uważane za pełnoprawny kolor spektrum. W takim razie dlaczego zniknęło? Ktoś nam je ukradł? Z własnej woli opuściło planetę? Boska to, czy inna jakaś kara, że nie znamy jego piękna? Czy inne barwy spektrum też znikną?

Prawdą jest, że je mieliśmy, a teraz zniknęło. Znam nieliczne miejsca, w których wciąż można odnaleźć ślady Indygo, ale nie mam pewności, że to, do czego chciałbym cię doprowadzić, nie jest nędzną resztką cudownego oryginału. Być może roztaczam przed tobą tylko wyblakłą flagę, żalostną resztkę. Ale jeśli podążysz za moim instrukcjami i ujrysz nieuchwytny Indygo na własne oczy, będziesz jego ślady dostrzegał wszędzie i zawsze. Twój wizualny świat będzie odmieniony.

Widok Indygo jest nieoczekiwanym darem i efektem ubocznym sztuki niewidzialności.

A teraz porady praktyczne. Zmień dietę. Aby pojąć kolor Indygo, musisz mieć we krwi wysoki poziom żelaza i wapnia, ze względu na

obecność tych elementów w radiacji koloru. Percepcja koloru to złożony proces neuropsychologiczny, a dieta może wpłynąć na dynamiczne relacje pomiędzy obserwatorem a obiektem obserwowanym. Zalecam zatem dzienną dawkę 1,5 miligrama żelaza, 2 miligramy wapnia oraz poprawiającą wzrok witaminę A. To duże dawki, a żelazo często prowadzi do obstrukcji. Musisz więc monitorować swoją dietę, aby mieć pewność, że się wypróżnisz.

Obmywaj oczy dwa razy dziennie roztworem oczaru wirginijskiego (*Hamamelis virginiana*) oraz kwasu bornego. Znajdziesz je w każdej aptece.

Taki reżim powinien być ściśle przestrzegany przez miesiąc poprzedzający przystąpienie do kolejnego etapu. Możesz konstruktywnie wykorzystać ten czas, aby rozwijać sztukę widzenia i zbudować czarną kabinę.

Pierwsze ćwiczenie nosi nazwę palming. Po prostu zamknij oczy i unieś otwarte dłonie, lekko dotykając powiek. Powinieneś widzieć jedynie morze czerni, tak w wyobraźni, jak w rzeczywistości. Wytrzymaj tak przez pięć minut. Kiedy znowu otworzysz oczy, nie denerwuj się tym, że przez chwilę wszystko wydaje się odrobinę rozmyte. W gruncie rzeczy przez kilka pierwszych chwil na niczym nie powinieneś skupiać wzroku.

Ćwiczenie powtarzaj często. Kiedy znajdziesz się w prawdziwej ciemności i otworzysz oczy, poczujesz jak są odświeżone. Ma to coś wspólnego z impulsami elektrycznymi wytwarzanymi poprzez kontakt dłoni z chorymi organami (dłonie emitują mnóstwo siły witalnej, stąd



tak często przykłada się je do ciała w procesie uzdrawiania). Później, już w ciemności, twój wzrok zwróci się ku poszukiwaniu fioletowego końca spektrum i obszaru, w którym należy go szukać.

Kiedy oswoisz się z palmingiem, idź na łąki i tam wykonaj to ćwiczenie. Potem idź do lasu i zrób to samo. Jeszcze lepiej poszukaj cichego lasu i powtórz ćwiczenie o zmierzchu. Efekt cię zaskoczy.

Podczas gdy będziesz wspomagał oczy witaminami i ćwiczeniami, możesz rozpocząć budowę czarnej kabiny. Większość ludzi uporządkuje dużą szafę lub schowek pod schodami. Jeśli nie masz odpowiedniego schowka, musisz zatrudnić stolarza, albo sam sobie poradzić. W każdym razie czarna kabina musi być wystarczająco obszerna, aby zmieścił się tam fotel.

Dopilnuj, aby kabina była nieprzenikalna dla białego światła. Zaklej wszystkie szpary czarną taśmą izolacyjną. Zainstaluj ultrafioletową lampę elektryczną i wyłącznik. Kiedy usiądziesz na fotelu, musisz go mieć dokładnie nad głową. Będziesz też potrzebował sznurka, aby nie zmieniać pozycji włączając lub wyłączając światło.

Po miesiącu przestrzegania diety i ćwiczeniach palmingu, po zbudowaniu czarnej kabiny jesteś gotów do następnego etapu działania.

## OSIEMNASTY

Po spędzeniu prawie piętnastu minut w szafie pod schodami Jack zaczął czuć się głupio. Z całą pewnością nic się nie wydarzyło, a kiedy sięgnął ręką do sznureczka od wyłącznika, odezwał się dzwonek u drzwi. Ultrafiolet poraził go w oczy. Zamrugał. Szukając po omacku drzwi usłyszał, że Louise z kimś rozmawia.

Jack poznał głos Alfredo, stłumiony, potem coraz bliższy, wypowiadający słowa powitania. Na kilka chwil zatrzymali się z Louise w holu, o kilka cali od Jacka ukrytego pod schodami, oddzieleni tylko przesuwalnymi drzwiami. Jack zorientował się, że Alfredo sporządził wycenę domu. Usłyszał, jak o niego pyta i jak Louise odpowiada, że nie wie, gdzie jest. Głosy oddaliły się, kiedy Louise poprowadziła Alfredo do salonu, w którym bawił się Billy.

Jack znów usiadł w fotelu. Właściwie nie ukrywał się przed Alfredo; po prostu nie chciał, aby jego wizyta się przeciągnęła. Poczekaj w szafie, dopóki agent sobie nie pójdzie. Kiedy tak siedział, widział swoją twarz odbijającą się w lustrze. Świetlna mgiełka koncentrowała się nad powierzchnią szkła. Jack podniósł się i rękawem przetarł lustro do czysta. Potem usłyszał podniesiony głos Alfredo i perlisty śmiech Louise. Znów weszli do holu. Jack słyszał ich bardzo wyraźnie.

Potem zapadła cisza, aż wreszcie Alfredo zaczął mówić zdumiewające rzeczy. O tym, że Louise jest nieopisanie piękna, jak

bogini, a on, Alfredo, leżał całą noc bezsennie, dręczony myślami o niej, aż do szóstej rano. Nie był w stanie tego znieść, więc podniósł się z łóżka i musiał wyjść na spacer po Monte Mario.

Jack, słuchając tych wyznań, instynktownie włożył palce do ust i przygryzł je mocno.

Cóż to była za udręka, mówił dalej Alfredo. Był głęboko nieszczęśliwy, musiał ją zobaczyć; tylko na nią spojrzeć; spędzić kilka chwil w jej obecności.

- Mój Boże - powiedziała Louise.

Jack usłyszał szeleszczący dźwięk, jakby ocierających się ubrań; wcześniej głuchy odgłos uderzenia o drewniane drzwi, aż zadrżała szafa, a sznurek od wyłącznika światła lekko się zakołysał. Do Jacka dotarł dźwięk gwałtownie wciąganego powietrza, prychnięcie, potem lekkie dyszenie.

„Alfredo, przestań, przestań”; „Louise, uważasz mnie za głupca”; „Nie, nieprawda”; „Tak, prawda, może faktycznie nim jestem”; „Posłuchaj, Alfredo, podobał mi się ten pocałunek, naprawdę, ale z różnych powodów to nie jest odpowiedni czas, to nie ma nic wspólnego z tobą”; „Powinienem wracać do pracy, albo może do domu, dzisiejszy dzień to katastrofa”; „Nie bierz sobie tego do serca, proszę, to tylko...”; „Nie, masz rację, powinienem iść, proszę, zapomnij, że tu dzisiaj byłem”; „Przepraszam”; „Ja też przepraszam”.

Kroki się oddaliły. Otworzyły się drzwi, zmieniając ciśnienie w domu, a do środka wlał się szum ruchu ulicznego. Potem z salonu dobiegł płacz Billy’ego. Jack usłyszał jęk Louise, kiedy do niego

podeszła, dopiero wtedy bardzo ostrożnie otworzył drzwi i wślizgnął się do holu.

- Gdzie byłeś? - zapytała Louise chwilę później. - Po prostu zniknąłeś.

- Wyszedłem na spacer. Wyglądasz na zmęczoną.

Louise podniosła rękę do włosów.

- Billy rozrabia. Chcesz kawy? - Jack odmówił, ale chyba nie usłyszała, bo i tak mu naląła.

- Wydawało mi się, że ktoś wychodził z domu.

- Zgadza się. Agent obrotu nieruchomości.

- Alfredo?

- Tak. Alfredo. Przyniósł wycenę.

- Osobiście, co?

- Wiesz, że ten dom jest wart więcej, niż mieszkanie na Lake Shore Drive?

- Kto by pomyślał? Alfredo mówił coś jeszcze?

- Trochę się spieszył. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak?

- Jack, jak długo chcesz zostać w Rzymie? Nasze sprawy są załatwione, zgadza się?

Jack dał sobie spokój z droczeniem się z nią. Myślał już o wyjeździe z Rzymu. Natalie była powiadomiona, dom wystawiony na sprzedaż. Nie mogli się tu wałęsać w nieskończoność. Ale nie musieli wyjeżdżać tak od razu. Myśl, iż jego mała firma w Catford nie była szczególnie dobrym powodem, aby wracać do Anglii przypomniała

mu, że powinien zadzwonić do pani Price.

Poza tym Rzym odcisnęła już na nim swoje piętno. Na opuszkach palców miał starożytny pył. Pomruk minionych epok zaczął się powoli zmieniać w przyjazny szum. Historyczny, ponury nalot zaczął znikać, ukazując pod spodem Rzym jasny i świetlisty. No i była Natalie.

- Louise, tęsknisz za Chicago?

- Nie, ale pomyślałam, że spytam, jakie masz plany. Byłoby miło zostać jeszcze kilka dni, a potem zabiorę Billy'ego do domu.

\*\*\*

Zaliczali większość cukierni Rzymu. Napawali się Watykanem, posągami Berniniego, fontanną di Trevi. Przez większość dnia Jack nosił Billy'ego na barana, znów bawiąc się w tatę. Jack i Louise byli jak małżeństwo na wycieczce z synem, tyle że nie trzymali się za ręce.

Spędzili razem trzy szczęśliwe dni, zanim Louise uznała, że jest gotowa wracać do domu. Przez ten czas Jack nie kontaktował się z Natalie, a Natalie nie zadzwoniła do Jacka. Alfredo i Louise też nie zawracali sobie nawzajem głowy. I coś działo się z Billym.

Kiedy chłopiec oswoił się z Jackiem, zaczął do niego łgnąć. Odrywał się od boku matki, chwiejnie podchodził do Jacka i chwycił się jego kolan. Niesiony na rękach kładł mu główkę na ramieniu. Po kąpieli pozwalał, aby Jack osuszał go wielkim ręcznikiem. Z wielkimi i błyszczącymi oczami, spontanicznie wyciągał do niego rączki. Czasami w takich chwilach Jack spoglądał na Louise i widział półuśmiech, ale także niepokój. Cegielki w tej budowli, bardziej

świętej i bardziej niepewnej niż wszystkie zabytki Rzymu, powoli wskakiwały na swoje miejsce.

- Przyjedź do Chicago - powiedziała Louise, zabierając Billy'ego z ramion Jacka. - Pamiętaj, że masz tam teraz rodzinę.

- Może tak zrobię.

Jack zatelefonował do Anglii i wreszcie udało mu się porozmawiać z panią Price. Nie była w najmniejszym stopniu zadowolona z obrotu spraw. Źle się stało, pouczyła go, że nie utrzymywał z nią kontaktu od czasu wyjazdu do Chicago. Poinformowała, iż celowo wyłączyła automatyczną sekretarkę chcąc go zmusić, by porozmawiał z nią osobiście. Sprawy są w zawieszeniu, wytknęła, i pojawiły się komplikacje w kwestii Birtlesa. Poza tym, stan jej konta nie zmienił się, a skoro przestał jej płacić, to odchodzi z tygodniowym wypowiedzeniem.

- Pani Price, proszę tego nie robić! Na koncie numer trzy jest mnóstwo pieniędzy!

- Dobrze pan wie, że nie mam do niego dostępu.

- Ale może sobie pani wypisać czek. Proszę to zrobić, mam do pani zaufanie. Po prostu proszę się podpisać jako ja.

- Nigdy w życiu nie robiłam takich rzeczy i nie mam zamiaru teraz zacząć.

- Nikt nie zauważy różnicy, pani Price! Mam obowiązek pani zapłacić!

- Nie zrobię tego, absolutnie nie.

- W porządku. Jeszcze dziś zorganizuję transfer bankowy.

Obiecuję. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje z Birtlesem.

- Drań skłamał w sądzie, twierdząc, że nigdy nie dostarczył mu pan dokumentów. Mówił, że może udowodnić, iż tego dnia nawet nie było go w mieście.

Serce Jacka zamarło.

- Dostarczył mu pan dokumenty, prawda? - spytała pani Price zmienionym tonem.

- Pani Price!

- Przepraszam, że pytam. Ale Birtles podniósł taki lament, że sąd chciał pana zobaczyć. Cóż, wyjaśniłam, że pan wyjechał, więc oczywiście sędzia kontynuował sprawę na podstawie pańskiego pisemnego oświadczenia. Powiedział Birtlesowi, iż zgodnie z jego doświadczeniem woźni sądowi nie mają po co kłamać, ale i tak wydał nakaz stawiennictwa.

Jack zapewnił panią Price, że wróci tak szybko, jak będzie mógł; ułagodził ją; wytłumaczył, że jego firma nie może funkcjonować bez niej. Zanim odłożył słuchawkę obiecał bardziej regularny kontakt. Przez sprawę Birtlesa czuł się okropnie, nie dlatego, że skłamał przed sądem albo oszukał Birtlesa, ale dlatego, że rozczarował panią Price.

\*\*\*

Jack wciąż nie miał dosyć Rzymu. Nic nie ciągnęło go do Anglii. Wieczne Miasto było rogiem obfitości pod kopułą nieba, rogiem pełnym kościołów i pałaców, które przy bliższym poznaniu okazywały się szkatułami pełnymi skarbów, sekretów, pamiątek, a

każda z nich po otwarciu uwalniała zastępy duchów. Po co miał wracać do Anglii, skoro nikt tam na niego nie czekał?

No i tutaj była Natalie o wilczym spojrzeniu i nogach baleriny. Wpadła tego samego popołudnia, zanim jeszcze Louise zdecydowała się wracać do Chicago. Weszła do domu, Louise akurat była w holu. Obie kobiety zamarły w bezruchu, zaskoczone wzajemnym widokiem.

Louise odezwała się pierwsza. - Widzę, że masz klucze - powiedziała, najwyraźniej nie mogąc oderwać wzroku od obcisłych, skórzanych spodni i masywnej klamry na brzuchu Natalie.

- Zgadza się. Powiedziałam o tym Jackowi. Właściwie to przysłałam je oddać. Masz.

- Może powinnaś je zatrzymać.

- Nie. I tak za dużo ludzi je ma. Wolę oddać. Lubisz czarno-białe filmy?

- Owszem, tak się składa. Powiedziałas, że znałaś Nicka. Czy ty i on byliście kochankami?

- Tak. Billy jest do niego podobny, nie sądzisz?

Louise nie zdołała zapanować nad rumieńcem gniewu.

- Powiedziałas Jackowi, że Nick jest ojcem Billy'ego?

- Nie - skłamała Natalie. - To nie jego sprawa. Ani moja.

- Wolałabym, aby tak zostało. Jack nie musi wiedzieć.

- Rozumiem. Jack powiedział mi, że chcesz zrobić z niego zastępczego ojca.

- Tak ci powiedział?! - Louise była zaszokowana.

- Oj, widzę, że wyrwałam się przed szereg. Teraz obie mamy



coś, czego lepiej mu nie mówić. Masz ten klucz. Muszę lecieć. A co do czarno-białych filmów - wyglądałaś mi na ten typ.

\*\*\*

Jack wynajął samochód i zawiózł Louise i Billy'ego na lotnisko. Louise, zanim weszła do hali odlotów, odwróciła się i złapała go za klapę marynarki.

- Mogę ci coś powiedzieć? To może zabrzmieć trochę dziwnie. Trzymaj się z daleka od Natalie.

- Dlaczego?

- Na przykład dlatego, że nie umie kłamać.

- Czy to siostrzana rada?

- Tylko rada. Możesz myśleć, że jej pragniesz. Ale tak nie jest.

Potem pocałowała go w usta. Pocałunek był przejmujący, niepokojący i niespodziewanie długi. Potem przeszła przez bramkę i tylko Billy widział, że Jack macha im na pożegnanie.

\*\*\*

Natychmiast po powrocie z lotniska Jack zadzwonił do Natalie.

## DZIEWIĘTNASTY

Młoda włoska artystka, Anna Maria Accurso, podcięła sobie żyły o północy piętnastego lutego. Amerykanin, Nicholas Chadbourne, zniknął ze swojego mieszkania tej samej nocy.

- Twój umysł cały czas pracuje - powiedziała Natalie. - Cały czas.

- Nic na to nie poradzę - odparł Jack.

Jasne światło słoneczne wlewało się przez szparę między ciężkimi, błękitnymi zasłonami z aksamitu. Spędzili w łóżku dwa dni. Natalie leżała na brzuchu. Prześcieradła oplatały jak bluszcz jej uda i wilgotny brzuch, głowę miała zakopaną w poduszkach, włosy rozsypane. Oboje byli złani potem. Ciężki zapach seksu i potu wisiał w powietrzu, wszystko wokół było nim przesycone. Byli oszołomieni sobą.

Jack oparty na łokciach śledził błyszczącą kroplę potu spływającą po łopatkę Natalie. Jej skóra płonęła w świetle, opalona, gładka i lśniąca. Ramię zdobił maleńki tatuaż, o którym od zawsze wiedział, że go tam znajdzie: spektrum - nie tęcza, ale błyskawica otoczona sześcioma małymi gwiazdkami. I tylko sześć kolorów.

W środku nocy ugryzł ten tatuaż. Natalie uniosła się na kolanach, wcisnęła głowę w poduszki i oplótła ramionami żelazną ramę łóżka, zachęcała go, by wziął ją od tyłu. Jack obolały od uprawiania miłości, wbijał się w nią mocno, dopóki nie wydyszała jego imienia i nie

ugryzła poduszki; kąsał tatuaż, jakby chciał go zedrzeć z jej ramienia. Wyzwalała mroczne żądze. Przez chwilę, zanim oswobodził ją z uścisku, całkowicie się w niej zatracił.

- Rzecz w tym - powiedział Jack - że tych dwoje ludzi coś łączyło.

- Zaskocz mnie - powiedziała sennie Natalie.

- Mój ojciec. Tim Chambers.

- Nieprawda.

- Nieprawda? Dlaczego nieprawda?

- Spytałeś, co ich łączyło. To nie był twój ojciec; a w każdym razie nie tylko twój. Co jest znaczącego w tej dacie?

- Piętnastego lutego?

- Luperkalia. - Natalie podniosła się. Seks złagodził jej rysy, a jej anielska twarz promieniała dziwnym światłem. - Święto Luperkaliów.

Jack zamrugał, czekając na wyjaśnienia. Zamiast tego położyła smukłe dłonie na jego ramionach. Chwyliła go za włosy i przyciągnęła do siebie. Językiem badała jego usta, początkowo ostrożnie, potem coraz gwałtowniej, w końcu sięgnęła w dół. Jej wargi smakowały snem i wczorajszym winem, słonawą deszczówką, jagodami, liczi i cytrusami, ale ponad wszystko oszołomił go zapach jej seksualności. Mógł go wyczuć nawet w pocałunku. Było w nim coś mineralnego, coś, co jednocześnie zniechęcało i podniecało. Ukąsiła jego wargę i przytrzymała zębami; przesunęła jedwabistym językiem po podniebieniu, obiema rękami gładziła i ścisnęła jego członek. Był pewien, że niewiele z niego zostanie. Skończył w niej,

wielokrotnie, ale ona, nienasycona, była gotowa na więcej.

- Nie dam rady! - zaśmiał się.

- Dasz, dasz.

Pokój błękitniał. Unosiło się w nim coś w rodzaju mgiełki, zapachu, czyjejś obecności, jakby niebieski cień z nutą fioletu i błyskiem Indygo.

- Zerznij mnie jeszcze raz.

\*\*\*

- Jeszcze. O tak. Jeszcze. Mów do mnie, Jack, nie zostawiaj mnie.

- Nie mogę. Jestem tam. Poza słowami.

- Zostań ze mną. Jeszcze. O, tak dobrze.

- Tak bardzo to lubisz?

- Musisz mnie o to pytać? Nie chodzi o to, że... jednak wystarczy. To... to... *wniknięcie*.

W jaki sposób mówić o wilku? Poprzez sny? Od czego zacząć? Przybywasz do mnie taki naturalny, Jack, pozornie skażony światem, ale widzę cię i wiem, że przychodzisz czysty. Liżę puszysty meszek pokrywający twoje nagie ciało, wącham woskowy *Vernix caseosa*<sup>16</sup> na twojej skórze; nawet nie muszę pokazywać ci sutka, bo poczułeś go w powietrzu, spragniony wilczego mleka.

Pewnie nie uwierzyłeś, że wybieram tylko jednego mężczyznę co dwa lata. Zobaczyłeś jak płonę, może teraz w to uwierzysz. Choć nie jestem dziewicą, przyszedłam do ciebie odnowiona, czysta i głodna. Masz naiwność dziecka, ale jesteś dobrym kochankiem, troskliwym,

---

<sup>16</sup> Vernix caseosa (łac.) - tłusta substancja pokrywająca skórę płodu w macicy

zważającym na moją przyjemność. Jak możesz być synem swojego ojca? On nie był bezinteresowny jak ty. Skupiał się wyłącznie na sobie.

Czy jesteś świadom obecności wilczycy w mieście od niej poczętym? Słyszysz jak warczy w nocy? Jak ciężko dyszy? Nie czujesz jej oddechu przesyconego wonią owczego mleka i mięsa, dżdżownic, żołądki i jagód; albo jej futra, cuchnącego mokrą, letnią nocą i błotem Tybru? Nie widzisz jej cienia w oknie?

Nie. Nie możesz jej widzieć. Jeszcze nie. Ona jest cieniem Indygo, a ty jesteś tylko nowicjuszem.

Jednak wkrótce się dowiesz. Kto może żyć samotnie w jaskiniach i grotach, albo w norach pod drzewami, na prerii, w lasach i w górach, jeśli nie wilk? A jeśli ktoś wybiera sobie towarzysza życia, musi liczyć się ze zdradą, zależny od czyjejś wierności lub niewierności.

Cieszę się, że Amerykanka wyjechała. Nie lubiłam jej. Jest zbyt ludzka, zbyt uporządkowana. Samica alfa. Hamowała cię, trzymała z dala ode mnie. Jednak wiedziałam, że w końcu przyjdiesz. Jej zapach wciąż na tobie jest, więc pozwól wylizać się do czysta. Pozwól mi zmyć cię żarem i żądzą miłości, obnażyć i pożreć, wyssać każdą kroplę, nie zostawić nic. Chcę, byś tylko spał, abym ja mogła kroczyć jak cień przez twoje sny, jak cień w futrze barwy indygo.

- Jaki dziś dzień? - ziewnął Jack.

Natalie, ubrana w sutą, brokatową szatę należącą uprzednio do

Tima Chambersa, odsunęła zasłony i otworzyła okno. Przyniosła tacę z mocnym, czarnym espresso i tosty z sosem marmite<sup>17</sup>.

- Spałeś całe wieki. Jeśli nadal chcesz kochać się ze mną tak mocno, jak śpisz, to istotnie musisz nabrać sił - mrugnęła. - Ale znalazłam tylko sos marmite.

- Śniło mi się, że jesteś wilczycą. Nie jesteś, prawda?

- Wilczycą? Nie, chyba że o czymś nie wiem. O mrocznej połowie. Śniły ci się wilki, bo opowiadałam ci o Luperkaliach, zanim zapadłeś w sen. Śnił ci się kolor indygo?

- Nie. Gdzieś tam był, ale go nie widziałem.

- A ja tak. Coś się dzieje, kiedy jestem z tobą. Już drugi raz w tym tygodniu śniło mi się indygo. Co jest z tobą, Jack?

- Widziałas go podczas snu?

- Tak. Bardzo wyraźnie.

- Opisz go.

Zamarła, uniosła oczy w górę, szukając inspiracji.

- Nie potrafię.

- Spróbuj.

- To daremny wysiłek. Jest zawsze w ruchu, jak woda, albo topniejący metal. Kiedy się budzę, senne marzenie natychmiast znika.

Jack pamiętał coś niecoś z tego, co opowiadała mu o Luperkaliach, zanim zapadł w sen: starożytne, rzymskie święto odbywało się w świętej jaskini, w której wilczyca wykarmiła porzuconych Romulusa i Remusa. Nadzy, młodzi mężczyźni

---

<sup>17</sup> Sos marmite - specyficzny, czarny sos brytyjski w smaku nieco przypominający maggi, używany do smarowania tostów

wysmarowani krwią i kozim mlekiem, wyposażeni w rzemienie z koziej skóry biegli przez miasto, smagając nimi kobiety, by odegnąć niepłodność. Tim Chambers, jak poinformowała go Natalie, podjął próbę przywrócenia tego zwyczaju i znalazł mnóstwo chętnych.

Jack w zadumie przeżuwał swój tost.

- Czy kiedykolwiek wzięłaś udział w tej zabawie?

Natalie wyglądała na zniesmaczoną.

- Słuchaj i zapamiętaj sobie raz na zawsze. Pozwoliłam mu się *pieprzyć*, ale nie pozwoliłam się *spieprzyć*.

- Co wiesz o Accurso i Chadbourne?

- Och, oni tkwili w tym bardzo, bardzo głęboko.

- To znaczy?

- To znaczy, że ja byłam tylko na peryferiach wydarzeń.

Widziałam, że dzieją się bardzo dziwne rzeczy, ale unikałam ich.

Wiesz, twój ojciec rzucał długi cień, i... - przerwała.

- Natalie! Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Światło. Patrę, jak załamuje się na twoich ramionach. Niebieskie. Fioletowe. Boże, Jack, mam nadzieję, że się w tobie nie zakocham. Nienawidzę tego - rzuciła mu ręcznik. - Idź i weź prysznic. Cuchnie tu jak w jaskini.

## DWUDZIESTY

Głos mówiący Jackowi, aby wyjechał z Rzymu, znów się odezwał. Sprawy nie wyglądały dobrze. Kiedy Natalie wreszcie wróciła do swoich zajęć, Jack nie miał co ze sobą zrobić. Jego zadanie było skończone. Poza Natalie nic nie trzymało go w Rzymie. Im dłużej był za granicą, tym bardziej zaniedbywał swoją małą firmę. Klienci mogą przestać się pojawiać; prawnicy zlecą pracę komuś innemu.

Istniało co najmniej kilka powodów, dla których powinien wyjechać. Romans z Natalie się skończył. Czuł, że jej „lęk” przed zakochaniem się w nim był zaplanowaną drogą odwrotu, czymś w rodzaju - *och, nie pozwól mi pofrunąć zbyt blisko słońca*. Uświadomił sobie, że po prostu traktowała mężczyzn podobnie jak mężczyźni często traktują kobiety. Wykorzystywała ich i, otrząsając się jak pies, wracała do własnych spraw. Nawet w łóżku zachowywała się jak facet, finiszując szybko, dziko i głośno. Kochał się z nią raz za razem, czuł się jednak dziwnie zbrukany; zwłaszcza kiedy pomyślał, że jego ojciec robił to z nią wcześniej. A nawet gdy w zapamiętaniu o tym zapominał, to jej erotyczny tatuaż, jak znak firmowy, przypominał mu o tym.

Ciągłe poczucie obecności ojca niepokoiło go. Czuł się manipulowany. Zupełnie, jakby ojciec sprowadził go do Rzymu, wiedział, co znajdzie między nim a Natalie, przewidział, a nawet wyreżyserował jego reakcję. Zostało już tylko jedno, co mógł zrobić



na pewno - wyjechać. Mimo wszystko, porzucenie Natalie nie było łatwe.

Którejś nocy, pięć dni po wyjeździe Louise, Jack obudził się u boku Natalie z silnym uczuciem, że ktoś stoi przy łóżku i wpatruje się w niego. Kiedy poderwał się do pozycji siedzącej, w ciemnościach nikogo nie było. Wtedy po prostu znów zapadł w sen. Innym razem wydawało mu się, że słyszy czyjeś kroki na piętrze.

Jego podejrzenia zaczęły się potęgować, kiedy pewnego popołudnia wrócił do domu i usłyszał muzykę operową, tak jak wtedy, kiedy przyjechali z Louise do Rzymu. Głęboki kontralt dochodził z wyższego piętra, poprzez schody i pusty hol, spowijał dom jak duch. Trzeszczące nagranie głosu Kathleen Ferrier w *Orfeuszu i Eurydyce* było jednym z ulubionych utworów jego ojca - i Natalie, którą opuścił zaledwie pół godziny wcześniej. Może to była wiadomość. Niebezpieczne memorandum. Wyłączył muzykę i pobieżnie przeszukał dom. Niczego nie znalazł.

Zadzwoił do Louise, do Chicago.

- Louise, widziałaś zwłoki ojca, prawda? - Bał się, że jak w kiepskim filmie, duch może okazać się jak najbardziej żywy.

Ulżyło jej, że zadzwonił.

- Był martwy, Jack. Byłam tam, pamiętasz? Zadzwoniłam po lekarza. Zamknęłam wieko trumny, zanim wrzucili ją w płomienie. To nie była sztuczka. Rany, brzmisz tak nieszczęśliwie. Co cię trzyma w Rzymie?

- Och, sam nie wiem. Za kilka dni wracam do Londynu.

- Więc możesz nas znowu odwiedzić. Billy bez przerwy o ciebie pyta.

- Naprawdę?

- Jasne.

- Nie mówisz tego, aby mi zrobić przyjemność?

- Nie. Przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz chciał. Czeka na ciebie kawa i jagodowe babeczki.

- Wiesz co, Louise? Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Jack. Pamiętaj o tym.

Kiedy odłożyła słuchawkę, poczuł się dziwnie. Powiedział Louise, że ją kocha, ale zrobił to na tyle pośpiesznie, iż wyznanie nie miało prawdziwej wagi. I wydawało się, że ona powiedziała to dokładnie w ten sam sposób.

Przeszukał dom jeszcze raz, tym razem uważniej. Na najwyższym piętrze były pokoje, do których nie zaglądał od dnia przyjazdu. Jeden z nich był zamknięty na klucz, a nie przypominał sobie, aby to zrobił. Musiał znów zejść na dół i zabrać ogromny pęk kluczy.

Kiedy udało mu się otworzyć drzwi zobaczył, że ktoś tam koczował. Tapeta spadała ze ścian butwiejącymi pasmami, ale poza wonią starego kleju i papieru unosił się ludzki zapach. Kogoś, kto się nie mył. Na podłodze leżał zatechły materac i kilka pomiętych koców. Obok barłogu stał piecyk identyczny jak ten, który miała Natalie, a także aluminiowy rondel i mały kubek z fusami po kawie. Jack dotknął piecyka. Wciąż był ciepławy.

Okno ze złamaną klamką było uchylone. Schodami pożarowymi, przyklejonymi do ściany pod oknem, można było swobodnie wchodzić i wychodzić. On czy też ona, miał własne drzwi do domu i sypialni, a stary najwyraźniej tak mało przejmował się tym miejscem, jak twierdziła Natalie. Może ten ktoś wielokrotnie wchodził i wychodził.

Jack wyszedł do miasta i znalazł sklep żelazny. Samodzielnie wymienił zamki. Za pomocą młotka i gwoździ zabezpieczył wszystkie nie domykające się okna. Zdecydował, że nie powie o tym Natalie.

\*\*\*

- Jak ci idzie eksperymentowanie? - spytała Natalie.

- Co? - Jack wpakował do ust porcję spaghetti. Znów jedli w Trucicielu. - Jakie eksperymentowanie?

- Jack, jesteś strasznie marnym kłamcą. Beznadziejnym. Sądziłam, że były gliniarz będzie w tym lepszy. Jeśli chcesz skłamać, to trzymaj stopy nieruchomo, unikaj nerwowego przetykania i powstrzymaj się od mrugania. Z każdego pora twojej skóry wyciekają ci informacje.

- Nic ci nie umknie, co?

- Zaskakujące, prawda? Rezultaty są zaskakujące. To znaczy, jak już zaczniesz ćwiczenia. A potem czarna kabina. Poczujesz się, jakby z twoich oczu opadła mgła.

Jack unieruchomił stopy, odłożył widelec i powstrzymał się od nerwowego mrugania.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O palmingu. Ciągłe nie mogę dojść, na jakiej zasadzie to działa. Po sesji w czarnej kabinie świat jest jak letni ogród po deszczu. Dostrzegasz różne drobiazgi u innych ludzi. Jak na przykład lekko przekrwione oczy kogoś, kto regularnie przesiaduje w czarnej kabinie. Nie przejmuj się, to dość szybko przechodzi.

Jack westchnął.

- Więc dobrze, bawię się w to. I co z tego?

- Tak to się zaczyna.

Zanim odpowiedział, zgasło światło. Goście roześmiali się spontanicznie. W ciemności twarz Natalie lśniła ulotnym blaskiem, jakby podświetlona indygo. Do Jacka nagle wrócił jej zapach, jak wtedy, gdy leżała wyciągnięta na łóżku. Powąchał swoje palce; wyczuł na nich ślady seksu. Mógł *wywąchać* jej kolor; *zobaczyć* wokół niej woń wilczycy, jak aurę.

W ich seksie pojawił się nowy element. Natalie miała mnóstwo doświadczenia. Z lubością doprowadzała go do wściekłości. W ciemności pluła na palce i wcierała ślinę w jego genitalia; wyobrażał sobie, że dostrzega Indygo bulgoczące w mroku i musiał ją mieć, znowu i znowu, przez cały czas.

Jego sny były chaotyczne, pełne jaszczurek, wilków i zawstydzających wyobrażeń Natalie. Budził się z bólem w podbrzuszu. Którejś nocy po takim śnie obudził się i musiał ją wziąć. Sennie obróciła się do niego wciągając powietrze, kiedy się w nią wbił. Skończyła z miękkim, wilczym jękiem rozkoszy. Kiedy odyskiwał oddech, kręciła głową z boku na bok, jakby wypatrywała

czegoś w ciemnościach.

- Co się dzieje?

- Ciii! Nie ruszaj się - wyszeptała. - Nie, zostań we mnie. Słuchaj. Coś weszło do pokoju.

Słuchał. Słyszał tylko swoje walące serce, ale ostry zapach ich seksu nigdy nie był tak intensywny. Czuł woń płonących oparów, woń elektryczności, jakby coś się stapiało. Ciemność wokół gęstniała i zastygała jak skorupa. Wydało mu się, że usłyszał cichy syk.

- Widzisz? - wyszeptała. - Możesz to zobaczyć? Możesz tego posmakować?

- Co takiego?

- Indygo.

Zsunął się z niej i wpatrzył uważnie w ciemność. Igła niebiesko-fioletowego cienia, wyraźna pionowa linia, stała między nim a oknem, jak mistyczne ostrze. Po chwili uświadomił sobie, że patrzy na światło przedświtę przechodzące przez sięgające ziemi niebieskie zasłony. Powiedział jej to.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Przeoczyłeś to, Jack. Miałeś szansę i przegapiłeś ją.

- Co straciłem?

- Nie martw się, to przyjdzie do nas znowu. Wiem to. To się dzieje dla nas, Jack.

W ciągu dnia wszystko obróciła w żart. Ale teraz patrzył na nią w mroku Truciciela i zastanawiał się czy zapach, który czuje na swoich palcach, to zapach Indygo.

Przypomniął sobie jej pytanie.

- Jak co się zaczyna? - zapytał, kiedy znów rozbłyśły światła.

- Widzenie. Właściwe widzenie. Kiedy zaczyna się po raz pierwszy. Tylko uważaj, aby nie zobaczyć zbyt wiele.

\*\*\*

Zobaczyć zbyt wiele. Dlatego właśnie Jack porzucił policję. Widział za dużo.

Jak powiedział Louise, nie chodziło o to, że postrzegał rzeczy jako rozpaczliwie smutne czy nieznośnie obrzydliwe, choć doświadczał tego przez siedem lat w brygadzie antynarkotykowej. Chodziło o coś innego. To był nawyk *patrzenia*, który go wyczerpywał. Był zdumiony, że policja nie prowadzi żadnych szkoleń ze sztuki patrzenia, z umiejętności obserwacji; był zaskoczony, jak niewiele widzą niektórzy jego koledzy. Niezbyt odkrywczo stwierdzali, że szkło leżące za oknem wskazuje na to, że raczej ktoś przez nie wychodził, a nie wchodził; durnie, którzy nie potrafili rozpoznać podrobionego podpisu; policjanci, którzy pod koniec długiego przesłuchania nadal nie rozpoznawali narkomana choćby po sposobie skręcania mistrzowsko cienkich papierosów.

Jack od pierwszego dnia miał „policyjne oko”. Chociaż wystrzegał się ocen na podstawie pierwszego wrażenia, zawsze *wiedział*. Po sekundzie mógł powiedzieć, z kim rozmawia. Mógł powiedzieć, w jaki sposób po dwudziestu krokach rozpoznać kanałą.

Ale nie potrafił też wyłączyć tej umiejętności. Zdarzało się, że nie chciał wiedzieć, czy ktoś kłamie. Czuł się jak śmieciarz wnoszący

do domu woń swojego płaszcza, we wszystkim widział rozkład i kłamstwo. Pamiętał werset z Ewangelii św. Mateusza w Nowym Testamencie: „*I jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je*”. Postanowił więc coś z tym zrobić w nadziei, że jeśli będzie miał pracę, w której nie będzie musiał szukać kłamstw, to może przestanie je widzieć.

Ale teraz nie było niebezpieczeństwa, że zobaczy zbyt dużo. Nie mógł nawet ustalić, co czuje do Natalie. Albo do Louise. Albo do swojego ojca. Twierdził, że go nienawidzi; a tymczasem był tutaj i nie tylko wypełniał jego ostatnią wolę, ale podążał krok po kroku za instrukcją obsługi wariactwa. *Widzenie* znów mu się włączyło. W ćwiczeniach i na stronach manuskryptu widział, że na coś poluje. Na co? Na aprobatę, pojmowanie, prawdę, zaginioną substancję, stworzenie i objawienie. Na to wszystko.

Nie mógł zaprzeczyć, że owe ćwiczenia przynosiły pozytywny efekt. Pilnie wypełniał przykazania instrukcji w nadziei, że bardzo szybko udowodni, iż umysł starego nie pracował sprawnie. Próbował nawet sam przed sobą zaprzeczać temu, czego doświadczył. Jakkolwiek wrażenia nie były spektakularne, to jednak niepodważalne. Palming i drobne zabiegi związane z treningiem widzenia, obserwacja zmierzchu, gimnastyka oczu dawały efekty: dość szybko zauważył większą wyrazistość otoczenia, jakby obmył oczy albo jakby sam świat się obmył. Rezultat był może marginalny, ale z pewnością nie do przeczenia. Potem zauważył poszerzenie pola widzenia do dziewięćdziesięciu stopni w prawo i w lewo. Dzięki temu

zdecydowanie lepiej postrzegał ruch.

W czarnej kabinie Jack znalazł tablicę do badań okulistycznych. Zgodnie z sugestią zawartą w manuskrypcie zbadał się przed przystąpieniem do ćwiczeń. Kiedy zrobił to ponownie, jego widzenie w każdym oku nieco się poprawiło. Po raz pierwszy zastanowił się poważnie, czy jego ojciec czegoś nie odkrył.

\*\*\*

Kiedy tak siedział w Trucicielu, rozmyślał nad swoim położeniem i jadł spaghetti, jego pole widzenia wydawało się wręcz pomrukiwać z rozkoszą. Głęboki błękit bluzki Natalie był wilgotny i płynny. Wykrochmalone, białe koszule kelnerów drżały od nadmiaru energii. Światło migotało na zdobieniach czerwono-białych obrusów. Przytłaczały go wątpliwości co do istoty tego, co robił w Rzymie, ale jednocześnie był szczęśliwy.

- Co chcesz teraz robić? - Natalie skończyła deser i przywołała kelnera.

- Chodźmy i zrobmy Indygo - odparł Jack.



## DWUDZIESTY PIERWSZY

Jeśli już zapoznałeś się z zasadami Koloru i Światła, kolej na przestudiowanie właściwości Chmury. Według niektórych znawców tematu, trzeci etap powinno się nazywać raczej zasadą Oddechu. To bez znaczenia. Jeśli do tej pory sumiennie wypełniałeś instrukcje zrozumiesz, że słowa tracą znaczenie, a świat optyczny obnaża się warstwa po warstwie jak w szokującym striptizie.

Język to tylko skromne okrycie podarowane światu. Ludzie uprawiający literaturę są nieznośnie, obsesyjnie wręcz świętoszkowaci, gdy ciało języka trzeba przysłonić, lub odsłonić za pomocą listka figowego. Poeci, prozaicy, dziennikarze: wszyscy mówią wykrętami.

Oddech ma znaczenie w tworzeniu Chmury, o której mówię. Sam Arystoteles pisał o tym fenomenie w eseju „Marzenia senne”. Twierdził, że miesiączkująca kobieta, patrząca w zwierciadło przez określony czas, może spowodować, że na jego powierzchni pojawi się świetlny film, rodzaj mgiełki. Arystoteles uważał, że menstruacja wpływa na oczy, i że z kolei oczy powodują ruch powietrza, powietrze zaś oddziałuje na zwierciadło. Nauka wykazała, że miesiączkujące kobiety istotnie mogą wytwarzać tajemniczą powłokę na powierzchniach odbijających obrazy, lecz nie dzieje się to za sprawą wzroku.

Arystoteles jednakże nie całkiem mylił się w swoich

przypuszczeniach. Oczy w istocie emitują mgiełkę, którą łatwo wykryć za pomocą wyrafinowanej aparatury, a owa mgiełka pełni określoną funkcję w skomplikowanych psychologicznych relacjach, związanych z hipnotyzmem i mesmeryzmem<sup>18</sup>. A skoro mgiełka jest mocniejsza i inna u miesiączkujących kobiet, mogą one ją wytwarzać, a nawet wzmacniać. Co więcej, przy niewielkim treningu substancję tę można przywoływać na życzenie.

Jednak nie traktuj tego lekko. To cenniejsze, niż złoto; rzadsze, niż rad; i bardziej niebezpieczne dla ludzkiego serca, niż cokolwiek innego.

Zapoznałeś się już z czarną kabiną, spędziłeś w niej wystarczająco dużo czasu przy włączonym i wyłączonym świetle. Zaskoczył cię zapewne delikatny wzór odbicia w lustrze w całkowitej ciemności; widziałeś niewyraźną aurę, energię koloru emanującą z opuszków twoich palców i z całego ciała, widziałeś także odbicie tego w lustrze. Dokładnie wypełniałeś moje wskazówki, więc włączając światło ultrafioletowe, dostrzegałeś w lustrze dziwny i jakże poruszający zarys samego siebie w chwili, gdy twoje oczy przechodziły z ciemności do światła ultrafioletu.

Co więcej, zrozumiałeś, że ten zarys nie jest jedynie odbiciem światła, ale substancją zostawiającą smugę, mgiełkę na lustrze. Tę właśnie substancję miałem na myśli mówiąc o Chmurze.

Nasza Chmura tworzy się podobnie jak chmury na niebie. Oznacza to, że chmury deszczowe i im podobne są formowane przez

---

<sup>18</sup> Mesmeryzm - pseudonaukowa XIX-wieczna teoria Franza Mesmera o emitowaniu przez człowieka leczniczych fluidów

stały ruch prądów powietrza, w którym jego ciepłe i zimne masy ścierają się ze sobą i wytwarzają mgłę. Ty, podczas ćwiczeń w czarnej kabinie, wytwarzasz krótkotrwałe prądy i wibracje, objawiające się jako widzialne aury i powodujące drżenie powietrza tuż przy twoim ciele. W czarnej kabinie wpływasz na swoje tymczasowe środowisko, stwarzasz niemalże mikroklimat i w bardzo małych ilościach produkujesz substancję, którą nazywam Chmurą.

Zastąpiłeś antymonem i rtęcią swoje zwykłe, srebrzone lustro pokryte arsenem. Zalecałem, abyś raczej sam je zrobił, zamiast zlecać to jakiemuś miejscowemu rzemieślnikowi; jakkolwiek podejrzewam, że przy twojej skłonności do chadzania na skróty nie zastosujesz się do mojej rady, ani do szczegółowych instrukcji odnoszących się do ilości i kolejności zdarzeń. Potraktuj to jak moje ostatnie ostrzeżenie. Jeśli nieprecyzyjnie wypełnisz polecenia, to twoja sprawa.

Wolę słowo „Chmura” niż „Oddech” ponieważ nie chcę, abyś popełnił błąd w myśleniu i uznał, że mówię o czymś tak banalnym, jak para osadzająca się na powierzchni lustra. Abyś zrozumiał różnicę, wystarczy skierować cienki strumień ultrafioletowego światła na substancję, która gromadzi się na lustrze.

Będziesz zdumiony tym, co zobaczysz. Może zaczniesz krzyczeć. Nieznaczna kondensacja zmatowi załamany strumień ultrafioletu, a właściwości Chmury wrócą do ciebie jak syczące węże, błyszczące kolorem i elektryczną intensywnością. Kolory będą wibrować i nie będziesz w stanie zatrzymać ich przed oczami, jednak spróbujesz je policzyć. Będziesz prawie przekonany, że jest ich

siedem, gdyby tylko zatrzymały się na moment. Tak oto zobaczysz nowy kolor. Nie muszę wymieniać jego nazwy.

Ale wróćmy do substancji, którą opisałem jako Chmurę. Wyłącz ultrafioletowe światło. Teraz jesteś gotowy, by ją zebrać. Będziesz jej potrzebował bardzo dużo.

## DWUDZIESTY DRUGI

Natalie zabrała Jacka do miejsc, które nazwała ukrytym Rzymem. Prowadziła go przez prywatne dziedzińce, mroczne alejki cuchnące moczem, pasażę na tyłach budynków znanych i nieznanym, pod pomnikami, pod łukami, wzdłuż spękanych murów Trajana, przez dziury w ścianach. Znała Rzym jak ciało kochanka. Smakowała językiem każde jego miejsce. - Powiedziałeś, że chcesz patrzeć. Ale czy jesteś gotów wpuścić do swojego życia odrobinę magii?

Wiele niezwykłych sekretów Rzymu kryło się pod ziemią. Setki przedchrześcijańskich domostw i świątyń, zniszczonych, lecz wciąż żywych, kryło się pod średniowiecznymi i renesansowymi pałacami, ale także pod nowoczesnymi rezydencjami i budynkami użyteczności publicznej. Natalie pokazała mu gzyms w kształcie kota w świątyni Izydy; starożytne zegary słoneczne umieszczone w fundamentach; zrabowane gdzieś rzeźby wyobrażające salamandry i węże, teraz dekorowały fasady chrześcijańskich kościołów; łuki, filary, marmurowe tablice z łacińskimi sentencjami, wszystko to wspierało struktury dzisiejszego Rzymu. Tysiące mil podziemnego miasta walczącego o własną pamięć.

Rzym był mitycznym stworem, mieszaniną różnych elementów, chimera ujawniającą prawdziwą naturę tylko w mroku. Kiedy spała, pozwalała śnić, a sny wydostawały się spod powierzchni miasta jak narkotyczny gaz.

Jack zapytał, czy mogliby odwiedzić miejsce Luperkaliów, jaskinię na Palatynie, gdzie wilczyca wykarmiła Romulusa i Remusa. Natalie obiecała, że go tam zabierze, ale powiedziała też, iż jego ojciec uważał to miejsce za zafałszowane.

- Spodziewam się, że wskazał alternatywę - cynicznie powiedział Jack.

- Nawet więcej. Miał sposób na wskazanie właściwej lokalizacji. Chodź!

Zaprowadziła go do zegara słonecznego na cichym, nagrzanym słońcem placu w pobliżu kościoła św. Sabiny. Była prawie trzecia po południu i przedmioty rzucały wyraźny cień. Na białym murku siedział mały chłopiec z piłką u stóp i przypatrywał się im wyczekująco.

- Musimy poczekać mniej więcej godzinę.

- Dlaczego?

- Poczekaj, to zobaczysz.

Zegar pozbawiony był gnomonu. Natalie rozejrzała się, znalazła porzucony patyk po lodach i wetknęła go w dziurę w zegarze. Potem w milczeniu zapaliła papierosa i przez następnych dziesięć czy dwadzieścia minut odmawiała odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Chłopiec się znudził, podniósł swoją piłkę i odszedł. Kiedy minęła godzina, kazała Jackowi podążyć za cieniem rzucanym przez patyk. Cień przekraczał krawędź zegara, wspinał się na sąsiednią ścianę i wskazywał mały, okrągły otwór w murze. - Musisz spojrzeć przez tę dziurę.

Jack podejrzewał, że to dowcip. Podeszedł jednak do otworu: zobaczył marmurowy blok, ewidentnie pochodzący z jakiegoś obrzędowego monumentu. W marmurze wycięta była łacińska inskrypcja, ale przez wąską szczelinę w murze Jack mógł dojrzeć jedynie litery TVM. Odwrócił się do Natalie i wzruszył ramionami.

- To wskazówka - powiedziała. - Ale nie mam zamiaru ci pomagać.

Jack ponownie popatrzył przez otwór. TVM. Nic mu to nie mówiło. Zaczął się zastanawiać, co mogą znaczyć te trzy litery.

- Zaczekaj tu - powiedział do Natalie.

- Nigdzie się nie wybieram.

Jack przeszedł wzdłuż ściany. Musiał przejść trzynaście metrów, zanim mógł ją obejść i przyjrzeć się bryle marmuru. Z pewnością pochodziła z czasów Imperium i miała coś wspólnego z triumfem. Ale nie znał kontekstu. Była wmurowana w surowy, ceglany mur, wybudowany prawdopodobnie półtora tysiąclecia wcześniej. Inskrypcja też była naruszona. Zachowała się tylko jej część. Przekonał się, że litery TVM stanowiły fragment słowa PROPAGATVM, w zdaniu PROPAGATVM. INSIGNIBVS. VIRTVTI. Reszty nie było. Były tam jeszcze cyfry i jakieś strzępy zdań, ale nic znaczącego.

Wrócił do Natalie. Siedziała na cokole pod zegarem słonecznym i uśmiechała się, bardzo podobna w tym uśmiechu do Sybilli. Oświetlało ją słońce.

- Nie znam łaciny - powiedział.

- Jesteś na złym tropie. Zaczynaj od początku.

Zirytowany grą, Jack raz jeszcze popatrzył na zegar słoneczny i na otwór w murze. Potem zauważył w nim inne otwory, wszystkie na tym samym poziomie, umieszczone w równych odstępach. Popatrzył przez drugi otwór. Tym razem zobaczył litery NVS.

- Załapałeś - ucieszyła się Natalie. Przez trzeci otwór ujrzał liczbę XII. Wrócił do otworu po lewej stronie pierwszego, odkrywając litery POR. - Złóż je razem.

- PORTVMNVS XII.

- Dokładnie.

- Och, dokładnie! Wybacz, ale o czym ty, do kurwy nędzy, mówisz?

- Pomyśl. Użyj swojego mózgu. Natura po coś ci go dała.

- Zaczynasz brzmieć jak ten stary drań.

- No więc, łacińska litera V brzmi jak U. Portumnus.

- Jakoś nie jestem od tego mądrzejszy.

- Portumnus był rzymskim bóstwem rzeki. Jesteś gotów pójść do jego świątyni?

- Skoro musimy.

Zeszli do Forum Boario. Natalie wsunęła mu rękę pod ramię. Pomyślał, że po raz pierwszy robi wrażenie naprawdę szczęśliwej w jego towarzystwie. Jej skóra była jaśniejsza, źrenice oczu poszerzone; biło od niej zaufanie, a światło czepiało się jej ubrania, jak błękitne futro.

Nawet jeśli to nie była miłość, coś, co rodziło się między nimi,



bardzo ją przypominało. Ale Natalie chadzała dziwnymi ścieżkami i chociaż wyczuwał, że jest niebezpieczna, zaczynał jej ufać. Poprzedniej nocy wypili karafkę wina i palili haszysz. Był ledwie przytomny, kiedy zapytała:

- Ufasz mi?

- Tak.

- Rozbierz się.

- Nie, nie chcę - zaprotestował, kiedy wyciągnęła kask Strattona.

- Ciii! - pocałowała go. - Chcę cię zabrać na skraj przepaści.

Zaufaj mi.

Kazała mu zamknąć oczy, kiedy mocowała hełm. Podłożyła mu pod głowę poduszkę i delikatnie go ułożyła, ostrzegając, by nie otwierał oczu, dopóki się nie zrelaksuje. Fioletowym szalem okryła klosz lampy i zapaliła świece; nabrała w usta łyk czerwonego wina i wsoczyła mu je między wargi; zaciągnęła się skrętem i tchnęła mu dymem w usta.

- Nie ruszaj głową i otwórz oczy.

Kiedy to zrobił, miał wrażenie, że unosi się w wodzie. Niebiesko-fioletowe światło falowało nad nim jak morze. Gdzieś po bokach błdziły miękkie, białe płomienie. Nad nim pojawiła się jej odwrócona twarz. Usłyszał jej bezcielesny głos.

- Zamknij oczy, jeśli będziesz miał dość. - Potem poczuł ciepłe, wilgotne dotknięcia na członku. Drgnął, a światła zniknęły z pola widzenia. Wyciągnął ku niej ręce, ale złapał tylko powietrze. Potem w nos uderzył go szokujący odór futra. W obawie przed utratą

przytomności zamknął oczy.

Słyszał, jak chodzi wokół niego na czworakach, czuł jej lodowaty nos na swoich zębach. Jak liźnięcie płomienia doleciał go zapach sierści. Otworzył oczy i ujrzał jej szczęki, zęby lśniące w niebieskim świetle przy jego twarzy, jak ogień wybuchające tuż przy ustach. Przez zapach haszyszu przebiły się inne wonie: drewna, śniegu, jagód, jagnięcia, padliny. Znów otworzył oczy, próbował powstrzymać halucynacje, ale był przerażony jej żółto-szarymi oczami, tak blisko jego własnych, że widział tylko rozmyte błyski. Potem poczuł, jak go dosiadła. Kiedy wytrysnął, pokój stał się jaskinią, a stłumione niebieskie światło księżycem. Zawył.

Wszystko to zdarzyło się poprzedniej nocy. Obudził się w łóżku, uwolniony od hełmu. Nie rozmawiali o tym. Teraz wiodła go przez Rzym, a on zastanawiał się, co inni obywatele Rzymu robili wieczorem w zaciszu swoich małych domów. Dotarli do dobrze znanego zabytku, kręgu korynckich kolumn otaczających cylindryczną altanę z żółtawego marmuru. - Ale to przecież świątynia Westy! - zaprotestował.

- Nadano jej błędną nazwę dlatego, że ma taki sam kształt jak świątynia Westy na Forum. Naukowcy wiedzą, że w rzeczywistości należy do Portumnusa, boga bramy rzecznej.

- Co oznacza liczba XII?

- Musisz znaleźć dwunastą kolumnę.

- W kręgu? Od której zaczniemy liczyć?

- Może od tej najbliższej rzeki?

Licząc posłusznie, Jack znalazł nadgryzioną zębem czasu dwunastą kolumnę, oszpeconą ukośną linią wykutą w żłobkowanym kamieniu. Linia, idealnie równa, na trzynastej kolumnie przechodziła w wyraźną strzałkę. Wskazywała wstecz na wzgórze, na wieżę kościoła Santa Maria in Cosmedin.

- Musisz spojrzeć na wieżę dokładnie wzdłuż strzałki, aby wiedzieć dokąd iść.

Wskazywała punkt na zachodnim łuku dzwonnicy, ale Jack był sceptyczny.

- Chcesz powiedzieć, że jacyś starożytni Rzymianie umieścili te wszystkie wskazówki, aby można było znaleźć jaskinię Luperkaliów?

- Nie bądź głupi. Zrobiono to o wiele później. Wskazówki umieściła tutaj grupa renesansowych artystów, którzy natknęli się na tajemnicę. Chcieli zatrzymać ją dla siebie. Dlatego właśnie to takie kłopotliwe.

- Renesansowych? Skąd wiesz?

- Po dacie powstania murów i budynków, na których umieszczono poprzednie wskazówki. Tak, jak ten pierwszy kamień, który widziałeś. Chcesz iść do Santa Maria czy nie?

- Jak długo to potrwa?

- To dopiero początek.

\*\*\*

Dwie godziny później Jack stał na moście Fabricio, obserwując zmierzch rozciągający się nad wartkim nurtem Tybru.

Czekał na Natalie, która spotkała kogoś na ulicy i wdała się w

rozmowę. Rzeka gnała pod mostem, kotłowała się tak samo, jak w dniu, kiedy widział - albo wydawało mu się, że widział ciało w wodzie. Obejrzał się. Natalie stała po drugiej stronie ulicy w plamie niebieskiego, neonowego światła, rozmawiała z młodym mężczyzną siedzącym na skuterze, śmiała się z czegoś i lekko opierała dłoń na jego ramieniu. Jack poczuł krótkie, ostre jak sztylet, ukłucie zazdrości. Zszedł po schodkach i stanął na brzegu rzeki, wdychając jej woń.

Trasa Natalie - a dokładniej rzecz ujmując, trasa ojca doprowadziła go do bazyliki św. Klemensa: wilczego legowiska według ojca i prawdziwego miejsca Luperkaliów. Powiązania, znaki i wskazówki były tak rozproszone, że poświęcił pół dnia, aby połączyć je w całość. Natalie odmawiała jakichkolwiek wyjaśnień i nie odzywała się, kiedy błądził, albo coś źle interpretował samodzielnie dochodząc prawdy.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, aby wyznaczyć szlak. Chyba że odtworzono go na podstawie wcześniejszych symboli, znaków i śladów, dodając jeden czy dwa od siebie. Ale po co ktoś miałby to robić?

Kościół św. Klemensa był dwunastowieczną bazyliką zbudowaną na fundamentach świątyni z czwartego wieku, która z kolei została wbudowana w pierwsze piętro antycznego pałacu. Ten zaś, warstwa po warstwie, został nadbudowywany na starożytnych, rzymskich budynkach. Stopnie wiodły w dół, do zakrystii bazyliki z czwartego wieku, gdzie na ścianach znajdowały się wyblakłe i niewyraźne freski ilustrujące życie i cuda św. Klemensa. Kamienne

schody prowadziły do słabo oświetlonych pozostałości antycznego sklepienia, głęboko poniżej poziomu piwnic współczesnego miasta. Była to świątynia Mitry.

Byli sami w krypcie. Składała się z poczekalni z kamiennymi ławami, sanktuarium z ołtarzem przedstawiającym Mitrę zabijającego byka oraz z komnaty inicjacyjnej. Otwór nad ołtarzem był zatkany.

- To jest to - westchnęła. - Te pomieszczenia zostały ukształtowane z naturalnej groty. Tim mówił, że to miejsce jest źródłem mitu.

Jack rozejrzał się wokół siebie, jego oddech osiadał na starożytnym, ledwie oświetlonym kamieniu. Natalie wprowadziła go do komnaty inicjacyjnej.

- Na ile znasz mitologię? - zapytała go. - Romulus i Remus zostali poczęci w wyniku gwałtu, którego na Rei Sylwii dopuścił się Mars. Rea była dziewiczą boginią, innymi słowy, boginią księżycową. Została zaskoczona i zgwałcona w grocie przez słonecznego boga Marsa. Tu jest magia, którą ci obiecałam: historia zaćmienia słońca. Otwór w sklepieniu jaskini wychwytuje zaćmienie i kieruje jego cień na ołtarz.

- Bliźnięta Romulus i Remus - kontynuowała - reprezentują kruchą równowagę pomiędzy dwoma tradycjami. Jednak Romulus, aspekt solarny, zatriumfował nad Remusem, aspektem lunarnym. Mitra, także bóg światła, jest wojenną inkarnacją Romulusa, dlatego właśnie rzymscy żołnierze obrali go za swojego boga i zanieśli aż do Brytanii. Zaćmienie wydarzyło się właśnie w tej grocie, a także

narodziny Romulusa i Remusa. Wilczyca pojawia się tylko podczas całkowitego zaćmienia. To właśnie jest jaskinia Luperkaliów.

Jack rozejrzył się po komnacie, jakby czegoś szukał. Cieni tamtego zaćmienia?

- To wymaga dużej wyobraźni - oświadczył.

- Wszystko, co jest warte zachodu, wymaga wyobraźni, Jack - powiedziała zapalczywie. - Wszystko.

Kilka godzin później, kiedy stał nad brzegiem Tybru i czekał na Natalie, zdał sobie sprawę, że ojciec wpakował go w coś, co było kompletną stratą czasu; po pierwsze, ściągnął go do Rzymu; po drugie, skłonił do wędrówki po rozpadających się zabytkach w poszukiwaniu wilczej grotty i dopatrywania się mitologii w załamaniu światła. Było to dość ogłupiające, ponieważ kiedy już trafił na jakiś ślad, nie mógł przestać, dopóki sam sobie nie udowodnił, że to kompletna bzdura. A rzeczy, które pokazywała mu Natalie, ustawiały się w porządku matematycznym. „Znaki” były dwuznaczne. Nie dałby głowy, że strzałka, słowo, czy wskazówka nie były tylko zwykłym zadrapaniem, śladem po pocisku albo pęknięciem na kamieniu.

Jack gapił się w czarną wodę i zastanawiał się nad sprawą Birtlesa, ta myśl bowiem wracała do niego z męczącą uporczywością. Irracjonalnie, mimo wszystkich cudów, które dzisiaj widział, drażył go robak własnej nieuczciwości.

Z punktu widzenia brytyjskiego prawa wystarczyło, aby podsądny „dotknął” dokumentów. Jeśli delikwent zobaczył doręczyciela i zdecydował się na ucieczkę, to nie liczyło się jako

skuteczne doręczenie. A Birtles wydawał się wyczuwać z daleka Jacka i innych urzędników sądowych. Jack przez trzy tygodnie próbował wręczyć mu dokumenty nakazujące trzymać się z dala od byłej żony. Ale nie zdołał go dopaść. Czekał pod jego domem o świcie i o zmierzchu; czatował w ulubionym pubie Birtlesa, Haunch of Venison; śledził go na zatłoczonym targu. Bez skutku. Pewnego razu Birtles wyskoczył nawet przez okno Haunch of Venison, przy aplauzie i ku uciesze kumpli od kieliszka. Jack nazywał go Znikającym Człowiekiem.

Wtedy Jack pomyślał po prostu: *do diabła z tym. Co za różnica?* Akt dostarczenia nie wymagał świadków. Jeśli kiedykolwiek zbliży się do Birtlesa, on i tak temu zaprzeczy. Złożył więc pisemne oświadczenie, że dokumenty zostały Birtlesowi dostarczone. Jego słowo przeciwko słowu kanalii, a sąd zawsze wierzył doręczycielowi. Można było zrobić coś takiego raz czy dwa, a nikt nie zasługiwał na to bardziej, niż taki typ jak Birtles. Papiery poszły, a Jack poleciał do Chicago zapoznać się z ostatnią wolą swego ojca.

To powinno zakończyć sprawę. A jednak wciąż wracała. Jack nie mógł uciec przed uczuciem, że pogwałcił podstawowe zasady, elementarne nakazy kodeksu. Pozwolił, aby małe, ale jasno płonące w nim światełko zgasło, a przecież to właśnie odróżniało go od ludzi pokroju Birtlesa. Zastanawiał się, czy nie jest za późno, aby wrócić do Anglii i wszystko naprawić.

Potrząsnął głową, szukając odpowiedzi w atramentowej wodzie przepływającej tuż pod stopami. Lekki wiaterek znad rzeki przyniósł

zapach mułu, zwierząt, błota i padliny, Jack spojrzał za siebie; wydawało mu się, że zobaczył cień przemykający pod mostem Fabricio. Zerknął na zegarek. Znow popatrzył na pędzącą wodę.

Już miał się odwrócić i wejść na górę omszałymi schodami, kiedy poczuł podmuch nad kołnierzykiem i ciężkie, tępe uderzenie w plecy. Kątem oka zarejestrował rozmazany ruch i otoczyło go niezwykle światło. Nie zdołał utrzymać równowagi i runął w spienione wody Tybru.



## DWUDZIESTY TRZECI

CHICAGO, 22 PAŹDZIERNIKA 1997

Billy miał problemy ze snem. Budził się w nocy, marudził, nie chciał spać. A kiedy wreszcie zasypiał, budził go najmniejszy hałas. Odległe syreny nocnego Chicago, stuknięcie zamykanych drzwi, grzechot kostek lodu w szklance z wódką trzymaną przez Louise w sąsiednim pokoju. Nic dziwnego, że nie spała, kiedy o czwartej nad ranem zadzwonił telefon. Była zaskoczona, że to rozmowa z Rzymu.

- Mówi Natalie Shearer. Spotkałyśmy się przelotnie, kiedy byłaś w Rzymie z Jackiem Chambersem.

- Oczywiście, Natalie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Zastanawiałam się, czy miałaś ostatnio jakieś wieści od Jacka.

- Ostatnio nie. Nawet kilka razy dzwoniłam do Rzymu, ale on ani razu nie odebrał.

- Zaginął ponad tydzień temu.

- Zaginął?

- Tak. Któregoś wieczoru po prostu zniknął. To nie moja sprawa dokąd poszedł, ale trzeba załatwić mnóstwo spraw. Takich, jak sprzedaż domu. Powiedział, że cały zysk trafi do mnie. Po prostu nie wiem, co robić.

- W ogóle nie miałaś z nim kontaktu?

- Louise, nie wypominaj mi tego. Nigdy nie trafiłaś na faceta,

który rzucił cię jakbyś była rozżarzoną węglą?

Louise usłyszała, jak Billy wierci się w łóżeczku i zaczyna płakać.

- Pewnie. Ale... Natalie, tu jest czwarta rano. Mogę do ciebie oddzwonić?

- Czwarta rano? Dlaczego nic nie mówiłaś? Przepraszam. Podać ci mój numer?

Louise zanotowała. Jej główną troską był teraz Billy. Trening snu zakładał, że będzie do niego regularnie zaglądać, po to, aby dać mu poczucie bezpieczeństwa, a nie nagradzać za wrzask. Była pewna, że ma koszmary. Nie wiedziała jednak, które z wydarzeń minionego dnia mogły je wywołać. W ciągu dnia był szczęśliwym, ufnym i dzielnym dzieckiem otoczonym matczyną miłością. Ale w ciemności widział demony.

Tim Chambers powiedział Louise, że postęp i cywilizacja to kara. Ludzki umysł poprzez ćwiczenia może odepchnąć ból, wywołać przyjemność i zobaczyć niewidzialne. A wszystko zaczyna się w dzieciństwie od treningu jedzenia, spania i defekacji.

Louise wiedziała, że jako ojciec nigdy nie stał w obliczu małego dziecka w ciemności, dziecka dygoczącego z przerażenia, z oczyma jak baseny pełne łez, z otwartymi ustami i wyciągniętymi rączkami. A nawet jeśli stał, pomyślała, byłby wystarczająco niewzruszony, aby studiować marsjańskie tabele czasowe i po prostu zamknąć drzwi, odcinając się od kwilącego dziecka. Złamała zasady, podniosła Billy'ego i wzięła go do swojego łóżka.

W ciągu kilku chwil zasnął w jej ramionach, a ona zaczęła myśleć o Jacku. Ostatni raz rozmawiała z nim przez telefon kiedy zadzwonił, aby się upewnić, że ojciec faktycznie nie żyje. Rozumiała jego podejrzenia; Tim Chambers był absolutnie zdolny do takiego wyczynu. Ale wiedziała, że tym razem nie była to żadna sztuczka. Była tam. Wezwała własnego lekarza. Umyła go i ubrała, tak jak robiono to za dawnych czasów. Zmusiła się, aby to zrobić, ponieważ nie była w stanie uronić nad nim jednej łzy. Posługa zamiast rozpacz.

W przeciwieństwie do Jacka, Louise nigdy nie czuła obsesyjnej potrzeby, aby zasłużyć sobie na uznanie Tima Chambersa. Okres, który jako dziecko spędziła z ojcem, pamiętała jako naznaczony surowością i nietolerancją, chociaż nigdy nie zachował się wobec niej niemiło. Dawał matce wystarczająco dużo pieniędzy na wygodne życie, jednak Dory, podobnie jak matka Jacka, nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Louise nigdy nie czuła jakiejś specjalnej więzi z ojcem, ani jako dziecko, ani jako kobieta. Szanowała go, nie mogło być inaczej; czasem go podziwiała, jak wielu ludzi. Jednak nigdy go nie *kochała*, ani jako dziewczynka, ani później. Przez wiele lat sądziła, że coś z nią jest nie tak, skoro nie potrafi kochać własnego ojca.

Kiedy dorosła, uświadomiła sobie, że ani razu nie widziała go okazującego coś, co można by uznać za emocje. Chłód, jaki czuła, był jak pełznący po plecach niezdrowy dreszcz.

Tylko raz widziała, że był wyraźnie poruszony. Miała jedenaście lat i czuła się cudownie dorosła patrząc na ojca przekonującego Dory,

by puściła ją z nim do Civic Opera House w Chicago na koncert muzyki klasycznej. Już czas, oświadczył, aby zająć się bardziej wyrafinowanymi gustami Louise, co można osiągnąć tylko poprzez muzykę. Ubrany wieczorowo ojciec nie tylko zabrał ją na koncert, ale także po raz pierwszy do Lord&Taylor, gdzie sprawił jej wieczorową suknię oraz niesamowite rękawiczki sięgające powyżej łokci. Z Lord&Taylor wyszli niosąc torby ze starymi ubraniami, które na ten wieczór przygotowała jej matka.

Koncert w towarzystwie ojca był dla niej wydarzeniem niezwykle emocjonującym. Czuła się tak, jakby zabrał ją na krawędź życia. Czuła, że wszystko od tej chwili się zmieni.

Louise ledwie pamiętała muzykę tamtego wieczoru. Bardziej od koncertu w Opera House, położonej naprzeciwko lśniących, bliźniaczych wież Giełdy Towarowej Chicago, intrygowało ją foyer pełne przybyłych na koncert ludzi, wystrojonych i paradujących w tę i z powrotem przed jego rozpoczęciem. Zanim weszli, wyjąkała coś o budynku, jego wielkości i proporcjach.

- Wybudowany przez rekina - powiedział ojciec. - Pamiętaj, że większość amerykańskiej kultury stworzyły brudne pieniądze. Niestety, większość z nich przyszła na koncert, aby ich widziano, a nie dla muzyki. Ale nie pozwolimy, by to zepsuło nam wieczór, prawda, Louise?

Louise nie miała zamiaru pozwolić, aby *cokolwiek* zepsuło ten wieczór, a już na pewno nie mało interesujące uwagi odnoszące się do Amerykanów. Sam koncert minął jak nierealny sen. Tim Chambers

raz po raz pochylał się i szeptał słowa, których nie rozumiała. - Kontrałt, który teraz słyszysz, jest lepszy od sopranu. Wiesz dlaczego? Ponieważ, w przeciwieństwie do sopranu, nie opiera się na ostatnim stopniu skali; sięga znacznie głębiej; i z tego powodu ma więcej odcieni.

Kiwnęła głową, ściągnęła wargi i przymrużyła oczy na znak, że woli bogactwo kontrałtu. Czuła, jak odkrywa się przed nią niedostępne dotąd, dorosłe aspekty życia, musiała więc sprawiać wrażenie, iż wszystko rozumie. Bała się, że w przeciwnym razie ojciec zatai przed nią o wiele więcej. Wtedy, podczas występu kontrałtu w „Pasji Świętego Mateusza” Bacha, zerknęła na ojca i zobaczyła, że ma mokre oczy. Po jego policzku płynęła łza.

- Dlaczego płaczesz? - wyszeptała przerażona. Obrócił się i powiedział:

- Żal za grzechy, Louise - potem znów poddał się muzyce.

Może o to właśnie chodziło, o żal za grzechy, który kazał jej go umyć, ubrać i przygotować dla przedsiębiorcy pogrzebowego, kiedy została wezwana tamtej nocy do łóża śmierci. Nie miała w tym żadnego doświadczenia. Kiedy pozbyła się dziewczyny, z którą wtedy był, po prostu intuicyjnie przystąpiła do działania. Umyła go i podarła prześcieradła. Owinęła jego ciało od stóp do głów. Zamknęła mu oczy i ułożyła ramiona wzdłuż ciała. To był jej sposób na pożegnanie. Akt troski w miejsce aktu miłości.

Miłość była czymś, co przyszło znacznie łatwiej w stosunku do Jacka. Była zaniepokojona, kiedy przestał się z nią kontaktować, ale w

pewnym sensie pozwoliła mu na to. Przewidywała, że sprawa z Natalie szybko się wypali, a wtedy być może mogliby się poznać jak siostra i brat. Będą mieli dosyć czasu, aby zbudować relację, jakiej brakowało w jej życiu rodzinnym. Chciała mieć brata. Chciała go także dla Billy'ego.

Była zdumiona, kiedy Natalie powiadomiła ją o jego zniknięciu. Zaniepokoiło ją też, że Natalie wydawała się bardziej zatroskana domem i perspektywą jego sprzedaży, niż zniknięciem Jacka. Rzym był świetlistym miastem, ale rzucał długi cień. Już żałowała, że nie została z Jackiem. Czuła, że był naiwny i bezbronny. Miała złe przeczucia w stosunku do Natalie Shearer.

Tuląc do siebie śpiącego synka, zasnęła myśląc o Rzymie, o zarysie łuków Trajana w ciemniejącym, fiołkowym świetle zmierzchu.

\*\*\*

Rano Louise miała inne zmartwienia. Należała do kobiet, które mogą robić wiele rzeczy jednocześnie. Dla niej było to coś jak ustawianie talerzy w stosy, a zachowanie ich w całości było kwestią osobistej dumy. Oferowała zatem swoje organizacyjne i administracyjne umiejętności różnym organizacjom społecznym i charytatywnym, najróżniejszym kampaniom i grupom politycznym.

Teraz pracowała dla Chicago Architecture Foundation. Biuro CAF znajdowało się w centrum, a Louise miała tam spotkanie o dziesiątej. Zostawiła Billy'ego z nianią i pojechała przez miasto, wciąż myśląc o Jacku i o ojcu. Przypomniła sobie, jak lata temu Jack

przyleciał z Anglii, a potem nagle wrócił do domu.

- Dlaczego Jack wyjechał? - zapytała ojca.

- Nie wyjechał, kochanie. Odesłałem go.

- Dlaczego? Nie chciałam, aby wyjeżdżał. - Była tylko dzieckiem.

- Rozczarował nas. Anglicy potrafią być tacy rozczarowujący.

- Ale ty jesteś Anglikiem!

- Dzięki za przypomnienie.

- Ale tatusiu, co on takiego zrobił?

- Powiedzmy, że nie dostał dobrej oceny i zakończmy ten temat.

Ale Louise, niepokorna jedenastolatka, dokładnie wiedziała, co zrobił Jack i dlaczego został odesłany do domu. Pewnego dnia pojawił się w domu z parą kosztownych okularów słonecznych Ray-Ban na nosie. Nie miał pojęcia, co ojciec myśli o osobach noszących ciemne okulary. Louise wiedziała także, kto mu je dał. Była to sprawka Nicka Chadbourne'a. Nie podobało mu się, że pewna dziewczyna, zachęcona zresztą przez Tima, kręciła się w pobliżu Jacka. Nick podarował więc Jackowi te modne okulary doskonale wiedząc, że od razu wypadnie z łask ojca. Intryga odniosła pożądany skutek, a Jack nigdy się nie dowiedział, co się właściwie stało. W tamtych czasach Nick Chadbourne był członkiem świty, a okulary były tylko jednym z wielu prezentów, jakimi obsypywany był Jack.

Kiedy przekroczyła Chicago River, w lusterku odbił się promień październikowego słońca. Zmrużyła oczy. Sięgnęła do schowka po ciemne okulary i nałożyła je. Kiedy dotarła do Roosevelt Road, zdjęła

je i odłożyła na bok, zirytowana. Ojciec nie żył i nigdy go nie kochała, a jednak czuła, że nadal w jakiś sposób ją kontroluje.

\*\*\*

- Popatrz tylko, Louise - powiedział ojciec, wskazując iglicę na kościelnej wieży. - Teraz mi powiedz. Czym jest architektura?

Miała wówczas trzynaście lat i dobrze wiedziała, jak łatwo jest udzielić odpowiedzi, która rozczaruje ojca. Przyzwyczajona do unikania oczywistości, po dłuższej chwili odpowiedziała:

- Muzyką w kamieniu.

Zmarszczył brwi.

- Nie bądź taka sprytna. Po prostu powiedz, co widzisz.

- Użycie przestrzeni.

- To coś więcej. To nie jest jedynie kształt budynku. Po co kościołowi wieża, jeśli nie przebija horyzontu? To dlatego w mieście nie buduje się już takich wież: nie ma horyzontu. Budynek jest zarówno tym, co widzisz, jak i tym, czego nie widzisz.

Zerknęła na niego, nie do końca rozumiejąc.

- Któregoś dnia - powiedział - zabiorę cię do Rzymu. Wtedy naprawdę zrozumiesz architekturę.

To była jedna z wielu niespełnionych obietnic. Nauczył ją jednak czerpania przyjemności z architektury. To dlatego kochała Chicago. Choć nigdy nie kochała ojca, zawsze, kiedy z nim była, czuła podniecającą ciekawość. Poczucie, że wszystko może się zdarzyć, było przyjemnie nieprzewidywalne.

Zabrał ją, aby popatrzeć na 333 West Wacker Drive znad rzeki,



gdzie gładki, długi łuk szkła otulał brzeg Chicago River, a kosmiczne Illinois Center prowokowało krzywymi lustrami i dziwnymi atriami.

Czytała trochę o tym miejscu.

- Co to znaczy postmodernistyczny?

- Zapomnij o tych niemądrych teoriach. Zastanów się, w jaki sposób osiągnięto efekt, że światło pada na twarz jak deszcz. - Zawsze najbardziej obchodziła go jakość *światła*. - Światło, Louise, światło. Wielka budowla to taka, w której technologia i filozofia spotykają się w punkcie światła. Tego właśnie szukamy.

Wiele lat później załatwił jej stanowisko w grupie Chicago Architecture Foundation, która zajmowała się przekonywaniem senatorów i lokalnych polityków do konieczności ochrony cennych budynków przed rozbiórką lub renowacją niszczącą ich charakter. Nie była zaskoczona tym, że jego obsesja przybrała na sile. Zaszczepił w niej pasję i głód wiedzy, dające mu pewność, że z oddaniem poświęci się walce z wandalizmem korporacyjnym pozbawiającym Chicago części jego architektonicznej chwały.

Znów poszedł własną drogą.

## DWUDZIESTY CZWARTY

Podczas, gdy Louise siedziała na spotkaniu w CAF martwiąc się o Jacka i o to, że Greenslade Corporation ma zamiar wyburzyć pałacyk w stylu art déco<sup>19</sup>, zadzwonił jej telefon komórkowy i dał jej trzeci powód do niepokoju. Była nim agentka nieruchomości, zajmująca się sprawą sprzedaży mieszkania na Lake Shore Drive. Jej zdenerwowanie kazało Louise przeprosić zebranych i wyjść z sali.

- Nie wygląda to dobrze - powiedziała agentka. - Miałam umówionego kupca. Kiedy go tam wczoraj zabrałam, natychmiast zdecydował się szukać dalej.

- Jest pani pewna, że ktoś tam mieszka?

- Kochanie, to było jak *Marie Celeste*. Na stole stał niedokończony posiłek i kieliszek wina. I jedno z łóżek było używane. Kiedy mój klient wyszedł, rozejrzałam się za śladami włamania. Nic. Ten ktoś miał klucz. Pani tam nie zaglądała?

- Przez ostatnich kilka tygodni, nie. A gdybym jadła tam kolację, pamiętałabym raczej.

- Może powinna pani zmienić zamki.

- Zajmę się tym.

- Kochanie, straciłyśmy kupca.

Louise krótko zakończyła rozmowę i wróciła na spotkanie.

\*\*\*

---

<sup>19</sup> Art déco - styl w sztuce i architekturze wnętrz rozpowszechniony w latach 1919-1939

Później pojechała do mieszkania, aby się rozejrzeć. Zgodnie ze słowami agentki, na stole stał talerz z niedokończonym posiłkiem i nietknięty kieliszek Chardonnay. Obok niego stała butelka i leżał widelec oklejony kawałkami tłustego makaronu. Na blacie kuchennym poniewierał się brudny garnek.

Na łóżku w jednej z nieużywanych sypialni kołdra była wymięta. Na poduszce wciąż widniało wgłębienie. Louise podniosła ją do twarzy i powąchała. W niczym jej to nie pomogło. Odłożyła poduszkę, wygładziła kołdrę i wróciła do kuchni posprzątać pozostałości po posiłku. Poza tym w mieszkaniu panował nieskazitelny porządek. Nawet zespół policyjnych fachowców miałby problem, aby coś znaleźć.

Odkąd Jack wyrzucił wszystkie osobiste rzeczy ojca, mieszkanie stało się zimne. Wciąż czuło się obecność Tima Chambersa, jakiś dziwny zapach, wyczuwalny mimo antyseptycznych i kwiatowych sprayów. Poza zapachem, to miejsce było klinicznie martwe i sterylne. Płótna na ścianach wydawały się nie na miejscu, jak prace wiszące w galerii podczas sprzątania po wystawie. Louise stała przed obrazami Chadbourne'a, serią zatytułowaną *Niewidzialność* i zdecydowała się zabrać jeden z nich. W wysprzątanej rupieciarni zalegało mnóstwo innych, którymi można go zastąpić. Wybrała bohomaz o takich samych wymiarach i powiesiła go na miejscu tego, który zdjęła.

Zanim wyszła, na blacie kuchennym zostawiła kartkę. Wiadomość była prosta: „Dlaczego do mnie nie zadzwonisz?”. Potem poszła.

\*\*\*

Po południu Louise zadzwoniła do Rzymu. Alfredo był zaskoczony i zachwycony jej telefonem. Nie mogę się doczekać następnej wizyty, gruchał. Już wybrałem restaurację, do której cię zabiorę.

- Zanim wrócę do Rzymu to trochę potrwa, Alfredo.

- W takim razie zaczekam. - Sądził, że zadzwoniła z pytaniem o postępy w kwestii sprzedaży domu, skoro Jack nie dzwonił. Sprawy posuwały się do przodu, chociaż powoli. Zgłosił się tylko jeden klient.

- To mnie nie interesuje. Chodzi o Jacka. Zaginął w Rzymie.

- Zaginął?

- Pamiętasz Natalie? Tej nocy, kiedy się spotkaliśmy?

Alfredo użył wyrażenia, które znaczyło, że spodziewał się wina, a dostał ocet.

- Niezapomniana Natalie.

- Zgadza się, niezapomniana Natalie. Powiedziała, że zniknęła. Zrobisz coś dla mnie? Mógłbyś się dowiedzieć, czy on nadal mieszka w tym domu? I zasięgnąć języka?

- Zajrzę tam dziś po drodze z pracy.

- Alfredo, jesteś kochany.

- Wiesz - powiedział Alfredo - wy, Amerykanki, jesteście kwintesencją wdzięku.

\*\*\*

Po rozmowie z Alfredo Louise odebrała Billy'ego ze żłobka. Pani Lincoln, kierowniczka, rozpromieniła się i powiedziała:

- Spał przez cały czas! - Louise, wyczerpana po nieprzespanych

nocach, opanowała niegodny impuls, aby ją spoliczkować. Billy w jej ramionach obudził się i obdarzył ją tysiącwatowym uśmiechem.

W domu, podczas gdy Billy wysypywał na dywan przyprawy z pojemników, włączyła komputer i naszkicowała plan ocalenia przed rozbiórką pałacyku art déco na North Michigan Avenue.

\*\*\*

Ojciec zapytał ją kiedyś:

- Louise, co będziesz studiować? Architekturę, czy filozofię?

Już wtedy niezawodna intuicja podszeptała jej, że musi mu się przeciwstawić, zminimalizować ryzyko, że zostanie przez niego całkowicie pochłonięta. Louise odparła, bez wahania i z przekonaniem:

- Socjologię.

Nie było dalszej dyskusji, ale tamtego dnia nauczyła się, że pokerową z pozoru twarz ojca może naznaczyć cała gama uczuć.

Skończyła University of Wisconsin podczas recesji. Wszyscy biedowali, a Tim załatwił jej pracę tymczasową w Instytucie Budynków Historycznych. W międzyczasie podejmowała się różnych zajęć, ale ten pierwszy kontakt niemal na pewno zaprowadził ją do Chicago Architecture Foundation. Jej entuzjazm i umiejętności oraz niezwykła zdolność do pracy w pomieszczeniu pełnym ludzi, zaważyły na wszystkim. Tim Chambers postawił na swoim i oto zajmowała się najlepszymi budynkami w Chicago.

Chambers nie dał jej odczuć, jak się tym napawa, ale nie mógł się powstrzymać od udzielania jej użytecznych rad.

- Idź na lunch do Tailtwisters. Senator zawsze pije za dużo podczas imprez charytatywnych i nie przepuści parze ładnych nóg.

- Tato, proszę.

- Poza tym jest fanem Packersów i lubi Steinbecka.

- Tato, ja nie pracuję w taki sposób. - Ale zapoznała się z tabelą wyników Packersów, przeczytała „Grona gniewu” Steinbecka i założyła porażająco krótką sukienkę koktajlową. Tylko jeden lunch - podczas którego senator i jego trzech koledzy biznesmeni przepychali się, aby stanąć obok niej - i pochodzący z początku XX wieku budynek dostał cudowne ułaskawienie oraz środki na renowację. Louise odkryła, że manipulowanie ludźmi jest niebezpiecznie proste. To jej uświadomiło, w jaki sposób działał jej ojciec.

Kiedy skończyła szkicować swoje plany, podniosła się znad klawiatury komputera, podeszła do okna i popatrzyła na miasto. Szybko się ściemniało, grubiały purpurowe i czarne cienie, wszędzie zapalały się drobne światełka. Ciemność rozprzestrzeniała się jak ogień, najpierw lizała narożniki budynków, łączyła cienie w plamy mroku, wykonywała zaskakujące salta. Wreszcie uwalniała się i aż do świtu brała miasto w posiadanie.

Louise wpatrywała się w powoli zapadający mrok. Patrzyła na błysk neonu, opary lamp sodowych i bladą lunę świateł miasta na niebiesko-fioletowym niebie. Myślała o Jacku. Zastawiała się, czy wszystko z nim w porządku. Miała nadzieję, że nie dołączył do polowania na nieuchwytnie Indygo.

## DWUDZIESTY PIĄTY

Pokażę ci, jak zmienić Chmurę w Dym. Aby stać się niewidzialnym, tę właściwość Dymu ostatecznie ukryjesz. Słuchaj intuicji. Przejście Chmury w Dym jest procesem żmudnym, chociaż niezbyt trudnym. Osadzanie się mgiełki na lustrze w czarnej kabinie będzie trwało, ale aby dokonać przejścia, musisz rozwinąć zdolność percepcji. A ten proces znów wymaga ćwiczenia oczu.

To niezwykle, jak wielu ludzi, zwłaszcza młodych, boi się światła. Mam wrażenie, że naprawdę boją się widzieć, jakby kontemplacja tego, co właśnie mają przed oczami - rzeczywistość - była okropną perspektywą. Dowodem na to jest moda noszenia okularów słonecznych, zwłaszcza w drugiej połowie naszego stulecia. Nie pojmuję, w jaki sposób ciemne okulary - niegdyś atrybut człowieka niewidomego lub chorego - stały się modnym dodatkiem znamionującym szyk, elegancję, a nawet seks. (Ten dziwaczny obyczaj rozprzestrzenił się po alarmie podniesionym przez medyków, związanym z rzekomo szkodliwym promieniowaniem ultrafioletowym normalnego światła słonecznego. Kiedy udowodniono bezzasadność tej teorii, producenci i sprzedawcy tanich oprawek zdążyli już wykorzystać koniunkturę. Oblęd rozprzestrzenił się szybko, a mężczyźni i kobiety, czy to w Rzymie, czy w Chicago, noszą ciemne okulary nie tylko na plaży, ale także w zamkniętych pomieszczeniach, a nawet o zmierzchu).

Nie rozwodziłbym się nad tym gdyby nie fakt, że noszenie ciemnych okularów jest zdecydowanie szkodliwe dla ludzkich oczu. Im częściej je nosisz, tym słabszy staje się wzrok. Efekt jest taki, że oczy w końcu naprawdę wymagają ochrony przed światłem.

Barwna jaskrawość codziennych doświadczeń jest największym darem Natury. Ktoś, kto świadomie niszczy ten dar, skazując się na świat szarości i sepii, jest barbarzyńcą. Dlaczego ludzie dobrowolnie niszczą bezcenny zmysł odbioru światła? Nie będę sobie zawracał tym głowy, ani tolerował takiej osoby w swoim otoczeniu nawet przez sekundę.

Silne światło nie jest szkodliwe. Ani jasne światło słoneczne, dopóki nie wpatrujemy się w nie przez cały dzień. Jednakże za pomocą praktycznej techniki Nasłoneczniania możemy nauczyć oko czerpania przyjemności z blasku słonecznego.

Na początek, aby nabrać pewności siebie, zamknij oczy, zrelaksuj się, przeprowadź ćwiczenia oddechowe opisane wcześniej, potem odwróć się w stronę słońca. Poczuj je na powiekach, ale nie wpatruj się w głąb siebie. Zauważysz wkrótce, że zalewa cię nie czerń, jak przy palmingu, ale czerwień. Dzieje się tak dlatego, że światło jest filtrowane przez krew w powiekach. Aby uniknąć naświetlenia poszczególnych części siatkówki, łagodnie, lecz zdecydowanie, obracaj głowę w prawo i w lewo. Przechylaj z boku na bok o kilka cali i podnoś ją. W ten sposób zamknięte powieki będą naświetlane jednorazowo przez pięć minut. Powtarzaj to ćwiczenie kilka razy dziennie.



Wkrótce będziesz w stanie przyjąć światło słoneczne prosto w oczy. Jedno zakrywaj dłonią i otwieraj drugie, obracaj głowę tak jak wcześniej, ale pozwól, by oko trzy razy przesunęło się po tarczy słonecznej. Potem zakryj je i powtórz ćwiczenie z drugim okiem. Nie przekraczaj minuty na jedno oko.

Teraz weź kościaną szpatułkę, odciągnij dolną powiekę i wsuń szpatułkę pod gałkę oczną, aby oczyścić ją z wydzielin i płynów. (Ta technika została opisana przez sir Isaaka Newtona w badaniach nad optyką i światłem, jednak on podchodził do niej dość ekstremalnie). Aby osiągnąć pożądany efekt, musisz mocno przycisnąć szpatułkę do kości policzkowej poniżej oka.

Twoje pole widzenia będzie pełne powidoków, odruchowo będziesz mrugał, aby się ich pozbyć. Nie rób tego. Jeśli są bardzo dokuczliwe, pomoże ci palming. Jeśli możesz, toleruj je przez chwilę. Newton opisał powidoki jako koncentryczne koła, choć ja widziałem niewyraźne parabole. Kiedy powidoki znikną w sposób naturalny, będziesz zdumiony, jak odświeżone są twoje oczy. Będziesz jeszcze bardziej zdumiony, jak odświeżone jest twoje pole widzenia. Świat porządnie przepłukany światłem słonecznym stanie się wyraźniejszy.

(Wystawienie oczu na długą serię błysków światła również daje spektakularne rezultaty. Osoby zaawansowane w technice Nasłoneczniania czasami wykorzystują efekt flesza - jak przy spawaniu - aby to zjawisko przyspieszyć. Nie zalecam tej metody, jeśli nie spędziłeś wystarczająco dużo czasu na rozwijaniu odporności na światło; w przeciwnym razie doświadczysz nieprzyjemnego

wrażenia „piasku” w oczach, wywołanego migotaniem i błyskami).

Po kilku tygodniach ćwiczeń zauważysz, że ich wyniki przenoszą się na twoje eksperymenty w czarnej kabinie. Zjawisko wizji jest efektem działania energii promieniowania. To, co robisz, rozwija zdolności odbioru, interpretacji i odrzucania form tej energii.

W konsekwencji zauważysz gęstnienie Chmury i mgiełki zbierającej się na lustrze. Powtarzaj eksperymenty z Nasłonecznianiem, zastępując światło słoneczne światłem ultrafioletowym, a powidoki zmieniają konsystencję - będą przypominać śluz; kiedy zaczną znikać zauważysz, że przybierają formę spiralną i mieszają się z właściwością Chmury, potem bardzo wolno zaczną się obracać.

Tempo tego obrotu jest niezwykle powolne; ale nie da się go przeoczyć. Kiedy powidok zmniejsza się, Chmura z konieczności grubieje. Gratulacje. Dotarłeś właśnie do optycznej i mentalnej mocy założeń Dymu.

## DWUDZIESTY SZÓSTY

Telefon rozdzwonił się w środku nocy. Louise była zaspana i półprzytomna po tym, jak ledwie pół godziny temu udało jej się ukołysać Billy'ego. Tym razem to raczej nie był telefon z Rzymu; czy też Louise tak sądziła, wychodząc z założenia, że nikomu nie chciałoby się dzwonić stamtąd tylko dla dowcipu. Nikt się nie odezwał, nie było słycać oddechu, ale Louise wiedziała, że po drugiej stronie ktoś jest.

- Możesz ze mną rozmawiać - powiedziała po chwili. - Zawsze możesz ze mną porozmawiać.

Nie było żadnej odpowiedzi, ale Louise i tak czekała.

- Wciąż tutaj jestem - powiedziała, ale wkrótce usłyszała trzask przerwane połączenia. Odłożyła słuchawkę i położyła się spać.

Kilka godzin później znów obudził ją telefon. Tym razem automatyczna sekretarka włączyła się zanim sięgnęła po słuchawkę i usłyszała, że to Alfredo dzwoni z Rzymu.

- Louise! Dzwoniłaś. Czy to dobry moment? Tutaj jest środek dnia.

Zerknęła na zegarek. Kleiły jej się wargi.

- W porządku. Dzięki za telefon - dowiedziałeś się czegoś?

- Wczoraj wieczorem wpadłem do domu twojego ojca, tak jak obiecałem. Wiesz jak trudno znaleźć tam miejsce do parkowania, więc zostawiłem samochód na sąsiedniej ulicy i poszedłem piechotą. Kiedy

dotarłem do domu, drzwi były otwarte. Louise, tam grała muzyka operowa, bardzo głośno. Wszedłem do środka, poczułem zapach jedzenia i pomyślałem, że to twój brat musiał wrócić. Ale potem usłyszałem głosy dochodzące z kuchni. Głosy kłócących się ludzi.

- Z holu mogłem zajrzeć do kuchni. I proszę, oto co zobaczyłem - naszą przyjaciółkę Natalie ostro kłóącą się z dwoma młodymi mężczyznami, jakimiś oberwańcami, mówię ci Louise, brudnymi hipisami, czy kimś takim. Znasz ten typ? Ale nie słyszałem co mówią, bo muzyka była zbyt głośna. Puccini na cały regulator. Potem Natalie rzuciła w jednego z nich garnkiem pełnym gorącego sosu, jak sądzę. Chłopak chciał chyba zabić Natalie, ale ten drugi go odciągnął. Padło jeszcze parę słów i obaj wyszli.

- A teraz słuchaj, to było niesamowite. Przeszli tuż obok mnie, ale mnie nie widzieli. Byłem wprawdzie trochę schowany, w półcieniu, oni szli prosto na mnie, ale mnie nie widzieli. Natalie w kuchni trzaskała garnkami, krzyczała i - Louise, to ordynarna baba, naprawdę ordynarna - wreszcie wyszła. Wszystko odbyło się dokładnie tak samo, wyszła prosto na mnie, ale też mnie nie widziała. Potem usłyszałem jej kroki na schodach. Ale zatrzymała się w połowie. Jesteś tam jeszcze?

- Jestem - odpowiedziała Louise.

- Powoli, bardzo powoli, weszła z powrotem, potem cofnęła się korytarzem i spojrzała na mnie. „Co ty tu, do kurwy nędzy, robisz?” mówi do mnie. Cóż, odpowiedziałem jej po włosku, ponieważ, wybacz, jeśli mam na kogoś wrzeszczeć, to wolę to robić we własnym

języku. Więc mówię: „Mógłbym zadać ci to samo pytanie”. „To jest mój dom”, mówi. „Nie, nie jest, a ja właśnie próbuję go sprzedać”. No i po półgodzinie tej przepychanki wreszcie wyszła, ale zanim to zrobiła, zapytałem o Jacka.

- Powiedziała coś? - Louise próbowała przebić się przez podekscytowany słowotok Alfredo.

- Natalie się zamknęła, kiedy zapytałem o Jacka. Zamilkła. Popatrzyła na mnie, strasznie dziwnie. „Dlaczego pytasz mnie o Jacka?”, spytała. „Cóż, jesteś jego kochanką, *si?*”. „Pierdol się”, odpowiedziała. „Sama się pierdol”, powiedziałem. Wtedy się uśmiechnęła, bardzo paskudnie, i odparła „Jack odszedł”. „Odszedł? Dokąd?”. A potem znów „Wyniesiesz się z mojego domu?” „Madame, to nie jest twój dom i wzywam *carabinieri*, żeby się tobą zajęli”. No i to tyle, Louise, ta kobieta, brudna, rozwrzeszczana i ordynarna jak sycylijska dziwka, przepchnęła się obok mnie, wskoczyła na skuter, brrrm brrrm, i tyle ją widziałem. Zostałem na schodach w chmurze spalin. Co mam więcej powiedzieć?

Louise westchnęła do słuchawki.

- Istotnie, co możesz powiedzieć?

- Co za zdzira, nie?

- Raczej.

- Kurczę, Louise, muszę porozmawiać z Jackiem i zapytać, co mam robić. Ci dziwni ludzie nie powinni przebywać w tym domu. Wezwać policję?

- Alfredo, nie wiem, co ci odpowiedzieć. Powinieneś zrobić to,

co robisz normalnie w takich okolicznościach. Ale wciąż nie wiemy, co z Jackiem.

- Zgadza się, nie wiemy. - Zapadła międzynarodowa cisza, aż Alfredo ożywił się i zapytał: - Powiedz, kiedy znów przyjedziesz do Rzymu, to dokąd chciałabyś pójść?

\*\*\*

- A co mnie to obchodzi, że zaginął w Rzymie? Co do diabła mam z nim wspólnego? A co, do diabła, on ma wspólnego z tobą? Skup się raczej na sobie - powiedziała Dory, szturchając Billy'ego palcem.

Ukroiła kilka kawałków szarlotki według przepisu babci, położyła na talerzykach i podsunęła je najpierw Louise, a potem Billy'emu. Louise wzięła swoją porcję, ale nie zdołała się nie skrzywić. Była to wyjątkowo dziwaczna szarlotka, zapadnięta w środku jak bajoro duszonych owoców, z brzegiem z jednej strony wybrzuszonym, a przypalonym z drugiej. Billy ugryzł kawałek i natychmiast wypluł, wyciągając swój mały język.

- Zjadł coś po drodze, w samochodzie - skłamała Louise. - Nie jest głodny.

- Może po prostu nie smakują mu moje ciasta. - Dory pochyliła się lekko z niebezpiecznym błyskiem w oku.

- Nieee. Po prostu nie jest głodny. - Wgryzła się we własny kawałek, a od cierpkiego smaku oczy zaszczy jej łzami.

Dory odchyliła się.

- Louise, bardzo słabo kłamiesz. Bardzo słabo.

- Naprawdę? - Louise odłożyła talerzyk. - W porządku. Powiem

to jasno, mam. Twoje ciasta są obrzydliwe. W gruncie rzeczy wszystko, co gotujesz, jest zdumiewająco paskudne. Przez ostatnich dwadzieścia pięć lat chciałam cię zapytać jak to się dzieje, że twoje potrawy są niejadalne?

Dory podrapała się po głowie, lekko urażona.

- Nie zawsze tak było. Ale twój ojciec był strasznie wybredny. I kiedy sprawy naprawdę się popsuły, myślałam o tym, aby go otruć. Nie, żebym kiedykolwiek próbowała to zrobić. Jedyne *myślałam* o truciźnie w jedzeniu, rozumiesz? Wmyślałam ją w jedzenie. Przy każdym posiłku. Nawet długo po tym, jak odszedł, nie mogłam ugotować nawet jajka, nie myśląc o nim ze złością. Może to dlatego.

- Mamo, przecież kiedyś musiałaś go kochać. Musiał mieć jakieś zalety, coś *cię* w nim pociągało.

- Och, miał je. Tyle że zapomniałam, jakie.

- Spędziliście miesiąc miodowy w Rzymie. Pamiętasz coś jeszcze?

Dory spojrzała na Billy'ego, który ugniatał swoje ciasto w kleistą kulkę.

- Zaczął lepiej sypiać?

- Nie. Przysypia w ciągu dnia, bo jest zmęczony. Jakby z tym walczył. Jakby w nocy bał się zasnąć.

- Przypomina bardziej tego faceta, niż ciebie. - Louise kilka razy zaciągnęła ojca Billy'ego do Madison.

Louise badała twarz Billy'ego w poszukiwaniu śladu tamtych rysów.

- Tak. Zgadza się. Wiesz, w końcu i tak mi powiesz, co ten człowiek ci zrobił.

Dory westchnęła.

- To raczej kwestia tego, co *mógł* zrobić. Zrozumiałam, na co się zanosz i musiałam z tego wyrwać i ciebie, i siebie. Gdyby nie to, że stawiał się w sądzie i płacił co miesiąc, nie zobaczyłby cię już nigdy.

- Gdyby kiedykolwiek podniósł na mnie rękę, byłoby mi łatwiej powiedzieć ci o tym. Ale on nigdy nie był brutalny. Wyczuwałam, że brutalność w nim jest, ale nigdy nie działał w taki sposób. Wiesz, że nie pozwalał mi samodzielnie wybierać sobie ubrań? Musiał wszystko kontrolować. Któregoś dnia robiliśmy zakupy w centrum Chicago. Był piękny, słoneczny dzień. Kupiłam sobie naprawdę ładne, drogie okulary słoneczne, a kiedy przechodziliśmy przez most, zdarł mi je z twarzy i cisnął do rzeki. Byliśmy małżeństwem od sześciu miesięcy, a jakoś nie było słyhać chórów anielskich. Robił różne rzeczy tylko po to, abym się na niego wściekła. A potem bawił się mną.

- To się ciągnęło o wiele za długo. Próbował mnie zmusić do wielu rzeczy, nie chcę o tym mówić. Któregoś dnia pojawił się pewien mężczyzna, jeden z tych, z którymi piliśmy w starym Rendez-Vous. Dobierał się do mnie, a twój ojciec chciał zabrać go do domu, abym zabawiła się z nim w sypialni, a on patrzyłby ukryty w szafie. Taki właśnie był. To była część jakiegoś większego planu.

- Ale naprawdę się wściekłam, kiedy złapałam go jak próbuje swoich sztuczek na tobie. Lubił manipulować ludźmi i kontrolować wszystkich wokół siebie. Jakby prowadził jakieś badania nad



manipulacją i kontrolowaniem. Kiedy twoje zachowanie zaczęło się zmieniać, nie mogłam zrozumieć dlaczego. Byłaś w takim wieku jak teraz Billy, zaczynałaś mówić. Wróciłam do domu trochę wcześniej niż zazwyczaj, do naszego ówczesnego mieszkania na Dearborn Street. Bawił się z tobą milutko, piłeczką, ciastkami i takimi tam. Zaczęłam się skradać, aby z zaskoczenia uściskać was oboje, rozumiesz, ale nagle się zatrzymałam, bo zauważyłam coś dziwnego. Prawą rączką sięgnęłaś po jasnoniebieską kulkę, a on uderzył cię w dłoń, bardzo mocno. Rozplakałaś się. Wtedy położył na kulce twoją lewą rączkę, uściskał cię i dał ciasteczko. Potem powiedział „Louise, weź kulkę!”. Znow sięgnęłaś po nią prawą ręką, on cię uderzył i wszystko się powtórzyło. Patrzyłam na to z otwartymi ustami. Ten gnojek próbował ci wpoić leworęczność! Louise, on na tobie eksperymentował! Wypróbowywał te barbarzyńskie metody, które niegdyś stosowano, aby zmusić leworęczne dzieci do używania prawych rąk; ale on to odwracał. Ćwiczył na tobie, z ciekawości.

- Ależ podskoczył, kiedy za nim stanęłam. Wszystkiemu zaprzeczał, rzecz jasna. Próbował mi wmówić, że jestem stuknięta. Ale znałam go i nagle doznałam olśnienia. Mnóstwo rzeczy wskoczyło na swoje miejsce. Jakieś niby zabawne zdarzenia z naszymi znajomymi, jego dziwaczny krąg ludzi sztuki, wszystkie te ekscentryczne rzeczy. Poczułam, że muszę cię z tego wyrwać i zaczęłam procedury prawne. Był wściekły, kiedy się dowiedział. Louise, to tylko połowa, a i to jest aż nadto.

- Mamo, jestem dużą dziewczynką. Zniosę to.

- Ale ja nie.

W ciszy, jaka zapadła, Louise spostrzegła, że oczy Dory lekko się wywracają. Ktoś obcy nie zauważyłby tego, ale Louise wiedziała. Dory była epileptyczką, a jej stan stabilizowały leki. Louise rozpoznała zwiastuny, lekkie drżenie wywołane tabletkami, znikające niemal w tej samej chwili, w której się pojawiło.

Dory wytyczyła linię, a Louise wiedziała, że nie powinna jej przekraczać. Matka już i tak powiedziała o Timothy Chambersie więcej, niż kiedykolwiek.

- Chyba miałam nadzieję na jakąś wskazówkę - powiedziała - sugerującą, w co mógł się wpakować Jack.

- Nie mogę ci pomóc. W Rzymie spędziliśmy nasz miesiąc miodowy, a ja prawie nic z tego nie pamiętam.

Louise niechętnie uniosła do ust widelczyk z kawałkiem szarlotki i wzdrygnęła się.

- Naprawdę, mammo, jak ty to robisz, że smakuje tak ohydnie?

## DWUDZIESTY SIÓDMY

Dwa dni po wizycie w Madison, u Dory, Louise znów była w Chicago. Jechała w dół Jackson Street po zjedzeniu lunchu z przyjacielem, minęła Chicago Board of Trade, pochodzący z 1930 roku drapacz chmur, w którym mieściła się giełda. Kilku inwestorów indywidualnych, ubranych w szykowne cytrynowożółte marynarki, w pośpiechu wychodziło z budynku. Nie mogła patrzeć na te kolory, a nawet minąć wielkiej budowli, nie wspominając jednego z kazań ojca.

- Czy matka mówiła ci już o seksie? - tak właśnie odezwał się do niej Chambers któregoś popołudnia, zanim odstawił ją do Madison. Louise miała wtedy trzynaście lat.

- Pewnie - z oporami odparła Louise. W rzeczywistości dostała od Dory kilka wskazówek, do tego parę dziwacznych historii od przyjaciół, ale i tak te ograniczone informacje to było znacznie więcej, niż chciałyby usłyszeć w tej kwestii od ojca.

- Wszystko?

- Wszystko - musiała za wszelką cenę zachować spokój i sprawiać wrażenie, że kolejna rozmowa o tym samym jest zbyt nudna.

- A co konkretnie?

Louise machnęła lekceważąco trzynastoletnią dłonią.

- Cunnilingus. Fellatio. Wszystko.

Chambers uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że kwestie techniki masz opanowane. Ale co z

niewidzialnym?

- Hm?

- Chcesz powiedzieć, że matka nie powiedziała ci o rzeczy niewidzialnej?

- Hm?

- Wygląda na to, że to ja będę musiał ci o tym powiedzieć. Postawię gdzieś samochód. Musimy iść do Board of Trade.

Louise uznała, że ojciec o czymś zapomniał i muszą wpaść do Board of Trade, zanim zacznie jej mówić żenujące rzeczy o niewidzialnym seksie. Byli już wcześniej w tym czterdziestopięciopiętrowym drapaczu chmur, gdzie trypoziomowy hol stanowił ewangelię art déco doniosłą niczym Święta Trójca. Pokazano jej wówczas także piętro handlowe, chociaż nie mogła zrozumieć, w jaki sposób ten harmider, wrzaski i darcie papierów może funkcjonować jako handel. Jednak tego dnia Chambers zabrał ją prosto na galerię, z której można było obserwować inwestorów.

Chambers miał dużo cierpliwości, a interpretowanie dla niej świata uważał za swój obowiązek. Nic nie umykało jego uwadze, i nic, jak często jej powtarzał, nie było tym, czym się z pozoru wydawało. - Pamiętasz, jak tłumaczyłem ci zasady krykieta?

Przytaknęła. Istotnie pamiętała. Podejrzewała wręcz, że jest jedyną nastolatką w Stanach Zjednoczonych, która rozumie arkana angielskiego krykieta. Prawdopodobnie była też jedyną nastolatką, i w Stanach Zjednoczonych, i w hrabstwach angielskich, która rozumiała, że ta gra nie była właściwie sportem, ale próbką prawdziwego życia.

A życie niespodziewanie rzucało niebezpieczne kłody pod nogi i prostym kijem należało bronić swojego honoru, godności i integralności (stąd właśnie trzy paliki w bramce, wyjaśnił Chambers). Jeśli na moment odwrócisz wzrok, albo nie będziesz dość uważna, przegrasz.

- To, co tutaj widzisz, jest podobne do krykieta - powiedział - z wyłączeniem honoru, integralności i godności. Zwłaszcza godności.

- Ale to nie jest gra! - zaprotestowała.

- Ależ jest. Wyglądają jak wilki, prawda? Dla ciebie wygląda to jak chaos, w istocie zaś jest ściśle kontrolowane. To się nazywa młyn. Ci ludzie handlują opcjami kontraktów terminowych. Powiedzmy, że sprzedają ziarno. Oznacza to, że sprzedają je teraz, chociaż jego cena w przyszłości może się zmienić. Jeśli stoją w określonym miejscu - popatrz - to znaczy, że ziarno ma zostać dostarczone w określonym miesiącu. Między teraz a potem może spaść za dużo, albo za mało deszczu. Tego nie wie nikt. Aż nadejdzie miesiąc, w którym trzeba dostarczyć zboże. Do tego czasu jego wartość może wzrosnąć lub spaść.

- Ten facet z dłonią otwartą przed twarzą sprzedaje; pięść oznacza kupno. To, co wykrzykują do siebie, to ilość i cena, *teraz*. Niektórzy z nich podejmą grę. Inni są przerażeni ryzykiem które już podjęli i próbują je przerzucić na innych ludzi.

Po wyjaśnieniu jeszcze kilku zwyczajów, panujących na parkiecie, odwrócił się do Louise i powiedział:

- I w tym rzecz. Tak samo jest z seksem. - Potem popatrzył na

zegarek. - Chodź. Musimy wracać do Madison.

Trzygodzinna jazda wydawała się dłuższa, niż zazwyczaj i przeważnie upłynęła w ciszy. Louise wiedziała z doświadczenia, że jeżeli nie będzie o nic pytać, nie padnie ani jedno słowo. Ale płonęła z ciekawości i kiedy zjechali z autostrady, wypaliła:

- Nie rozumiem! Jak jest z tym seksem?

Chambersa zaskoczył ten wybuch. Jego umysł najwyraźniej błędził gdzieś daleko.

- O co chodzi z tym seksem?

- Giełda! Parkiet!

- Ja tak powiedziałem? A, racja. Widziałaś tych wszystkich mężczyzn i kobiety tupiących, wrzeszczących i pokazujących sobie różne znaki? Teraz wyobraź sobie grupę ludzi jedzących razem kolację, albo bawiących się na przyjęciu. W środku krzyczą i przekazują sobie znaki jak ci ludzie na parkiecie, ale zasady są takie, że tego nie pokazują. Muszą zachować całkowity spokój. Głęboko w środku panuje chaos, ale jest niewidzialny. Musisz go wypatrywać w drobnych sygnałach. W uniesionych brwiach, półuśmiechu, drżących powiekach, w lekkim dreszczu. Pozornie wszyscy tylko tańczą na parkiecie, a w istocie sprzedają siebie, rozumiesz mnie? We wnętrzu każdego z nich szaleje burza.

Louise spojrzała na ojca ze zgrozą i fascynacją, chociaż kompletnie niczego nie zrozumiała. Potem pochylił się nad nią i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Uciekaj - powiedział. - Twoja matka nie lubi, kiedy się

spóźniasz.

\*\*\*

Wspomnienia spowodowały, że Louise zawróciła i pojechała do mieszkania na Lake Shore Drive. Tym razem nie było tam niedokończonego posiłku ani rozgrzebanego łóżka; wiedziała jednak, że ktoś tam był, bo zniknął jej liścik.

Zamiast jechać do domu uległa staremu impulsowi i ruszyła na południowy zachód, w stronę etnicznego konglomeratu dzielnicy Little Village i dalej. Przez dwie godziny jechała powoli, aż do granic miasta. Wróciła objazdem wokół Douglas Park.

Nic. Poczowała wyczerpanie i brak nadziei. A jednak będzie kontynuować poszukiwania, jak dotąd.

Louise zatrzymała się w pobliżu Douglas Park, zablokowała drzwi samochodu i zaczęła szlochać. W czasie, kiedy płakała, na miasto opadł zmierzch, jak fioletowa sadza. Nie czuła się dobrze w tej okolicy, więc pojechała z powrotem do Hyde Park, odebrała Billy'ego i wróciła do domu.

Tego wieczoru zadzwoniła Dory.

- Pytałaś, czy pamiętam coś z Rzymu. Zastanawiałam się nad tym. Miewał fiksacje na tle niektórych budynków i miejsc, wiesz? Panteon, przede wszystkim. Ponieważ w dachu jest dziura, chodził tam bez przerwy i gapił się przez nią na zmieniające się niebo. Mówił, że można zniknąć w Panteonie. Stać się niewidzialnym. Po jakimś czasie przestałam słuchać, tak jak ty. To samo mówił o jakimś budynku w Chicago. Dlatego zaczęłam myśleć o zniknięciu tego

całego Jacka. Rany, nieważne, nie ma o czym mówić.

- Nieprawda, mamó.

- Więc ten włóczęga jeszcze się nie znalazł?

- Nie, mamó.

- Cóż, pies z nim tańcował. Jak się miewa mój wnuk?



## DWUDZIESTY ÓSMY

Moocher's na Grand Avenue było drugim ulubionym miejscem Rooneya. Tam też poświęcał się studiowaniu pięknych ciał nagich dziewczyn. Wielu ludzi mogłoby uznać, że lokalizacja Moocher's w okolicach South Side jest nieco odstrasżająca. Ale Rooney nie przypominał innych ludzi. Nie garbił się jak wielu Amerykanów, jego waga upodabniała go do byka i jak on parł do przodu sprawiając wrażenie agresywnej pewności siebie. Poza tym był prawdziwym koneserem „egzotycznych” chicagowskich klubów tanecznych. I jak większość koneserów wiedział, że niczego rzadkiego, niezwykłego, ani tajemniczego nie znajdzie się we własnym domu.

Jako klient był wyrobiony i wymagający. W przeciwieństwie do większości bywalców takich przybytków, miał krytyczne oko i najczęściej wywarkiwał swoje uwagi nad butelką piwa. Jeżeli uważał, że za swoje pieniądze dostaje dobrą jakość, zadowolenie wyrażał ciszą.

Jeżeli zadowolony nie był, znany był z tego, że ryczał: „Co to ma niby być! Widzieliście kiedyś obrazy Degasa? Po to płacę dziesięć pieprzonych dolców za butelkę piwa?”. W cichym pomieszczeniu, w którym przebywało często tylko dwóch czy trzech innych klientów, taka krytyka mogła nieco rozpraszać osobę na scenie. Osoba zresztą okazywała się czasem wystarczająco głupia, aby wyzywać Rooneya na pojedynek słowny, w którym mógł być tylko jeden zwycięzca.

Rooney rozpaczał boleśnie nad upadkiem sztuki striptizu. Wspominał tancerki, które potrafiły wzniecić pożar chuci i doprowadzić niemal do śmierci z żądy, samą tylko sztuką powolnego, wyuzdanego zdejmowania niesamowitej bielizny. Teraz sztukę zastąpiła dosłowność wszechobecnej golizny od początku do końca występu. Rooney nie znosił wulgarnego tańca, stringów i sztucznej nieśmiałości, kiedy po zgaszeniu świateł tancerka ucieka ze sceny, zanim się całkiem rozbierze.

- Panienska ma się pokazać! - wstawał i darł się. - Na nic nie liczcie, jeśli nie *pokaże!*

Moocher's pod tym względem nigdy go nie rozczarował. Jego właścicielem był Sycylijczyk, Gianfranco, porządnie prowadził klub, a Rooney nigdy nie musiał się awanturować. Zwyczajowo zawsze był tam serdecznie witany. On i Gianfranco, także koneser nagiego, kobiecego ciała, siadali tyłem do wyginającej się akurat na scenie dziewczyny, wymieniali informacje o tancerkach, które ostatnio widzieli, jak dwóch zramolałych filatelistów ekscytujących się opisami znaków wodnych na pierwszym znaczku pocztowym świata. Obaj jednak z radością daliby sobie wypalić to i owo za możliwość oglądania nagich kobiet.

Weźmy dziewczynę, która w tej chwili tańczy w Moocher's. Wygląda jak portorykańska bogini wody - skąd Gianfranco ją wytrzasnął? Niewątpliwie ma talent. Jaka zachwycająca, delikatna budowa ciała! Co za struktura kości! Cóż, twarz może nie jest warta wojny, żadna z niej Helena Trojańska, ale wygląda jak migocząca

rzeka.

Klasyczna sylwetka, właściwa postawa, kocia elegancja, proporcje jak z rozkładówki: jednak żaden z tych przymiotów szczególnie Rooneya nie interesował. Przybył uzbrojony we własny system klasyfikacji, nie do końca określoną listę cech, które tworzyły znakomitą striptizerkę. System ów punktował właściwy odcień, światło i wagę.

Odcień odnosił się do kondycji skóry, a Rooney wierzył głęboko w zasadę, że to, co na zewnątrz, jest wszystkim, czego chce. Nie zgadzał się z twierdzeniem, że kondycja zewnętrzna jest widzialną oznaką kondycji wewnętrznej, i miał głęboko w pogardzie to, czy tańcząca dziewczyna ma mózg i osobowość oraz czy interesuje się zagadnieniem pokoju na świecie. Zmarszczki na skórze, obwisłe ciało, czy niezdrowy koloryt go rozczarowywały; pieprzyki, znamiona, widoczne żyły czy włosy pod pachami odbierał jako ekscytujące wzbogacenie. Dobry odcień skóry to taki, jaki pojawia się na jesiennych winogronach albo śliwkach. Skóra dziewczyny na scenie promieniowała delikatnym blaskiem, nie zdołały tego zepsuć nawet kolorowe reflektory w Moocher's.

Światło opadało z niej kaskadami, jak z fluorescencyjnej fontanny. Spływało z jej ramion. Pieniło się niżej, w zagłębieniu kręgosłupa, migotało na półkulach pośladków, mieniło się między nimi, zalewało jej uda. Gra światła i cienia na jej wypukłościach była pobudzająca jak ozon.

Jednak bez właściwej wagi, te czynniki znaczyły zgoła niewiele.

Jeżeli dziewczyna była zbyt lekka, nie potrafiła uziemić swej erotycznej mocy; jeśli zaś była zbyt ciężka, nie mogła nią zabłysnąć, nie nadążała. Cóż, Rooney czasem żałował, że niektóre tak zwane tancerki erotyczne nie wybrały innej pracy. Z właściwą wagą dziewczyna musi się urodzić.

- Popatrz tylko - mamrotał Rooney do siebie, czy do kogokolwiek, kto chciał go słuchać - żaden pieprzony rzeźbiarz nie wyrzeźbiłby takiej nóżki.

Istniała nawet czwarta cecha jakości, którą bardzo cenił, ale mówiąc o niej nie czuł się zbyt pewnie. Myślał o tym jak o rodzaju wewnętrznego promieniowania, magnetyzmu, ale to wprowadzało go w zakłopotanie i nie był pewien, czy nie ma to związku z jego zmysłem powonienia. Tancerka musiała tym *emanować*, ale właściwości tego czegoś były tajemnicze. Być może to tylko feromony, a może jakiś zwyczajny zapach, nie miał pojęcia. Ale dziewczyna nie mogła tego udawać. Musiała lubić siebie. Musiała chcieć tutaj być.

Niestety, Portorykanka występująca na scenie w Moocher's, choć w pierwszych trzech punktach zdobyła najwyższe noty, tego czegoś nie miała. Szkoda, smutno dumął Rooney, że niektóre dziewczęta zatraciły instynkt. Była tam, ale myślała o tym, co zje na kolację, albo może do jakiego warsztatu odstawi samochód.

Rooney pociągnął łyk piwa. Wyobrażał sobie, że któregoś dnia ujrzy i natychmiast rozpozna idealną tancerkę erotyczną. Wszystkie cztery cechy połączą się jak planety, a on będzie *wiedział*, niepotrzebne stringi zostaną zdjęte, a potem nastąpi potężny wybuch

magnetycznego światła ukazującego kolory - złoty, srebrny, może nawet jakiś kolor, którego nigdy dotąd nie widział. Był gotów przedstawić temu niezwykłemu stworzeniu wszystkie swoje zalety - a były one zaskakujące i warte namysłu - w ucziwej propozycji małżeństwa, której nie będzie w stanie się oprzeć, nawet w przypadku takiego grubasa jak on.

Jednak zanim dziewczyna na scenie zaczęła się wyginać, prężyć i zdejmować stringi, wiedział, że to nie ta. W tej samej chwili Rooney wyczuł cień u swojego boku i natychmiast stracił zainteresowanie tym, co działo się na scenie. Odwrócił się i uniósł brwi na widok znajomej twarzy mężczyzny stojącego przy nim.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę - powiedział tamten.

- Hej! - odparł Rooney. - Patrzcie, kogo tu przywiało. Siadaj. Napij się piwa. Popatrz na dziewczyny.

## DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ciemność jest koncepcją najczęściej pojmowaną w niewłaściwy sposób. W tej chwili potrafisz już produkować to, co nazwałem Dymem. Nie da się go porównać z niczym, do czego dojdiesz. Aby Dym zadziałał, musisz się zagłębić w alchemiczne właściwości ciemności.

Nie jesteś głupi, ani krótkowzroczny, nie pójdziesz więc na skróty przy opisanych tu ćwiczeniach. Od tego momentu zabawa zaczyna być niebezpieczna. Ci, którzy przeszli tę drogę przed tobą, zostawili mantrę, niemal pieśń, wskazując niebezpieczeństwo czyhające na każdego, kto podjąłby ryzyko zboczenia ze ścieżki.

*Ciemność jest wilkiem.*

*Wilk jest Indygo.*

*Indygo zmierza do Pustki.*

Przyjmij, że moje instrukcje to lśniąca ścieżynka, wąski strumień światła, który ma cię bezpiecznie przeprowadzić przez mrok i nad otchłanią. Nie zbaczaj ani w prawo, ani w lewo. Każdy, kto będzie próbował sprowadzić cię z tej ścieżki, może być wrogiem.

Niemal przez cały czas widzisz niewyraźny ruch na obrzeżach pola widzenia. Myślisz, że ktoś cię śledzi, wielokrotnie odwracasz się i zerkasz przez ramię, aby dowiedzieć się, skąd to uczucie.

W nozdrza wpada ci niepokojący, ulotny zapach, drażniący, znajomy, ale jednocześnie nowy; pewnie mi nie uwierzysz, ale w istocie jest to zapach twoich własnych gruczołów. Ich aktywność zmieniła się nieznacznie pod wpływem zaleconych ćwiczeń. Przyznaję, że zapach istotnie wydaje się docierać z zewnętrznego źródła. Twoje uszy także zaczną wychwytywać jakiś nieokreślony dźwięk, jakby dyszący oddech, może odgłos stąpających łap, albo niski, gardłowy warkot? Zjawisko to jest wciąż niezdefiniowane. Ponieważ brakuje nam odpowiedniego słowa, określe je mianem Wilka.

Zapewniam cię, że on nie ma zamiaru atakować. To tylko figura retoryczna. W tej chwili Wilka nie można zobaczyć, ale od tego momentu zawsze będzie obecny. Zanim uda ci się go dostrzec, musisz być przygotowany na kolor Indygo, bo to jest prawdziwy kolor Wilka; a zanim będziesz w stanie zobaczyć kolor Indygo, musisz wiedzieć jak manipulować ciemnością.

Ciemność oraz to wszystko, co jej towarzyszy, czyli cienie, osłony, zarys sylwetki, są sprzymierzeńcami, których potrzebujesz. Zmrok, jak się przekonasz, jest szczeliną pomiędzy dwoma światami. Tak samo jest z szarym światłem przedświt. Jednakże narzędzia ciemności mogą ci się wydać obce i możesz je opacznie zrozumieć.

Zastanów się nad cieniem. Większość ludzi rysując postać ludzką, dom, czy jakikolwiek inny obiekt, a następnie ich cień, zanurzy pędzel w atramencie lub czarnej farbie. Chociaż w życiu widzieli tysiące cieni, zachowują się, jakby dotąd nie używali oczu.

Wizualizacja cienia jest błędna. Nie patrzą jak artyści, nie wiedzą, że odcień to kolor podstawowy rozcieńczony bielą, a cień to kolor z dodatkiem czerni. To właśnie jest znaczenie słowa „odcień”. Ciemność jest wszechświatem dalekim od prawdziwej czerni. Ciesz się, że nigdy jej nie doświadczyłeś.

Ciemność ma mnóstwo odcieni. Dlatego można widzieć w mroku. To następny etap twojego optycznego treningu, potem całkiem przyzwyczaję cię do ciemności.

W tym celu musisz przyswoić sobie pojęcie Nieświadomego Widzenia. Polega ono na tym, że oko wysyła sygnał do mózgu, aby uniknąć przeciążenia receptorów. Binarny system rejestracji włącza się samoczynnie, ale dostęp do informacji jest możliwy. W chwilach stresu czy niebezpieczeństwa, system nerwowy włącza reakcję, zanim powód stresu dotrze do mózgu. Zdarzyło mi się cofnąć dłoń ze skały, a dopiero potem dotarło do mnie, że o mało nie położyłem jej na żywym skorpionie. Oko jest w stanie zarejestrować i przetworzyć informacje, które umysł sekundę później może odrzucić.

Na zatłoczonej ulicy lub w otwartej przestrzeni widuję ludzi pograżonych w rozmowie, całkowicie oderwanych od rzeczywistości. A jednak znajdują drogę w tłumie, czy w terenie, jak? Otworzyli się na Nieświadome Widzenie.

W dżungli na Borneo, wraz z małą grupą tubylców, znalazłem się w niebezpieczeństwie. Musieliśmy uciekać przed członkami wrogiego plemienia. Była czarna, bezksiężycowa noc. Ścieżki były zarośnięte i prowadziły wzdłuż głębokiej przepaści. A my musieliśmy



biec.

Wstrzymywałem przewodników, bo obijałem się o drzewa, potykałem o korzenie i skały na ścieżce. Bałem się, że się poranię i w końcu lęk zaczął mnie paraliżować. Najstarszy z moich wojowniczych przewodników poderwał mnie na nogi. Ocalił mnie mówiąc, abym nie patrzył na ścieżkę przed sobą, ale na boki, abym skupił się na wszystkim poza ścieżką. Początkowo nie rozumiałem o co mu chodzi, ale zmusił mnie, abym nie spuszczał z oczu jego wytatuowanej dłoni na wysokości mojej twarzy. Ruszył naprzód, a ja za nim, wpatrując się w dłoń wykonującą faliste ruchy. Zrozumiałem wreszcie, o co chodzi i nabraliśmy szybkości. Patrząc w ciemność po bokach zacząłem ufać nowej umiejętności. W ten sposób umknęliśmy łowcom głów.

Chcę przez to powiedzieć, że zanim odkryłem, jak widzieć w ciemnościach, *patrzyłem za bardzo*.

Aby rozwinąć Nieświadome Patrzenie, musisz zająć się ostatnim ćwiczeniem, Patrzeniem, które jest przeciwieństwem gapienia się. Gapienie się, samo w sobie jest najmniej produktywne ze wszystkich sposobów używania oczu, ponieważ powoduje napięcie wokół organu wzroku i nieuchronną utratę ostrości. Patrzenie zaś wielokrotnie zwiększa możliwość gromadzenia danych.

Większość ludzi, zauważywszy jakiś obiekt, wpatruje się w niego, aż w końcu odwraca wzrok. Patrzenie „przez” pozwala na rozłożenie obiektu, twarzy, kształtu na poszczególne punkty. Odbywa się to w dużej mierze tak samo, jak rozbijanie na piksele obrazu na ekranie komputera. Pozwól, aby oko przesuwalo się swobodnie w

jedną i w drugą stronę, bez zatrzymywania go na jednym punkcie. Takie ćwiczenie wzroku początkowo wydaje się męczące, ale wkrótce staje się drugą naturą. Przetestuj siebie, odwracaj wzrok od obiektu i przywołuj w głowie jego kształt. Będziesz zaskoczony ilością danych zgromadzonych dzięki tej technice.

Aby poćwiczyć patrzenie „przez” polecam dzieła sztuki - rzeźby i obrazy w galeriach, lub architekturę. Wszystkie te obiekty wymagają koncentracji, kryją w sobie ogromne ilości informacji dla oka, a większość z nich ukryta jest w formie.

Przygotuj się na zalew niesamowitych informacji. Może to być dla ciebie zaskakujące.

Przygotuj się także na to, że dzięki ćwiczeniom odkryjesz w ciemności zadziwiające rzeczy. Twoje oczy będą jak nowe, odarte z siatki skalującej, jak wyłuskane i zroszone kroplami cudownego, nowego świata. Teraz jesteś gotów, by ujrzeć nowy kolor. Nieuchwytny Indygo. Czeka w ciemności. Było tam przez cały czas.

## TRZYDZIESTY

Louise przemierzała pokryta arabeskami podłogę w Thomson Center, raz po raz spoglądając na zegarek. Jeśli ten ktoś, z kim miała się spotkać, nie pojawi się w ciągu następnych pięciu minut, zabiera się stąd. Nie miała nawet pewności, dlaczego właściwie zgodziła się na to spotkanie; nie wiedziała nawet, z kim zgodziła się spotkać.

Rano zadzwonił telefon. Dzwoniący miał zduszony akcent z Chicago, głosu jednakże nie znała.

- Panno Durrell, czy może pani być w Thomson Center dziś o szesnastej trzydzieści?

- A dlaczego miałabym tam być?

- Nie wiem dlaczego, proszę pani. Zostałem poinstruowany, aby zadać pani to pytanie i właśnie je zadaję.

- Więc kim pan jest?

- To tylko ja. Spytałem panią i to wszystko. Jeśli nie chce pani iść, to już pani decyzja.

- Chwileczkę. Chce pan powiedzieć, że powinnam pójść do Thomson Center, aby się z kimś spotkać?

- Raczej nie po to, żeby patrzeć w szyby.

- Dobrze, ale kto? Kto chce się ze mną spotkać?

- Do widzenia.

I to wszystko. Podejrzewała jednak, kto mógł kryć się za tym telefonem. W końcu przecież zostawiła liścik w mieszkaniu na Lake

Shore Drive. Może nawet widział ją, jak tamtego dnia krążyła po Little Village. Nie mogła wszakże zrozumieć, dlaczego nie skontaktował się z nią bezpośrednio.

Znów przeszła po podłodze, jej obcasy stukały miękko na wypolerowanym granicie. Jacyś mężczyźni popatrzyli na nią z uznaniem. Zacisnęła wargi, zignorowała ich półuśmiechy i obróciła się na obcasach. I wtedy go zobaczyła.

Siedział w holu, z rękami złożonymi na podolku i przyglądał się jej spokojnie. Zareagowała z opóźnieniem. Miał nieco dłuższe włosy, ale to był on, cały i zdrowy.

Podeszła do niego i ścisnęła jego dłoń.

- Co u diabła robisz w Chicago?

- Spotykam się z tobą - powiedział Jack.

- Mam na myśli to, że przecież zaginałeś w Rzymie! Nikt nie wiedział, gdzie jesteś!

- Wyglądasz na zaskoczoną. Spodziewałaś się kogoś innego?

Louise popatrzyła na niego uważnie.

- Właściwie tak. Ale to nieważne. Powiedz mi, co się z tobą działo. I niech to lepiej będzie miła opowieść. A najpierw powiedz mi, kto do mnie dzwonił?

- Nazywa się Rooney. Pamiętasz tego wydawcę, do którego poszedłem z książką ojca?

- Dlaczego sam do mnie nie zadzwoniłeś?

Jack westchnął.

- Dopiero co przyjechałem do Chicago. Rooney to porządny

facet. Pozwolił mi nawet zatrzymać się u siebie na kilka nocy. Spałem na sofie. Powinnaś zobaczyć jego mieszkanie: ma gigantyczną łazienkę, od podłogi do sufitu wytapetowaną... no, może jednak nie powinnaś jej oglądać. Rzecz w tym, Louise, że ostatnio popadam w lekką paranoję. Miałem taki pomysł, aby... musiałem cię zaskoczyć, chciałem zobaczyć, jak zareagujesz, kiedy mnie zobaczysz.

Louise potrząsnęła głową. Nie wiedziała, o czym on mówi. Ale kiedy popatrzyła mu w oczy, zobaczyła blask, jakby jego wzrok nie spoczywał na niej, ale przesuwał się w tę i z powrotem, jakiś nieostry, i już rozumiała, co robił. Teraz знаła też powód jego paranoi. I chociaż znała już odpowiedź, zapytała:

- Jack, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać akurat tutaj?

Jack popatrzył na wspaniałe atrium, na przypominający oko dysk w sklepieniu. Z zewnątrz sączyła się ciemność rozmyta światłem w biurach.

- Zmierzch. Jednak zapomniałem że tutaj będzie światło.

Jeżu, pomyślała Louise, on zaczął nawet mówić jak ojciec.

- Powinieneś tu przyjść, kiedy budynek jest zamknięty na święta. Mogłabym ci to załatwić.

- Mogłabyś?

- Jasne. Pracuję dla Chicago Architecture Foundation. Mogę wejść praktycznie wszędzie. Ale będziesz musiał mi zapłacić.

- W jaki sposób?

- Udzielając wyjaśnień. Dalej. Chodźmy gdzieś, gdzie można się napić.

Poszli do Rock Bottom. Pub właśnie zaczął się zapęłniać pracownikami biurowymi. Znaleźli miejsce przy barze i zamknęli się w kokonie grzmiącego rock and rolla. Louise zamówiła dwie duże szklanki Dalwhinnie. Ledwie mogła uwierzyć w to, co Jack jej powiedział. Oparła łokieć na barze i z niedowierzaniem spoglądała na jego pozbawioną wyrazu twarz. Lekko oparł palce obu dłoni na brzegu kontuaru i bez ruchu patrzył przed siebie.

\*\*\*

Kiedy w zatłoczonej sali opowiadał Louise o tym, co się wydarzyło, sam ledwie w to wszystko wierzył. Mógł odtwarzać w głowie wydarzenia raz za razem, jak film z gatunku fantasy.

- Moja pierwsza myśl była taka, że Natalie wepchnęła mnie do rzeki w ramach jakiegoś dowcipu. Wiem, że przepłynąłem pod czterema różnymi mostami. W pewnym momencie pomyślałem, że nie wydam się już z tej wody i utonę w Tybrze.

- Byłem ledwo żywy, kiedy zobaczyłem most Sant' Angelo. Kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem kamienne anioły z rozłożonymi skrzydłami jak patrzą w dół i nie robią nic, aby mi pomóc. Dwoje młodych kochanków zbliżało się do brzegu rzeki. Obejmowali się, całowali i śmiali. Widziałem ich sylwetki. Utknąłem w błocie, głowę i twarz zalewała mi krew, cały byłem pokryty mułem i jakąś zieloną mazią. Dziewczyna krzyknęła.

- Nie pamiętam nic więcej. Tych dwoje musiało zejść na dół i wyciągnąć mnie. Kiedy kilka dni później ocknąłem się w rzymskim szpitalu, pielęgniarka potwierdziła, że przywiozła mnie samochodem

para młodych ludzi. Miałem wstrząśnienie mózgu i byłem nieprzytomny przez dwa dni. Miałem spuchnięte gardło, bo zrobili mi płukanie żołądka. Podczas szamotaniny złamałem dwa palce i pękło mi żebro.

- W szpitalu nie wiedzieli, kim jestem. Mój portfel razem z płaszczem leżał na dnie Tybru. Nie mogli mnie zidentyfikować. Przetrzymani mnie tam przez kolejne trzy dni. Mogłem zadzwonić do Natalie, ale wtedy sądziłem, że to ona wepchnęła mnie do rzeki, no i mimo wszystko nie mogłem zrozumieć, dlaczego mnie nie szukała, nie sprawdzała szpitali, cokolwiek. Więc do niej nie zadzwoniłem. Zamiast tego leżałem w łóżku. Myślałem.

- Myślałem o ojcu. Dużo o nim myślałem. O tym, jak spędziłem całe życie albo go ścigając, albo uciekając przed tym, co o nim wiedziałem. A teraz byłem w Rzymie na jego polecenie, zajmowałem się jego sprawami, nawet sypiałem z jedną z jego kobiet. Miałem męczące wrażenie, że stary mnie wrobił. Nawet zza grobu pociągał za sznurki.

- Leżałem w szpitalnym łóżku i rozmyślałem. Minęły trzy dni, zanim mnie wypuścili. Zdecydowałem się wracać do Anglii i zająć się własnymi sprawami. Ale najpierw poszedłem do banku zgłosić utratę kart i otworzyć kredyt. Potem wróciłem do domu.

- Był środek dnia. Świeciło jasne, jesienne słońce. Drzwi frontowe były otwarte. Z głośników grzmiał Mahler. Oczywiście kontralt. Ferrier, czy ktoś taki. Na parterze nikogo nie było, więc cicho poszedłem na górę. Nawet poprzez głośną muzykę słyszałem,

jak się pieprzą. Natalie i jeden z tych młodych Włochów, których widziałem w jej studiu, kiedy byłem tam po raz pierwszy. Jeden z jej chłopców kotów. Drzwi od sypialni były uchylone. Leżała na łóżku naga, wygięta jak krab, z zapraszająco rozłożonymi nogami. Chłopiec brał ją klęcząc, ale miał zawiązane oczy, a ręce skrępowane za plecami. To jedna z jej wyrafinowanych gier; coś, w co lubiła bawić się ze mną.

- Patrzyłem przez chwilę przez uchylone drzwi. Potem znenacka spojrzała w moim kierunku. Odepchnęła chłopca, zimno spojrzała na mnie przez szczelinę w drzwiach. Wysunęła się spod niego, więc pobiegłem na dół i schowałem się w czarnej kabinie.

- Słyszałem, jak idą, otwierają i zamykają kolejne drzwi. Wykręciłem żarówkę z ultrafioletem nad głową; dobrze zrobiłem, bo kilka minut później otworzyły się drzwi i do środka wsunęła się ręka, która kilka razy pociągnęła za sznurek wyłącznika. Potem krzyk Natalie spowodował, że ręka i jej właściciel wycofali się. Usłyszałem dudnienie stóp na schodach i wykorzystałem okazję, aby niepostrzeżenie wyślizgnąć się na zewnątrz.

- Poszedłem w dół do Bramy Świętego Sebastiana: nie wiedziałem, co robić; nie miałem dokąd pójść. Potem do mnie dotarło, że przecież mam prawo przebywać w tym domu. Więc dlaczego to ja uciekałem? Wróciłem, aby ich stamtąd wyrzucić, ale już ich nie było.

- Postanowiłem, że zanim wrócę do Londynu ratować swoje interesy, zemszczę się. Przyznaję, chciałem zranić Natalie. Potem pomyślałem, że skoro ktoś niewidziany użytkował dom, kiedy ja tam



byłem, to ja mogę zrobić to samo.

- Otworzyłem strych i przygotowałem tam sobie posłanie. Po kilku dniach Natalie i jej chłopca wrócili. Byli głośnymi kochankami. Szpiegowałem ich. Przy jakiejś okazji Natalie nałożyła ten dziwny hełm, pamiętasz? Włożyła go, podczas gdy jej włoski chłopaczek ją pieprzył. Albo on go zakładał. Czasami byli naćpani koktajlem haszyszu, speedu, kokainy, kwasu i innych narkotyków.

- Kiedyś słyszałem, jak ostro się kłóć. Natalie przechodziła z włoskiego na angielski i odwrotnie: „Durny, zazdrosny makaroniarz! Gdybyś nie pozbył się tego Anglika, dom byłby teraz nasz!”.

- *Strega!*<sup>20</sup> *Prostituta!* Nic nie zrobiłem twojemu angielskiemu kochasiowi, *niente!*

- Nie rozumiałem tego: zysk ze sprzedaży domu i tak należałby do niej. Wiedziałem jednak, jak bardzo byli naćpani i to mi ułatwiło sprawę. Zacząłem włączać muzykę operową o dziwnych porach, kiedy byli półprzytomni od narkotyków. Zawsze Kathleen Ferrier, „Orfeusza i Eurydykę”, w środku nocy, albo kiedy kotłowali się w łóżku. Drzwi do czarnej kabiny zostawiałem otwarte, aby je widzieli. Kiedyś zniszczyłem parę okularów słonecznych, należących do tego chłopaka.

- Zrobiłem wszystko, aby Natalie uwierzyła, że staruszek nadal żyje. Kiedy dzieciak kupił sobie nowe okulary, też je zniszczyłem. Znalazłem jej klucze, pojechałem do studia, zabrałem wszystkie niebieskie i fioletowe farby i zostawiłem je w jej lodówce. Nawet odłożyłem klucze, zanim zauważyła, że ich nie ma.

---

<sup>20</sup> Strega (wł.) - czarownica

- Którejś nocy, kiedy Natalie i jej kochanek spali pijani chianti i wódką, wszedłem do ich pokoju. Przytknąłem nos bardzo blisko twarzy śpiącej Natalie. W pewnym sensie chciałem, aby się obudziła i zobaczyła mnie jak szczerzę zęby. Ale żadne z nich się nie obudziło. Właśnie odsunąłem się od łóżka i już znikałem w cieniu, kiedy otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Zamarłem i po prostu zamknąłem oczy, stara sztuczka włamywaczy. Otworzyłem oczy, a ona znów spała. Jeżeli następnego dnia cokolwiek pamiętała, pomyślała pewnie, że to był sen.

- Byłem tam przez cały czas, leżałem w ciemnościach strychu i ciągle odtwarzałem w głowie moment, kiedy zostałem wepchnięty do Tybru. Pamiętam wirujące światła. Pamiętam przechodniów z twarzami oświetlonymi pomarańczowym światłem ulicznych latarni, pamiętam też twarz osoby, która wepchnęła mnie do wody. Ta twarz jest zamazana i nieostra, wykrzywiona, demoniczna. Czasem, jeśli lekko wyostrzę wzrok mogę sprawić, że wygląda jak twarz mojego ojca.

Louise wyrwała go z zamyślenia.

- Ale nic ci nie jest Jack. Nic ci nie jest - uniosła swoją szklanę.  
- Za nieznanymi kochanków, którzy wyciągnęli cię z rzeki.

- Już za nich piłem, ale jeszcze się napiję - osuszył szklanę.

Louise zawołała ponad barem:

- Jeszcze raz to samo!

Kiedy pojawiły się drinki, Jack sięgnął po szklanę, ale Louise chwyciła go za nadgarstek.

- Czy byłeś zakochany w Natalie?

- Nie jestem nawet pewien, czy wiem, kim jest Natalie.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa. Jack sięgnął do kieszonki na piersi i wyciągnął kopertę. - Żyłem na tym strychu jak duch i nie wiedziałem, dokąd to wszystko prowadzi. Potem coś odkryłem, właśnie na strychu, tam, gdzie spałem.

Otworzył kopertę i rozprostował jej zawartość na barze.

- Na strychu znalazłem pudełko po butach, w którym były te rzeczy i różne inne drobiazgi. Dokumenty, listy, polisy ubezpieczeniowe i tym podobne, wszystko należące do Natalie Shearer. To - powiedział, podając Louise jakąś kartę - to wydane w Wielkiej Brytanii międzynarodowe prawo jazdy.

- No i? - zapytała Louise.

- Popatrz na tę smutną dziewczynę na zdjęciu - powiedział. - Jak dla mnie, to ona nie wygląda jak Natalie Shearer.

## TRZYDZIESTY PIERWSZY

Louise zabrała Jacka do domu. Kiedy odebrali Billy'ego od opiekunki, chłopiec krzyknął „wujek Jack!” i rzucił mu się w ramiona. Jack był zdumiony, tak samo jak Louise. - Dużo o tobie rozmawialiśmy - powiedziała tonem wyjaśnienia. Billy przez długą chwilę trzymał Jacka za szyję.

- Wygląda na starszego - powiedział głupio Jack.

- Bo jest starszy. O kilka tygodni. - Jednak Louise była bardziej przejęta tym, że to Jack wyglądał starzej. Wyglądał na zmęczonego. Kichnął kilka razy, jak ktoś, kto właśnie zderzył się z przejmującym zimnem. Jego przekrwione oczy wyglądały na obolałe, jednak źrenice miał czyste i zdrowe, połyskujące tym niemal niezauważalnym, migotliwym blaskiem.

- Jack, chciałabym porozmawiać z tobą o tamtej książce.

- Jakiej książki?

- Doskonale wiesz, jakiej. Wiem, co robisz. Uzależniasz się od niej.

- To działa.

- Wiem o tym. Mówiłam ci od początku.

- Myślałem, że to wszystko bzdury, bezsensowny bełkot. Ale to działa. Zaczynasz widzieć różne rzeczy.

- Jak daleko się posunąłeś? Chciałabym wiedzieć.

Jack nie zdążył odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon. Louise

podala mu Billy'ego i podniosla sluchawke. Jej glós szybko sie zmienil, z glósnego i ozywionego stal sie sciszony i ostrozny. Odwróciła sie od Jacka i wydawala sie czekać dlugą chwile bez slowa. Ale Jack uslyszal jej szept:

- Nie rozlaczaj sie tym razem. Mozesz mnie prosic o wszystko.

Ktokolwiek to byl, nie byl specjalnie rozmowny. Od czasu do czasu Louise mruzcala zachecajaco, w jej glósie pobrzmiwala troska. Po chwili zaslonila glósnik i syknęla do Jacka:

- Ile masz gotówki?

- Jakies sto piecdziesiat dolarów.

Skinęla glówa i dalej mówila cicho do sluchawki:

- Mogę ci dac kilka setek od razu. Jasne. Nie. Nie, nie zrobię tego. Podaj mi adres. - Nagryzmolila cos na skrawku papieru. - Będę w ciagu godziny. Nie zawiedz mnie. Nie chcę sie snuc sama po okolicy. Wiem. Wiem, ze nie narazilbys mnie na niebezpieczenstwo.

Louise odlozyla sluchawke. Juz zakladala plaszcz, kiedy powiedziala:

- Billy, bedziesz grzecznym chlopcem i pozwolisz, zeby wujek Jack cie wykapał, poczytal ci i polozyl do lozeczka? Mama musi wyjść na chwile, ale niedlugo wróci.

Billy nie mial nic przeciwko temu. Jack owszem.

- Co to byl za telefon?

- Masz te sto piecdziesiat dolarów?

Jack podal jej pieniadze.

- Na co ci one?

- Oddam ci przy pierwszej okazji. Możesz się zająć Billym?

- Tak, ale co...

- Jack, tak się cieszę, że tu jesteś - pocałowała go w czoło. Potem wyszła.

- Poszła - powiedział Billy do Jacka. - Poszła.

- Kiedy ty zacząłeś mówić? - spytał Jack.

\*\*\*

Zanim Louise wróciła, minęły prawie trzy godziny. Wyglądała na przybitą i wyczerpaną. Jack przygasił światło, w radiu miękko śpiewał Muddy Waters. Louise najpierw zajrzała do Billy'ego.

- Uśpiłeś go. Idzie ci to lepiej, niż mnie. - Jack wzruszył ramionami. Louise spojrzała na pustą butelkę Macallana na stole. - Skończyłeś moją najlepszą whiskey.

- Powinnaś wiedzieć, że zawsze mam zapasową.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się, kiedy otworzył swoją torbę. Nalał dla nich obojga. Pili w milczeniu, tylko Louise wzdychała raz po raz. Wyczuwał, że jeśli będzie cierpliwy, wyjaśnienie samo się pojawi. Wreszcie Louise się odezwała.

- To był właśnie ten człowiek, którego spodziewałam się zobaczyć dziś zamiast ciebie w Thomson Center. Wzięłabym cię ze sobą, ale to skomplikowane. Rozmawialiśmy po raz pierwszy od roku. Jednak jutro zabiorę cię, abyś go poznał.

Bez ostrzeżenia Louise pochyliła się i zaczęła szlochać. Czoło jej się zmarszczyło, usta wygięły, a po policzkach płynęły gorące, wielkie łzy.

- Hej! - powiedział Jack, obejmując ją. - Hej! Co tu się dzieje?  
To ja jestem tym smutnym, pamiętasz?

Spojrzała na niego i ugryzła się w dłoń.

- Czy to byłoby okropne - powiedziała - gdybyśmy poszli do łóżka, a ty obejmowałbyś mnie, tylko obejmował, tylko dzisiaj? Jak brat siostrę? Czy to byłoby takie okropne?

- Nie - uspokoił ją Jack, całując jej zroszoną łzami dłoń - to nie byłoby takie okropne.

## TRZYDZIESTY DRUGI

Następnego dnia Wietrzne Miasto chłostało deszczem, tworzącym mgłę nad chodnikiem, kiedy Jack pomagał Louise umieścić Billy'ego w samochodowym foteliku. Smagani wiatrem przechodnie o ściągniętych twarzach, przemykali pośpiesznie chodnikiem. Były to twarze typu „zimny dzień w Chicago”, które widywał już wcześniej. Zastanawiał się, jak długo musiałby tu mieszkać, aby osiągnąć ten specyficzny wygląd. Louise tego ranka tak właśnie wyglądała, ale było w tym coś więcej. Wyglądała, jakby spędziła wieczór walcząc z demonami.

Prowadziła spokojnie w zacinającym deszczu, hipnotyczny świst wycieraczek samochodowych brzmiał, jakby gawędziły z wodą. Jack nie zapytał, dokąd jadą, ani z kim ma się spotkać, chociaż miał swoje podejrzenia. Odwrócił twarz w stronę kipiącego jeziora, nad którym gromadziły się trujące chmury w chorych kolorach.

Louise zjechała z drogi ekspresowej i wjechała w okolice Little Village. Zaparkowała wzdłuż muru zamalowanego jaskrawymi kolorami inspirowanymi chyba wizjami po kwasie. Pokolenie graficiarzy zostawiło tam swoje podpisy namalowane czarną i srebrną farbą, jak zapis śladów zaginionej cywilizacji. Wiatr i deszcz robiły, co mogły, aby zderzyć je do gołej cegły.

Jack trzymał parasol, kiedy Louise wyciągała Billy'ego z samochodu. Zniosła dziecko do trzypiętrowego budynku. Na



ścianach widać było lizaje obłazącej, różowej farby. Przy wejściu piętrzyła się sterta worków ze śmieciami. Louise nacisnęła brzęczyk; interkom zatrzeszczał i podała swoje nazwisko. Zamek odskoczył i weszli do środka.

- Nie ma windy - powiedziała Louise.

Nie było także światła. Ciemne schody cuchnęły moczem i pleśnią. Drzwi do jednego z mieszkań na dole były pęknięte i załatane arkuszem blachy. Jack spojrzał w poszukiwaniu numeru albo tabliczki z nazwiskiem, ale niczego nie znalazł.

Louise zapukała lekko do drzwi na najwyższym piętrze. Odskoczył kolejny zamek, a kiedy otworzyły się drzwi, Jack zobaczył mężczyznę, który już wracał do pokoju. - Nie jest szczególnie towarzyski - szepnęła Louise. Jack zamknął za sobą drzwi, oglądając potężną zasuwę. Drzwi wyposażone były także w ciężkie sztaby.

W pokoju unosił się ostry, chemiczny zapach. Jack zobaczył, jak Louise unosi rękę do włosów. Ile razy widział ten gest? Nie tylko u Louise, ale chyba u wszystkich kobiet świata. Odruchowa kontrola, instynktowny sprawdzian. Dziś ubrana była w spodnium, na twarzy miała lekki makijaż. Robiła wrażenie bystrej i energicznej. Jack zastanawiał się, kim jest mężczyzna żyjący w tej szcurzej norze, i dlaczego ona przejmuje się tym, jak wygląda.

Mężczyzna wycofał się w róg pokoju, nagie ramiona trzymał skrzyżowane, łypał na nich przez szkła okularów w drucianej oprawce. Wyglądał na zgorzkniałego. Miał długie włosy, ale wysoko podgolone skronie. Wydawał się jakiś znajomy, ale Jack nie mógł go

nigdzie umiejscowić.

Jack rozejrzał się po pokoju. Ściany pokryte były plamami koloru błękitnego i fioletowego z końca spektrum, wszystkie oznaczone jakimiś słowami. Niemal każdy cal ściany był zapisany. Niektóre napisy były nie do rozszyfrowania bez bliższej inspekcji; inne były wysokie na stopę:

*Oto legowisko Wilka*

Billy rozglądał się wokół dzikim wzrokiem. Louise, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, oświadczyła:

- Chyba lepiej was sobie przedstawię.

- Chyba tak - powiedział mężczyzna.

Próbował przyjrzeć się Jackowi, ale nie był w stanie utrzymać kontaktu wzrokowego. Jego oczy wywracały się dziwnie, zerkał często w górny narożnik pokoju jakby sprawdzał, czy czegoś tam nie ma. Na przedramieniu miał tatuaż w sześciu kolorach spektrum:

*Nigdy nie widziane, ale zawsze obecne*

Jack domyślił się jego tożsamości na długo przedtem, nim Louise powiedziała:

- Jack, to jest Nick, ojciec Billy'ego; Nick, to mój brat, Jack.

Możemy usiąść?

- Tak.

Nicholas Chadbourne. Znikający artysta. Kolejny ukrywający się

ojciec w świecie pełnym ukrywających się ojców. Chadbourne nie wyciągnął ręki, a Jack nie był w nastroju, aby mu cokolwiek ułatwić. Widywał to już wiele razy, a w tej chwili był zbyt zajęty sprawdzaniem, czy na rozbebeszonej sofie nie ma strzykawek.

- Przyprowadziłaś mi tu gliniarza - Chadbourne pociągnął nosem. - Szuka igieł.

Jack odbił piłeczkę. - Chyba nie chcielibyśmy, aby dziecko usiadło na czymś *ostrym*, prawda?

- Sprawdziłem to przed waszym przyjściem. Więc jesteś gliną.

- Już nie. Jesteś nader spostrzegawczy.

Chadbourne zadławił się śmiechem, czymś pomiędzy chichotem a astmatycznym rżeniem.

- Spostrzegawczy. Można tak powiedzieć. Widzę mnóstwo rzeczy, których nie widzą inni. Na przykład ty. Kurwa, nienawidzisz ćpunów, ale założę się, że w kieszeni masz ćwiartkę. Nie musisz odpowiadać. Ja to wiem. To jest wypisane na twojej twarzy, stary. - Chadbourne kreślił linie na własnych policzkach i pod oczami. - Tutaj. I tu. I tu. Toniesz w wódzie.

*Indygo istnieje Nie ma żadnego Indygo*

- Przejrzałeś mnie, co?

- Znam cię, stary. Wiem, kim jesteś.

Jack obejrzał się za siebie. Chadbourne znów wydał mu się znajomy, ale Jack odsunął tę myśl. Tymczasem Louise, której nie

podobał się taki obrót rzeczy, powiedziała:

- Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Nickiem, Jack. Ma ostatnio trudny okres. Jest wdzięczny za pieniądze.

Chadbourne zmiękł i przysunął się do Billy'ego. Pogłaskał go po policzku. Billy popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Jak się miewa mój synek?

- Miewa się świetnie, Nick. Chodzi i mówi; no, czasami mówi. Teraz jest trochę zagubiony. Nick, obiecałeś mi, że opowiesz Jackowi o Natalie Shearer.

Oczy Chadbourne'a zrobiły się martwe.

- Jasne. Możecie usiąść - powiedział do Jacka. - Nie pokłujecie sobie tyłków. Mogę go potrzymać?

- Pewnie - odparła Louise. - Jeśli zaczniesz wierzgać, zabiorę go z powrotem.

Billy trafił w objęcia ojca, spoglądając na skwaszoną twarz błyszczącymi, niebieskimi oczami. Wyglądał na zadowolonego. Chadbourne popatrzył na Jacka i znów wybuchnął świszczącym śmiechem.

- Popatrz tylko na swojego braciszka gliniarza. Jest o mnie zazdrosny. To naprawdę miłe.

Jack nie mógł temu zaprzeczyć. Martwiło go, że Billy jest w towarzystwie swojego zaćpanego ojca. Powiedział jednak:

- Co z Natalie Shearer?

Chadbourne uśmiechnął się do niego szeroko. Jego szare zęby były w okropnym stanie. Zapalił papierosa, energicznie klikając

zapalniczką Zippo<sup>21</sup>.

- Natalie była jedną z tych osób, które niebezpiecznie łatwo ulegały wpływom, rozumiesz? Zawsze w stanie podekscytowania. Ładna dziewczyna - wszystkie dziewczyny Chambersa były ładne - i miała totalnego fioła na jego punkcie. Myślę, że rozglądał się za dziewczynami z deficytem ojca, ponieważ z łatwością mógł nimi manipulować.

- Tym właśnie zajmował się Tim Chambers. Manipulował ludźmi dla zabawy, dla rozrywki. Przeprowadzał takie eksperymenty społeczne. Wtedy wszyscy byliśmy młodzi. Wszyscy byliśmy w niego zapatrzeni.

Jack nie mógł oderwać oczu od napisów na ścianach. Oprócz pełnych zdań, były tam jeszcze listy:

*Nasylenie*

*Blask*

*Kolor*

*Odcień*

*Cień*

*Czarne Światło*

*Biała Śmierć*

- Chodziło o to, aby znaleźć się w jego wewnętrznym kręgu. Wokół niego kręciło się mnóstwo młodych ludzi, w większości artystów, jeżeli było się jednym z jego ulubieńców, otwierały się

---

<sup>21</sup> Zippo - amerykańska firma produkująca zapalniczki napełniane ciekłym paliwem

wszystkie drzwi. Wszystko było możliwe: wystawy, kontakty, wywiady, wyjazdy, podróże, pieniądze. Miał ogromne wpływy.

- Musiałeś należeć do wewnętrznego kręgu. Poza nim też bywało zabawnie, ale krąg, to było coś. Jednego dnia mogłeś w nim być, a drugiego z niego wylatywałeś. Ludzie stwierdzali nagle, że znaleźli się na zimnie i nie wiedzieli, dlaczego; inni byli dość bystrzy, aby zahaczyć się na dłużej. Byłem sprytny i byłem *wewnątrz*. Natalie także, i tak samo Anna Maria.

- To ta dziewczyna, która zabiła się w Rzymie? - zapytał Jack.

Chadbourne z jakąś zajadłością zdusił papierosa.

- Między nami coś było. Pieprzyć to. Kochaliśmy się. Ale on się w to wmieszał.

- Bardzo go cieszyło, kiedy doprowadzał do związku między dwojgiem ludzi, a potem go niszczył. Powiedział mi kiedyś, że zdumiewa go to, jakie to łatwe. I wiesz co? Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że kiedy to mówił, robił mi dokładnie to samo. To była jego technika. Nigdy nie widziałeś, że to się zbliża. Ale wtedy byłem młodszy. Nic nie wiedziałem.

*Kolor*

*Światło*

*Chmura*

*Dym*

*Ciemność*

*Indygo*

## *Pustka*

- Więc doprowadził do tego, że ty i Anna Maria zerwaliście ze sobą?

Chadbourne potrząsnął głową.

- To było wcześniej. Wtedy byłem z Natalie Shearer. Natalie była z nim, ale zapoznał nas ze sobą i zachęcał, abyśmy spędzali razem więcej czasu. Zabrał nas do Rzymu. Dał mi forszę, żebym ją rozpieszczał. Natalie o tym nie wiedziała, ale on ją w ten sposób przekazywał mnie. Potem dodał Annę Marię Accurso, charyzmatyczną, włoską piękność. Anna Maria i ja pociągaliśmy się wzajemnie, każdy to widział. Tyle że Chambers wybrał Annę Marię dla siebie, więc mnie zabrał z powrotem do Chicago, a Natalie i Annę Marię zostawił w Rzymie. Kontrolował wszystko, pamiętaj.

- To wtedy przedstawił mi Louise. Wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale byłem fachowo odsuwany od Anny Marii, skoro Natalie już nie spełniała swojego zadania. To był dobry wybór. Louise była wtedy w dołku i zaiskrzyło.

Jack spojrzał na Louise. Nie odwzajemniła spojrzenia, patrzyła na Chadbourne'a.

- Kiedy stary znalazł mi zajęcie, wrócił do Rzymu i do Anny Marii. Zostaliśmy sami w Chicago, i to były niezłe czasy, prawda, dziecinko? Wkrótce Chambers potrzebował mnie, aby pozbyć się z kolei Anny Marii. A Louise była już w ciąży i zdecydowała, że jednak nie chce spędzić ze mną całego życia.

- Tata naopowiadał mi różnych rzeczy o Nicku - wtrąciła Louise ze względu na Jacka. - Teraz wiem, że to nie była prawda.

Chadbourne parsknął. - Tak właśnie działał. Malutka dezorientująca informacja we właściwym czasie. Jagon przy nim to amator. Widywałem, jak sprawiał, że kochankowie, pary i starzy przyjaciele rzucali się sobie do gardeł, a następnie wkraczał na scenę i wygłaszał mądrości sprawiające, że wszyscy czuli się dziecinnie i głupio. To gwarantowało lojalność. W jakiś sposób odpowiedzialność za własne życie przenieśliśmy na niego.

- Ale dlaczego? - chciał wiedzieć Jack.

- Tego wtedy nie wiedziałem. Widziałem tylko hojnego, wyrafinowanego, światowego człowieka, pomagającego ludziom w karierze. Nie inaczej było z tobą, bracie gliniarzu. Wiesz, jaki on był. Wszyscy ci to mówią. Sam to widziałeś. Jednak wciąż bawisz się w tę diabelską grę.

- O czym ty mówisz?

- O książce, stary. Przerabiasz książkę.

Jack zerknął na Louise. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nic mu nie mówiłam.

- Nie musiała mi nic mówić. To w tobie tkwi, tak jak woda. Jest w blasku twoich oczu. Jest w sposobie, w jaki wszedłeś do tego pokoju. Niesiesz Dym i Cień, stary - popatrzył twardo na Jacka. - Jak daleko zaszedłeś? Już odtńczyłeś rumbę z Indygo? Zrobisz to wkrótce. Nie zdołasz się powstrzymać. Jak Natalie, która przeszła całą drogę. Prosto w pustkę. Przerobiła książkę, człowieku, i przeszła



prosto na drugą stronę. Siedmiogwiazdkowa rumba Indygo.

Jack wyciągnął z kieszeni zdjęcie, zrobione przy fontannie di Trevi. Był na nim on sam i kobieta, którą uważał za Natalie Shearer.

- Czy to jest Natalie?

Chadbourne potrząsnął głową.

- Nie. To jeszcze jedna dziewczyna z tłumu, która kręciła się wokół niego. Sarah Buchanan, kolejna zdobycz twojego starego. - Wtedy Jack pokazał mu prawo jazdy zabrane ze strychu. - Tak. To Natalie. Stare zdjęcie, ale to ona.

Jack wstał. Usłyszał już dosyć i chciał wyjść.

- Co zamierzasz zrobić z tymi informacjami? - zapytał Chadbourne.

- Być może kogoś zabiję.

- Dobry pomysł. Ty też już idziesz? - zapytał Louise.

- Tak, Nick. Pamiętaj, co mówiłam i trzymaj się z daleka od mieszkania na Lake Shore. Musi zostać sprzedane. Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwoń do mnie, dobrze?

- Postaram się nie zawracać ci głowy - powiedział ze smutkiem Chadbourne, z nieskończoną czułością oddając jej Billy'ego. - Naprawdę postaram się nie dzwonić.

Louise położyła palec na jego policzku, a Jack pomyślał, że nie powinien patrzeć. - Nick, pomogę ci na ile potrafię.

Jack wziął Billy'ego z ramion Louise i wyszedł, zostawiając ich na chwilę. Na zewnątrz nadał padało, czekał więc na parterze przy ciemnych, cuchnących moczem schodach. Po kilku minutach pojawiła

się na schodach z mocno zaciśniętymi wargami. Zapięła płaszc.

Podeszli do samochodu. Zanim Louise przekręciła kluczyk, Jack położył dłoń na jej nadgarstku.

- Od jak dawna on ci to robi?
- To się nigdy nie skończy.
- Musi.
- Proszę. Chcę się stąd wydostać.

## TRZYDZIESTY TRZECI

Tatuaż jest interesujący. Kiedy skóra jest nakłuwana, przepływ krwi do uszkodzonej tkanki powoduje powstanie strupka. Kiedy strupek zaschnie, korci cię, aby go zedrzeć i odsłonić to, co jest pod spodem; jednak jeśli uda ci się wytrzymać tak długo, aż strupek wyschnie, złuszczy się i odpadnie w sposób naturalny, ujawni się jasny, błyszczący tatuaż.

Świat widzialny, ze wszystkimi jego sprawami, jest niczym więcej, jak takim strupkiem. Prawdziwa natura świata czeka pod spodem na odsłonięcie, a podstawowym kolorem ukrytego świata jest Indygo.

Istnieją tylko dwa miejsca, gdzie w naturalny sposób można zedrzeć zasłony wszechświata. W obu przypadkach jest to kwestia woli oczu. Mrugają i przepuszczają przez siebie światło Indygo. Jest to możliwe w ściśle określonym czasie i pod warunkiem, że zostaną spełnione pewne założenia.

Te dwa miejsca to starożytny Panteon w Rzymie i Thomson Center w Chicago. Rzym jest apoteozą klasycyzmu; Chicago szczytowym osiągnięciem modernizmu. Kiedy wrócisz do Rzymu, odkryjesz, że prawie nic się nie zmieniło, może z wyjątkiem paru cegieł - Koloseum stoi wciąż nietknięte,

Forum nadal dominuje nad miastem, barokowe fontanny jak zwykle tryskają wodą. Odwiedź Chicago po dekadzie, a wyda ci się

inną metropolią: czy to naprawdę to samo miasto? Rzym coraz głębiej zapada się w historii. Chicago coraz szybciej gna ku mrocznej przyszłości.

Budynki opisują marzenia ludzi miasta. Rzym i Chicago stoją jak podpórki do książek w punkcie wyjścia i tkwią w architektonicznych marzeniach. Budynki, myśli sobie zwykły człowiek, istnieją, aby spełniać określone funkcje i służyć tym, którzy ich używają; ale prawdziwie wielcy architekci wiedzą, że budynki pełnią sekretną misję - zachwycają i kształcą.

Wybierz się do rzymskiego Panteonu i przyjrzyj się wolem oku pośrodku dachu. Czy to tylko otwór zaprojektowany, aby wpuścić światło albo wypuścić ciemność? Czy to kanał modlitwy i inwokacja do podróży w górę, czy też zaproszenie dla oczu niebios, by spojrzały w dół? Idź tam w wigilię Luperkaliów. Jeśli dokładnie wypełniałeś moje instrukcje, jeśli zaczekasz do zmroku, zobaczysz, że przez otwór mruga do ciebie oko niebios. Ujrzysz nieuchwytny kolor Indygo. Poczujesz wilka. Świat wyda się większy. Będziesz chciał umrzeć dla tego cudu.

Idź do szklanego cudu Thomson Center tej samej nocy, w tym samym czasie. Podczas gdy Panteon ukrywa się w cieniu, Thomson Center zalany jest światłem i całą gamą przezroczystości, okrągły dysk na szczycie jest odwróconym wolim okiem. Budynek jest podtrzymywany światłem. Idź tam w porze, o której ci mówiłem. Atrium będzie zalane światłem Indygo.

Ogrom wilka może cię przerazić. Poszerzy się natura

wszechświata. Oszalejesz z grozy.

Poinstruowałem cię już jak zbierać Dym. Wiesz, w jaki sposób przemieszczać tę substancję na siatkówce oka. Nauczyłem cię sztuki patrzenia „przez” w taki sposób, że ciemność jest raczej przytłumionym światłem, niż jego brakiem. Wskazałem ci konkretny moment, kiedy wreszcie po żmudnych ćwiczeniach na krótką chwilę ukaże ci się kolor Indygo.

To alchemiczny trójkąt, wzajemny wpływ elementów optycznych. Dym, Ciemność i Indygo są wierzchołkami trójkąta, przez który musisz przejść. W każdym przypadku reprezentujesz oś, a oko w trójkącie jest otworem w Panteonie i dyskiem w Thomson.

W tym precyzyjnie określonym momencie połączą się wszystkie elementy. Twoim zadaniem jest utrzymanie wnętrza trójkąta dopóki nie zmieni się w pojedynczy, wertykalny promień, kolumnę światła Indygo. Wejdź w ten promień. Osiągnąłeś Niewidzialność.

Teraz wszystkim, co widzisz, jest światło Indygo. Wszystkie inne barwy spektrum zniknęły. Kąpiel w świetle Indygo jest zachwycająca. Możesz nawet posmakować koloru. Pomimo dreszczy, pomimo intensywności doznań i lęku o to, czy twój umysł to wytrzyma, musisz zbadać możliwości swojej kondycji; zrób to szybko, ponieważ ten stan jest przejściowy.

Widzisz kogoś blisko siebie. Szepczesz mu do ucha dziwne słowa i przerażasz go, ponieważ nie może cię dostrzec. Otwarcie coś komuś kradniesz, a ten haniebnny czyn przechodzi niezauważony. Otwierają się przed tobą wielkie możliwości. Podoba ci się kobieta

przechodząca pomiędzy gośćmi, obwąchujesz ją od stóp do głów, a jej zapach cię rozplomienia; podchodzisz bardzo blisko, prawie pod jej spódnicę; ale uważaj, aby jej nie dotknąć. Ostrożnie. Jesteś jak naładowany elektrycznie strumień fotonów, a twoja nadnaturalna energia wywoła orgazm, szok, nawet napad epileptyczny. Jesteś niewidzialny. I jesteś niebezpieczny.

Na mgnienie oka doświadczyłeś świętego lęku. Zdarłeś strup z olśniewającego, ukrytego wszechświata tylko na kilka sekund. Posmakowałeś cudu. Teraz - jak ja niegdyś - będziesz przemierzał glob w poszukiwaniu tego niezemskiego doświadczenia. Możliwe, że nie spotka cię to już nigdy więcej. Dopóki nie znajdziesz sposobu na otwarcie okna i przejście w światło Indygo na zawsze.

## TRZYDZIESTY CZWARTY

- Chicago do dziwne miasto - warknęła Dory. - Ludzie ciągle tu znikają. Czasami znów się pojawiają, a czasem nie. - Louise zaprosiła ją, aby poznała Jacka. Dory odmówiła, więc Louise zostawiła Jacka z Billym na jeden dzień, pojechała do Madison i mimo protestów przyciągnęła ją ze sobą. Kiedy przyjechały, Jack wyglądał właśnie z okna mieszkania. Zobaczył narzekającą, tęgą kobietę wysiadającą z samochodu. Od razu zauważył, skąd u Louise wziął się zwyczaj zaciskania ust.

Kiedy wkroczyła do mieszkania i zastała Jacka z Billym na rękę, zacisnęła usta jeszcze mocniej i bez słowa zabrała od niego dziecko. Potem przeprosiła i próbowała znów mu je podać, ale Jack odmówił, zresztą Billy chciał zostać u babci. Może uspokoiło ją to, że Jack niezbyt przypominał Tima Chambersa, a może odkryła, że trudniej mieć pretensje do żywego, oddychającego człowieka, niż do swojego wyobrażenia o klonie Chambersa. Dory wyraźnie złagodniała. Widać było, przynajmniej widziała to Louise, że Dory wstydzi się za siebie.

Zjedli razem kolację, a teraz sączyli wino. Dory opowiadała o swoim rodzinnym mieście. Była mieszkanką Chicago z krwi i kości i miała coś, co sama określiła jako biceps rzeźnika. Jej oczy były tak samo szkliscie niebieskie, jak jezioro Michigan. Uwagi, dotyczące znikających ludzi, były związane z ich rozmową o prawdziwej Natalie Shearer, która zaginęła w Rzymie, i o pojawieniu się Nicholasa

Chadbourne'a w Chicago.

- Zanim zbudowano tu ulice, tu i tam stały znaki wskazujące, gdzie w błocie utopił się wóz z końmi; a któregoś dnia został tylko kapelusz i tablica z napisem „Tu zaginął człowiek”.

Jack parsknął śmiechem.

- Wymyślasz to sobie!

- Nie. Zastanawiam się, czy ci wszyscy zaginieni ludzie nie pojawią się któregoś dnia w Parku Lincolna. Gdzieś przecież musieli pójść.

- W każdym razie - powiedziała Louise - przynajmniej Nick się znalazł.

- No, jeśli *on* utopiłby się teraz w błocie, byłoby całkiem niezłe. - Dory spojrzała na Jacka. - Nigdy nie lubiłam tego sukinsyna.

Jack po cichu się z nią zgadzał, ale Louise zaprotestowała.

- Mówisz o ojcu Billy'ego.

- Billy jest w łóżku i nie może mnie słyszeć; ale kiedy będzie wystarczająco duży, nie wyświadczysz mu przysługi ukrywając, że jego stary był ćpunem. Mam rację, Jack?

Jack zastanowił się przez chwilę.

- Chyba tak.

- Mam cholerną rację, a jeśli mnie zapyta, to sama mu powiem. Dość tych kłamstw. - Jack zerknął na Louise, aby sprawdzić, czy coś mu nie umknęło. Dory zauważyła jego spojrzenie i powiedziała: - Mówię o twoim starym, kotku. Czy wiesz Jack, że kiedy przyjechał z Anglii, to ten zasraniec - przepraszam, ale nie mogę inaczej - nawet



mi nie powiedział, że miał tam żonę? I synka o imieniu Jack?

- Myślałam, że nie chciałaś o nim mówić - wytknęła Louise.

- Nie chciałam. I nie myśl sobie, że to się zmieniło. Jack, bardzo się zamyśliłeś. Opowiedz mi o swojej mamie. Chciałabym się czegoś o niej dowiedzieć. Zobaczyć, dlaczego trzymał to w tajemnicy przede mną i w ogóle.

Dory opróżniła swój kieliszek, więc Jack sięgnął, aby napełnić go ponownie.

- Była słaba, Dory, łatwy łup dla kogoś takiego jak on.

- Łatwy łup, hm? Pewnie sama taka byłam.

- Wszystko, co wiem, to tyle, że któregoś dnia po prostu wybrał się do Stanów i nie wrócił. Nigdy tego nie przeboleła. Nigdy nie zastąpił go inny mężczyzna. Była wzorem przyzwoitości - konserwatywna, nudna, ograniczona - i sędzę, że to wszystko było reakcją na to, co się stało. Potem musiałem odejść i zламаłem jej serce, kiedy pod koniec college'u pojechałem do Nowego Jorku spotkać się z nim.

- Wiedziała, do czego był zdolny. Jak działał, aby sobie pozyskać człowieka - wycelowała palec w stronę Louise.

- Tak, jak to robił z nią. Matki wiedzą.

- Nigdy nade mną nie pracował, mamó i nigdy mnie nie pozyskał.

- To ty tak mówisz. Ale utrzymywałaś z nim kontakt, wbrew mojej woli.

- Nadal był moim ojcem - odparła Louise. - A poza tym przez te

lata spędziłam z tobą więcej czasu i nigdy nie kochałam go tak, jak kocham ciebie. Więc dlaczego ta gorycz?

- Dlatego, kochanie - teraz Dory prawie krzyczała - dlatego, że rujnował ludziom życie.

- Tak, zgoda, ale rujnował życie tylko tym ludziom, którzy mu na to pozwalali.

Jeżeli Jack wziął sobie do serca tę ostatnią uwagę, to nie powiedział nic. Ponuro wpatrywał się w podłogę i sączył wino. Nie było już nic do dodania.

Dory podniosła się z krzesła.

- Jestem skonana. Idę spać - podniosła kapę, którą przywiozła ze sobą z Madison. W sposobie, w jaki przewiesiła ją sobie przez ramię było coś nieskończenie smutnego i pełnego znużenia.

- Dory, mogę obejrzeć tę kapę? - Jack prawie krzyknął. - Louise opowiadała mi o niej. - Podała mu ją, a Jack oglądał ją uważnie, zachwycając się misterną pracą. Potem wyrzucił z siebie: - Dory, *coś* musiało w nim być. Coś, co sprawiło, że zakochałaś się w tym człowieku!

Dory wyglądała na wściekłą. Spojrzała na niego twardo, ale wytrzymała jej spojrzenie, aż poczuła się nieswojo. Potem zabrała kapę i wskazała abstrakcyjny kwadrat. Jack nie wiedział, co ma o nim myśleć: niewielki, agresywny wzór z niebieskich, krzyżujących się linii na fioletowym tle. A może zwariowany zapis encefalogramu.

- Widzisz to? - powiedziała Dory. - To miejsce strachu i cudu, Jack. Strachu i cudu. To dlatego zakochałam się w twoim ojcu.

Potrafił rozjaśnić świat. Potrafił sprawić, że świat był większy. Sądziłam, że zapelni dla mnie to miejsce, zapelni je cudem. Teraz nie wiem, czy ktokolwiek może to zrobić dla kogokolwiek - spojrzała na Louise, która śledziła tę wymianę zdań. - Idę do łóżka.

Dory zaskoczyła Jacka, całując go w policzek na dobranoc. Potem pocałowała Louise i zabrała ze sobą kapę.

\*\*\*

Dory siedziała w łóżku z okularami na czubku nosa i pracowała nad kapą. Była zajęta abstrakcyjnym kwadratem Indygo. Pruła go, bo chyba nigdy nie uda się uchwycić Indygo. Uniosła nitkę do ust i przegryzła ją.

Słyszała, jak Louise i Jack rozmawiają w sąsiednim pokoju. Przyjechała do Chicago z nadzieją, że nadal nie będzie lubić Jacka, ale zmiękła zbyt wyraźnie i zbyt szybko jak na swój gust. Przez całe życie Louise, Dory grała w grę polegającą na uważnym przyglądaniu się córce, badaniu jej warg, załamania nosa, kształtu kości policzkowych, krzywizny podbródka. Szukała w niej własnych cech i chciała w ten sposób odegnać genetyczne dziedzictwo Tima Chambersa. Spędziła ten wieczór przyglądając się Jackowi, kiedy tylko nie patrzył.

Ale Chambers tam był. Jakkolwiek Jack na pierwszy rzut oka nie wyglądał jak syn swego ojca, Dory znała to znamię. Było w skupionym spojrzeniu, w tym, jak milczał zbyt długo i odwracał głowę, zanim odpowiedział na pytanie; także w tym, jak sprawiał wrażenie, że na nic nie zwraca uwagi, ale nic mu nie umykało. Ale te ślady były niezbyt wyraźne, zamazane. Nie miały wyrazistości cech

ojca. U Tima kiedyś budziły lęk, Jack emanował życzliwością.

Spruła jeden z nieudanych niebieskich ściągów i zaczęła od początku, szyjąc tą samą nicią. Miała w głowie tylko niejasny zarys tego, co chciała uzyskać. Kształt, prawie wzór, ale niewyraźny. Widziała go lepiej na początku, kiedy zaczęły się ataki. Teraz leki stłumiły wszystko.

Ataki epileptyczne, choć krępujące, niebezpieczne i czasami bolesne, nie były całkowicie nieprzyjemne. Chwila przed atakiem, tuż przed koszmarną utratą świadomości, zawsze była skąpana w niemożliwym do opisanie świetle. Wyglądało jak błękit na fiolecie. A gdzieś wewnątrz ataku była dziwna przyjemność, obietnica objawienia, jakby cały wszechświat miał się dla niej otworzyć i przekazać wiadomość. Poza chaotyczną siatką linii, odcisniętą na siatkówce oka przed napadem, Dory widziała nieokreślone kształty: jakby trylobity, jakieś fraktale; może literę czy glif niebiańskiego alfabetu, literę, która oznacza początek pierwszego słowa, rozkwit całego stworzenia. Ale nigdy nie mogła tego uchwycić. Szyła i szyła, pruła i szyła na nowo, ale w poczuciu strachu, że to się nigdy nie uda. To doprowadzało ją do obłądu.

Wyczerpana odłożyła igłę i położyła się na poduszce, nasłuchując łagodnego szemrania głosów Jacka i Louise z sąsiedniego pokoju. Znów pomyślała o Jacku i o tym, w czym był podobny do ojca, a w czym nie. Ulżyło jej, że nie musi go nienawidzić. Nie zło, nie, pomyślała. *To jest gdzie indziej.*

\*\*\*

- Ojciec przerażał ludzi - powiedziała Louise jakiś czas później. - Zdajesz sobie z tego sprawę.

- Z pewnością przerażał mnie - odparł Jack.

- Kiedy Nick przyjechał z Rzymu, nie chciał już tam wracać. Bał się z nim przebywać w tym samym miejscu. A jednak nie potrafił się od niego oderwać. Myślę, że oni wszyscy tacy byli. Mama się denerwuje, kiedy chodzi o Nicka. Teraz jest śmieciem, ale kiedy go poznałam, był innym człowiekiem. Utalentowany, pełen pomysłów młody artysta. Oczywiście nie wiedziałam, że ojciec nas skojarzył. Skąd miałabym wiedzieć?

- Nick też miał w sobie ten morderczy płomień, obsesję na tle ćwiczeń związanych z widzeniem. Mówiłam mu, aby to przerwał. Potem zadzwonił do niego tata, że potrzebuje go w Rzymie. Mówiłam mu, żeby odmówił i nie jechał, ale to było niemożliwe, chociaż bał się go. Zmalał w moich oczach, kiedy zobaczyłam, jak bardzo się go boi. Pozwoliłam mu jechać choć wiedziałam, że dla nas to koniec. Kilka tygodni później okazało się, że jestem w ciąży z Billym.

- Powiedziałaś to wtedy Nickowi? Może to spowodowałoby go z powrotem.

- Nie chciałam go. To może zabrzmieć brutalnie, ale taka jest prawda. Kiedy następnym razem zobaczyłam Nicka, Billy miał sześć miesięcy, a Nick był już wtedy poważnie uzależniony. Było w nim coś zdeterminowanego, jakby, wiesz „zamierzam się zaćpać na śmierć, więc się z tym pogódźcie”. W Rzymie musiało wydarzyć się coś okropnego, ale nigdy mi nie powiedział, co to było.

- Poprosił mnie o pieniądze. Spotkałam się z nim i pokazałam mu Billy'ego. Płakał i przysięgał, że już nigdy nie poprosi mnie o pieniądze na prochy, i właśnie wtedy zniknął na dobre. Od czasu do czasu odbierałam głuche telefony i zawsze czułam, że to był on. Czasami, kiedy wiedział, że ojciec wyjechał, spędzał wieczór w mieszkaniu na Lake Shore Drive. Więc zostawiałam tam pieniądze. Kontakt między nim a tatą urwał się. Myślę, że ojciec zgadł, iż to Nick jest ojcem Billy'ego, chociaż nigdy mu tego nie powiedziałam.

- Pozwolisz Billy'emu widywać się z Nickiem?

Westchnęła.

- Nie wiem sama, czy lepiej pozwolić, aby Billy dorastał z kompleksem braku ojca, czy z kompleksem ojca ćpuna, który nas zostawił. Jak myślisz, Jack?

- Myślę o twojej matce. Wpatrywała się we mnie przez cały wieczór.

## TRZYDZIESTY PIĄTY

Jack zadzwonił do Rooneya i umówił się z nim na drinka po pracy. Jack nadal nie rozwiązał kwestii publikacji Instrukcji Obsługi Światła i chciał się tym szybko zająć. Spotkali się w Tip Top Tap, Jack wybrał to miejsce (ku rozgoryczeniu Rooneya) ze względu na świetną muzykę jazzową. Rooney nie marnował czasu na wyjaśnianie swojego pomysłu wydrukowania tekstu bardzo małą czcionką, w przeciwieństwie do wielkiego ducha testamentu. - Słuchaj, Jack, nikt, kompletnie nikt nie da złamanego grosza za opublikowany nie wiadomo po co, katalog ćwiczeń dla pieprzonych gałek ocznych.

- Więc go czytałeś!

- Spędziłem trzy i pół minuty na przeglądaniu tego, a to kurwa więcej, niż jest tego warte. Myślałem, że wysram od tego cegłę.

- Może wydrukujemy te pochwalne słowa jako notę okładkową.

- Jeśli przypadkiem jakiś baran wsadzi w to nos, masz wystarczająco dużo kopii, żeby go nimi zasypać i powiedzieć, że reszta jest w magazynie. Ale do tego nie dojdzie, bo to kupa gówna.

- Ja wsadziłem w to nos.

- Cóż, ty jesteś pieprzonym, ciasnodupym Brytolem, a teraz się zamknij, bo nadchodzi nasza dziewczyna!

Kiedy kapela zagrała, a dziewczyna jęła wyginać się na scenie, Rooney zamarł w charakterystycznym transie. Od strony podłogi ciało tancerki oświetlały kolorowe światła, kolejny powód, dla którego

Rooney nie do końca poważał Tip Top Tap. Jack bardzo się starał, aby wciągnąć się w występ jak Rooney; ale w takich miejscach zawsze czuł się skrępowany. Miał wrażenie, że dziewczęta wyczuwały jego nieśmiałość, patrzyły na niego szklistymi oczami i pomimo jego wysiłków, zawsze pierwszy odwracał wzrok. Dziewczyna na scenie miała na sobie jedynie kowbojski kapelusz i spędzała dużo czasu spoglądając na publiczność spomiędzy własnych nóg.

- Jakim cudem nie spada jej kapelusz? - Jack spytał Rooneya.

Minęło co najmniej pięć minut, dziewczyna skończyła swój występ, a Rooney odwrócił się do Jacka, nieobecny i przygaszony.

- Co mówiłeś?

- Nieważne.

- Więc?

Jack wiedział, że Rooney chce, aby ocenił dziewczynę w skali od jednego do piętnastu.

- Nie ma wycucia ironii i nie umie tańczyć.

Rooney popatrzył uważnie na Jacka, wzruszył ramionami i zamówił więcej piwa. Kiedy czekali, aż je przyniosą, Jack opowiedział mu o spotkaniu z Nicholasem Chadbourne'em.

- Jasne - powiedział Rooney - w Chicago jest mnóstwo ćpunów. Co w tym nowego? - szczupła kelnerka w stroju topless przyniosła do ich stolika dwie butelki piwa. - To kwestia okolicy. Każda dzielnica specjalizuje się w jakimś narkotyku, jak w etnicznym żarciu, więc jeśli jesteś na South Side... Hej! Pojęcia nie masz, stary!

Rooney nagle zorientował się, że Jack nie słucha i wpatruje się



uważnie w odsłonięte plecy kelnerki.

- Za chuda - orzekł Rooney. - Masz proste gusta, kolego. Zresztą, znam ją. Dziewczyna z Pilsen. Była tu tancerką, ale zdjęli ją ze sceny, bo za mocno schudła i zaczęła niezdrowo wyglądać.

- Ma tatuaż - powiedział Jack. - Na ramieniu. - Rooney zmrużył oczy. - Możesz ją tu zawołać?

Rooney skinął na tęgiego managera. - To będzie kosztować. Masz dwie dychy? - poprosił managera, aby przysłał kelnerkę z powrotem do ich stolika. Kiedy wróciła, Rooney położył pieniądze na stole, ale przytrzymał je tłustym palcem.

- Wybacz, kochanie, zapomnieliśmy o twoim napiwku. Może usiądziesz na chwilę?

Kobieta wyglądała, jakby to pytanie sprawiło jej ulgę. Oznaczało, że może dać odpocząć nogom i ma pozwolenie na wypicie kieliszka „szampana” przyniesionego przez inną kelnerkę w ciągu kilku sekund. Sok pomarańczowy i woda gazowana, piętnaście dolarów za dziesięć minut.

Kobieta skrzyżowała nogi i udawała, że pije swojego drinka. Miała na sobie zwykłe, czarne pończochy, upiorne, lakierowane szpilki, obcisłe, czarne, satynowe szorty i nic poza kołnierzykiem. Jej blond włosy ścięte były na pazia, ale widać było czarne odrosty. Miała ten typowy, chicagowski wygląd osoby wysmaganej wiatrem, a jej zęby wydawały się nieco za duże w stosunku do ust. Na kieliszku, z którego piła, został ślad czerwonej szminki. Jej małe piersi były rozczarowująco obwisłe, a Jack zauważył także, pomimo stłumionego

światła w klubie, wyraźne żyły w stawie łokciowym i ślady po igłach, jak wysypka. Uśmiechnęła się z lekką irytacją.

- Cindy? Masz na imię Cindy, zgadza się? - spytał Rooney.

- Terri.

- Tak. Wiedziałem, że coś koło tego. Jak się miewasz, Terri?

- W porządku - spojrzała nerwowo na Jacka.

- To jest Jack. Jest kimś w rodzaju badacza szlachetnej sztuki tatuazu i nie mógł nie zauważyć tego świstaka na twoich plecach.

Terri mimowolnie dotknęła swojego ramienia.

- Tak?

- Znałaś człowieka o nazwisku Tim Chambers? - spytał ją Jack.

Rooney uderzył dłońmi w stół. - Jack, brzmisz jak pieprzony gliniarz! Jak sądzisz, Terri? Czy mój kolega nie zabrzmiał jak gliniarz?

- Tak jakby - poruszyła się niespokojnie. - Ma zabawny akcent.

- Nie jest zabawny, tylko brytyjski. Co to jest? Ten tatuaz znaczy. To błyskawica, zgadza się? Kolory spektrum. Naprawdę ładny. Niezwykły.

Jack podjął następną próbę.

- Tim Chambers miał koło sześćdziesiątki, grzywę białych włosów i...

- Mój kolega mówi, że ten facet lubił tatuować swoje damy. Kto wie? - Rooney postukał palcami w rachunek na dwadzieścia dolarów.

- Może to mu w czymś pomoże. Weź swój napiwek, kochanie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Wzięła pieniądze, złożyła je i

wetknęła do maleńkiej kieszonki w szortach.

- Nie, ten facet był znacznie młodszy. Głowa wygolona po bokach i długie włosy na czubku. Miał taki sam tatuaż i zapłacił mi dodatkowo, żebym dała sobie taki zrobić. Chciał tylko tego. To był ćpun. No i co? I tak chciałam mieć tatuaż.

- Chadbourne? - powiedział Jack. - Nazywał się Nick Chadbourne?

- Do diabła, nie wiem. Jakiś ćpun z Little Village, czy skądś tam. Nawalony. Dziwny gość. Miał dziurę w głowie.

- Taa - powiedział Jack. - Jest dość rozwalony.

- Nie, nie to miałam na myśli. Miał dziurę w głowie. O, w tym miejscu. Dotknęła swojej głowy z boku, tuż powyżej ucha. - Odsunął włosy i pokazał mi. Postawicie mi następnego drinka?

\*\*\*

Następnego ranka Jack zadzwonił do swojego biura. Czuł, że to pilne. Złapał panią Price w ostatniej chwili, właśnie miała wychodzić. Wziął głęboki wdech i powiedział: - Pani Price, chcę z panią porozmawiać o sprawie Birtlesa.

- Tak?

- Pani Price, zaszła pomyłka. To znaczy, ja się pomyliłem. Chcę, aby przeprosiła pani sąd i powiedziała, że popełniłem błąd, a Birtles mówi prawdę. Dokumenty nie zostały dostarczone w odpowiedni sposób.

- Cóż, tak podejrzewałam. Tak więc, aby upewnić się, że sprawiedliwości stało się zadość, przygotowałam kopie dokumentów i

poszłam do tego okropnego miejsca, gdzie spędza czas na picciu. Do Haunch of Venison. Zamówiłam duży gin i czekałam, aż ten łobuz przyjdzie. Oczywiście nie spodziewał się starszej pani, więc dokumenty zostały dostarczone we właściwy sposób. I tyle. Może więc pan o tym zapomnieć.

- Pani Price - powiedział Jack. - Pani Price, czy mówiłem pani, że panią kocham?

- Naprawdę, nie ma o czym mówić, kiedy pan wraca?

\*\*\*

- Przyłożył ci, co? - powiedziała Louise tamtego wieczoru.

- Co?

- To, co Nicholas powiedział o twoim picciu. Naprawdę cię to ruszyło. - Louise i Jack jechali do kina. Dory była zachwycona, że może zająć się Billym.

- Dla kogoś takiego nie mam nic prócz pogardy - odparł Jack. - Próbowałem sprawić, abym poczuł się jak on, jakbym był jednym z *nich*.

- Nie jesteś.

- Czy jest jakaś różnica między narkomanem a alkoholikiem?

- Jest różnica między *tobą* a *nim*.

- Jest jeszcze jedna rzecz, za którą go nienawidzę. Ma coś, czego ja desperacko pragnę, ale wiem, że nigdy nie będę tego miał.

Oboje patrzyli tępo na drogę przed sobą. Po chwili zdjęła rękę z kierownicy i ścisnęła go za ramię.

- Wiem - powiedziała. - Wiem.

Film nie był najlepszy. W połowie projekcji Jacka zaczęła boleć

głowa. Za obrazami na ekranie widział błyszczące, opalizujące krople, jakby taśma w projektorze lada chwila miała się stopić lub zapalić. Przeprosił i poszedł do toalety. Zamiast wrócić na miejsce, usiadł w pustym holu, sączył kawę i ocierał krople potu z czoła. Louise wyszła sprawdzić, co się z nim dzieje.

- Wracaj. Nie chciałem cię martwić.

- E tam. Ten film jest do niczego. Chodźmy do baru.

Znaleźli więc bar, a po kilku piwach poczuł się lepiej. Siedzieli na stołkach, patrzyli na siebie i stykali się kolanami. Z głowami wspartymi na dłoniach, z łokciami na barze, wyglądali niemal jak lustrzane odbicie. Rozmawiali o dzieciństwie. Barman, czy ktoś, kto ich obserwował, mógłby pomyśleć, że są kochankami.

## TRZYDZIESTY SZÓSTY

Jack kazał taksówkarzowi czekać. Zacinający wiatr smagał opustoszałą ulicę, a on długo musiał przyciskać guzik domofonu. Wyglądało na to, że Chadbourne nie miał zamiaru go wpuścić, ale Jack się uparł. Wreszcie odezwał się brzęczyk i Jack wspiał się po zawilgoconych schodach. Potem musiał jeszcze walić do drzwi mieszkania na trzecim piętrze.

W pokoju czuć było kwaśny, ostry odór niedawno palonych prochów. I dodatkowy zapach, wilka.

- Przyniosłeś forszę? - powiedział Chadbourne.

- Kiedy powiesz mi to, co muszę wiedzieć.

- Nie ma forsy, nie ma gadania. Pokaż mi kasę. - Chadbourne był pod wpływem narkotyków. Źrenice jego oczu zwężyły się do wielkości obsydianowych łebków od szpilek i miał oczopląs. Głos mu się załamywał, jakby w gardle miał gulę. Przestrzenie między zgłoskami pełne były znaczeń. Chadbourne kołysał się i rozdrapywał nagi tors.

Jack pokazał mu zwitek banknotów.

- Nie dostaniesz ich, dopóki nie usłyszę całej historii - usiadł na sofie, rozluźniony i zadowolony, pokazując, że nie da się zbić z tropu.

- Były gliniarz chce historii? Naturalnie Natalie. Jej historii. Nadrzędnej historii, o tym, jak wysoko możesz zajść? Ho. Krzycz, jak zobaczysz igłę, Jack. Uważaj. Heh, heh, nie usiądź na wilku.

- Tak. Wilk.

Chadbourne zachichotał, wyciągając żółty od nikotyny palec.

- O nim wiesz, *uno*, nic; *due*, wszystko; *tre*, idź! *Auribus teneo lupum*, to jest dopiero jazda. Stara baśń o starym wilku, strasznym wilku, skurwielu wilku.

- Nigdy nie widziałeś Indygo, prawda, Nick? Nigdy tam nie byłeś. Odstawiony na boczny tor, zgadza się? Wystraszyłeś się wilka.

- Wal się, Jack. Miałem całą świętą dziurę. Piekielne, święte oko. Wewnątrz jestem uświęcony.

- Jasne. Pokaż mi tę dziurę w głowie. Tę, którą pokazujesz dziewczynom.

Chadbourne stracił pewność siebie, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Natalie odeszła. Jest tylko *lupus*. Czyste Indygo. Tańczy rumbę Indygo w San Callisto.

- San Callisto? Co to takiego?

- *Ospedale*, stary. Za białymi murami. Ale nie możesz jej zobaczyć. Nikt nie może.

- Co to jest San Callisto? - spróbował ponownie Jack.

- Było nas czworo, ja, Anna Maria, naturalnie Natalie, i jeszcze ktoś. Potem było wole oko. Powiedz mi coś stary, pieprzysz swoją siostrę?

- Opowiedz mi o Natalie.

- Teraz trzymam wilka za uszy, prawda? Za uszy. Mam wilka za uszami.

Chadbournie nie mógł się skoncentrować, a Jack czuł, że zaraz zrobi mu krzywdę. Stracił cierpliwość i podniósł się do wyjścia, ale Chadbourne rzucił się na niego i złapał za ramię.

- Forsa! Obiecałeś mi forszę!

Jack przysunął pieniądze bardzo blisko ucha Chadbourne'a i wtedy zobaczył wgłębienie w jego czaszce.

- Wiesz co? - wyszeptał Jack. - Naprawdę dobrze przyjrzałem się Billy'emu, i ani trochę nie jest do ciebie podobny. Nie ma dziury w czaszce. Nie ma zaćpanych oczu. Nie sądzę, aby był twoim dzieckiem.

- Kasa! - krzyknął za nim Chadbourne.

- Powiedz mi coś, *stary*. Ziejesz oddechem na swojego synka? Opowiadasz mu trujące historie? Wycierasz ślinę z jego małej buzi po tym, jak go pocałujesz?

- Kasa! - wrzeszczał Chadbourne, goniąc Jacka po cuchnących schodach. - Kasa!

Taksówka wciąż czekała. Chadbourne drobił tuż za Jackiem, wrzeszcząc mu do ucha. - Kasa! - Wreszcie Jack się do niego odwrócił i wcisnął zwitek banknotów w jego rękę.

- Masz! Spraw sobie złoty strzał. No dalej. Weź jeszcze kilka dolarów. Pamiętaj, porządnie daj sobie w żyłę. Za twojego małego synka.

Chadbournie zacisnął palce na pieniądzach, wyrzucając z siebie przekleństwa. Jack odsunął go od samochodu i wsiadł.

- Jedźmy - powiedział do kierowcy.



- Już mnie tu nie ma - odparł taksówkarz.

Jack obejrzał się przez ramię. Chadbourne był blednącym cieniem, jego usta nadal się poruszały, słowa porywał wiatr.

\*\*\*

- Masz wiele tajemnic, co? - Dory pracowała nad swoją kapą. Trzymała robótkę bardzo blisko oczu, ostrożnie i z niezwykłym skupieniem przeciągając igłę. Jack wrócił po bezowocnej wizycie u Chadbourne'a i przekonał się, że Louise wyszła z przyjacielem, a Dory pilnuje dziecka. Wspaniałomyślnie przygotowała dla niego kolację, a Jack żałował, że to zrobiła. - Smakuje ci casserole<sup>22</sup>?

- Jest bardzo dobre.

- Tajemnice cię zaduszą. Może po prostu wyrzucisz je z siebie?

- To nasza cecha narodowa. Chowamy się za formami. Zniechęcamy dobrymi manierami.

- Gdzie dzisiaj byłeś?

- Wypiłem kilka piw z przyjacielem, nazywa się Rooney. Poszliśmy do klubu i patrzyliśmy na gołe dziewczyny.

- Brzmi dość głupio.

- Zdarzało mi się bawić lepiej.

- Louise naprawdę się angażuje, Jack. To wstyd. Ty i ona jesteście spokrewnieni i w ogóle. - Dory podczas tej wymiany zdań nie odrywała wzroku od pracy. Oznaczało to, że Jack może się w nią wpatrywać. Wiedział jednak, że zerka na niego kątem oka.

- Tak. To przykre.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mrugnęłabym okiem. Ale ja jestem,

---

<sup>22</sup> Casserole - jednogarnkowe danie z kurczakiem i warzywami

kurde, jakie to słowo? - odłożyła igłę i spojrzała na niego.

- Nieortodoksyjna?

- Jeśli będę chciała zapalić fajkę, to ją zapalę.

- Ale ty nie palisz fajki, Dory.

- Tylko dlatego, że *nie chcę* palić. - Jack zmusił się do przełknięcia kolejnego widelca szarego casseroles, wciąż na nią patrząc. Co to było - pozwolenie matki na popełnienie kazirodztwa z córką? - Miałam dość tajemnic, kiedy byłam z tym draniem. Nigdy nie wiedziałam, co zamierzał, ani co myślał. Dlaczego myślał to, co myślał. W gruncie rzeczy, jeśli już coś powiedział, to prawdopodobnie tylko po to, aby manipulować człowiekiem w taki czy inny sposób. Uważam, że tajemnice to przeciwieństwo porozumienia. Więc jeżeli chcesz się z kimś naprawdę porozumieć, to musisz się pozbyć swoich tajemnic.

Jack zaczął się zastanawiać, jakie tajemnice mogłyby go oddzielić od Louise.

- Ale ja nie mam żadnych tajemnic. W każdym razie żadnych wielkich.

Dory włożyła nitkę w zęby i przegryzła ją.

- Kotku, ty jesteś chodzącą tajemnicą.

Wróciła Louise, zarumieniona po kilku piwach. Dory odgrzała casseroles i postawiła je przed Louise, która tylko spróbowała i odsunęła je z niesmakiem.

- Mamo, to jest świństwo.

- Wiem o tym - odparła Dory.

\*\*\*

Następnego ranka Jack zadzwonił do włoskiej agencji w San Giovanni. Rozmawiał z Giną, młodą kobietą, która pomogła mu poprzednio. Pamiętała go.

- Chce pan dowiedzieć się czegoś o katakumbach San Callisto? - spytała go.

- Nie, nie o katakumbach. O jakimś innym miejscu w Rzymie lub okolicach, które nosi nazwę San Callisto.

Po godzinie Gina oddzwoniła i podała mu krótką listę.

- Dziękuję pani - powiedział, zanim odłożył słuchawkę.

Tego wieczoru Louise odebrała telefon z komisariatu policji. Musiała odpowiedzieć na kilka pytań: Czy zna Nicholasa Chadbourne'a? W jaki sposób są spokrewnieni? Jest matką jego dziecka? Czy nadal są razem? Czy widziała się z nim w ostatnim czasie?

Musiała iść. Czy Jack pójdzie z nią? Czy Dory zostanie z Billym? Wszystko wyjaśni im później. Pojechała z Jackiem do kostnicy, gdzie czekał na nich młody policjant. Oko mu łzawiło i przyciskał do niego chusteczkę. Kiedy Louise poszła zidentyfikować ciało, Jack zrobił jakąś uwagę o urazie.

- Bawiłem się z córką zanim poszedłem do pracy - powiedział policjant. - Patrzyłem w kalejdoskop, a ona uderzyła z drugiej strony.

Jack poszedł za Louise. Kompletnie łysy pracownik otworzył wysuwaną szufladę. Światło nad głowami odbijało się w jego łysinie.

- Właściciel domu znalazł go na klatce schodowej przed jego

mieszkaniami - powiedział policjant. - Leżał tam kilka godzin. Zajrzeliśmy do mieszkania i znaleźliśmy tam pani numer telefonu. To w sumie wszystko. Ewidentnie był uzależniony. Możesz go schować, Geoff.

Patolog przyłożył palec do ucha Chadbourne'a.

- Tu jest niezwykła rana. Nie jest świeża, ale czy coś państwo o tym wiedzą?

Louise potrząsnęła głową przecząco.

- Chodźmy - powiedział Jack, prowadząc ją na zewnątrz. Przynajmniej Chadbourne nie będzie już od niej wyciągał pieniędzy. Wziął sobie do serca radę Jacka i naprawdę wykonał złoty strzał.

## TRZYDZIESTY SIÓDMY

Podczas przygotowań oka do tej ekscytującej podróży, większość ludzi próbujących zgłębić sztukę widzenia, traci opanowanie. Dochodzą tak daleko, podróżują z wiarą, mają wysokie oczekiwania, a rezygnują z powodu bezsensownych przesądów, albo przejawiają małostkowe opory. To znaczy, że postanowienie było zbyt słabe.

Innym wystarczy kilka sekund w cudownym świetle Indygo i to oni muszą iść dalej. Nie będą czekać przez kolejny rok na następną możliwość, nie wystarczy im taka, czy inna lokalizacja geograficzna bądź architektoniczna. To zbyt ograniczające. Warunkiem powrotu Indygo jest wyjący wilk.

Ci, którzy z wiarą podążali za programem, widują zdumiewające rzeczy, niecierpliwiają się, chcą zakończyć proces, ale nie pozwolą sobie na niedokładność. Drzwi zostały otwarte, a teraz trzeba je zablokować. Nie mam wpływu na to, że nieskończoność jest niedostępna dla potulnych i bojaźliwych.

Dokonałem tego, inni także. Ty też możesz.

Przygotowania oka same w sobie są nieco bolesne, ale całkowicie bezpieczne, o ile dokładnie zastosujesz się do moich instrukcji. Sądząc z dowodów kopalnych, podobne eksperymenty przeprowadzano już w neolicie. Współcześnie jest to praktykowane w wielu krajach trzeciego świata jako alternatywa wobec źle funkcjonującej nowoczesnej medycyny. Niegdyś radzono sobie ze

złamaniami, konwulsjami, naporem płynów ustrojowych i krwi poprzez jej upuszczanie, co obniżało ciśnienie. My jesteśmy bardziej obeznani z różnymi dolegliwościami i potrafimy je okiełznać, operacja ma wprowadzić określone siły do wewnątrz.

Rzecz w tym, aby stworzyć oko tak małe, tak starannie wykonane i efektywne, jak to tylko możliwe. Po kilku dniach drażniącego dyskomfortu ledwie odczuwałem uciążliwość światła ze względu na krótki czas jego oddziaływania, a i tych niedogodności można łatwo unikać. Tatuowanie i body piercing<sup>23</sup> bywają bardziej bolesne. Ten mały dysk zatrzymałem, wywierciłem w nim otwór i noszę na szyi jako talizman. Być może chciałbyś zrobić to samo.

Operacja zakłada przejście światła przez właściwy płat skroniowy mózgu, przez arterię, która w wypadku uszkodzenia może indukować epilepsję i inne komplikacje. Ale nie wolno ci się tego obawiać, jeżeli wszystkie moje wcześniejsze instrukcje zostały dokładnie wypełnione, a ta operacja zostanie przeprowadzona z należytą uwagą, wówczas cuda pałacu Indygo staną przed tobą otworem. Nie będziesz więcej uzależniony od czasu, miejsca, kalendarza, ani geografii. Niewidzialność będzie twoja, a wspaniały blask światła Indygo opromieni twoje dni. Gwarantuję to.

Znasz Dantego? Przeczytaj *Boska Komedię*, *Czyśćciec*, Pieśń VIII, wersy od 19 do 21:

*Czytelniku, naucz się patrzeć: tym razem prawda*

*Ukryta jest za najciemszą mgłą, i teraz*

---

<sup>23</sup> Body piercing (ang.) - kolczykowanie, przekłuwanie ciała

*Znaczenie powinno być jasne nawet dla ciebie.*

Od wielu lat mam dostęp do wspaniałości Indygo. Dopiero teraz czuję, że jestem gotów zakończyć przejście. Wkroczę w Indygo po raz ostatni, ale przedtem upewnię się, że manuskrypt trafi do tych, którzy zechcą za mną podążać. Czy zobaczymy się po drugiej stronie? To wyłącznie twoja decyzja. Tylko ty możesz powiedzieć za siebie, *auribus teneo lupum*, trzymam wilka za uszy.

Proces powinien być przeprowadzony dokładnie według poniższych wskazówek:

## TRZYDZIESTY ÓSMY

**OSPEDALE SAN CALLISTO, RZYM, 31 PAŹDZIERNIKA 1997**

Po tym, jak prawdziwa Natalie Shearer zadeklarowała swoją niewidzialność w solarium na oddziale psychiatrycznym, po prostu wróciła na swój bujany fotel i zapatrzyła się w wychodzące na południe okno. Nie odpowiadała już na żadne pytania.

- Co chciałaś powiedzieć przez to, że jesteś w Indygo? - spróbował Jack.

Natalie postukała palcami w udo i zignorowała go. Wydawało się, że nawet go nie słyszy. Louise zadrżała. Jack spojrzał na nią i wskazał drzwi. Kiedy wychodzili, Natalie odwróciła się do nich i powiedziała:

- Powiedzcie proszę Timowi, że czekałam.

Usiedli w gustownym holu, odrętwiali po spotkaniu. Odnalezienie prawdziwej Natalie Shearer nie było trudne. Kiedy Jackowi udało się potwierdzić, że w Ospedale San Callisto przebywa młoda Angielka, postanowił wrócić do Rzymu, a Louise nalegała, że pojedzie z nim. Dory zgodziła się zostać w mieszkaniu Louise w Chicago i zająć się Billym.

- Biedna dziewczyna - powiedziała Louise, kiedy czekali. - Jest wstrząsająca. O co jej chodziło, kiedy powiedziała, że jesteśmy przemoczeni Indygo?



Jack wzruszył ramionami, ale wiedział. Wrócił włoski lekarz w skrzypiących butach, gotów odprowadzić ich na zewnątrz. Pod pachą niósł akta.

- Nie wiemy, jak się tutaj znalazła - powiedział Jack, kiedy wracali korytarzem.

Lekarz zajrzał do teczki.

- Została przeniesiona z prywatnego szpitala.

- Czy możemy się dowiedzieć, kto przedtem płacił? - chciała wiedzieć Louise.

- To możliwe - pociągnięcie nosem.

- Czy to skutek trepanacji? - spytał Jack.

- Tak sędzę. Jakiś chirurg amator wszedł pod kątem i udało mu się uszkodzić zarówno płaty potyliczne, jak i skroniowe. To spore osiągnięcie. Czaszka to zniesie, ale jak możecie sobie wyobrazić, jej wnętrze jest wrażliwe, a ten amator zdołał nakłuć zarówno substancję szarą, jak i białą. Nie do końca wiemy, jakie nastąpiły uszkodzenia, ale cierpiała straszliwy ból i możliwe, że te urojenia są spowodowane traumą związaną właśnie z bólem. Nie wiemy przecież, czy wcześniej cierpiała na jakieś psychozy.

- Czy bywa gwałtowna?

- Raczej nie. To miła dziewczyna. Po prostu sądzi, że jest niewidzialna. Ona i jej wilk. Pieniądze, o których wspomnieliście, pozwolą na dokładniejsze badania, lepsze leki i doskonałą opiekę - wzruszył ramionami.

Jack podał mu rękę. Lekarz patrzył na nią przez chwilę, jakby

badał, czy nie ma na niej jakiegoś wirusa; potem ujął ją niepewnie, zanim odwrócił się do Louise. Odprowadził ich do recepcji przez niekończący się korytarz, jego buty znów poskrzypywały, jakby mamrotały coś cicho do marmurowej posadzki.

- Przy okazji - zapytał. - Nie znacie przypadkiem nazwiska tego chirurga amatora?

- Nie - odparł Jack.

- Pani też nie? - zwrócił się do Louise.

- Nie.

Jack i Louise w milczeniu opuścili budynek. Milczeli nadal idąc cyprysową aleją, między trującymi, przypominającymi pazury korzeniami. Wtedy Jack wyszeptał:

- Chirurg amator.

- Myślisz - powiedziała Louise - że to jego robota.

\*\*\*

- On umarł, prawda, Louise? - powiedział Jack. - Nie wystrychnął wszystkich na dudka, co? - Jack zabrał Louise do świątyni Mitry pod kościołem św. Klemensa. Chciał, aby zobaczyła, co Natalie - a raczej fałszywa Natalie - pokazała mu w ostatnim, wspólnie spędzonym dniu.

- Już to przerobiliśmy - powiedziała twardo. - Był tak martwy, jak tylko się da. Wszystko nadzorowałam. Nawet kremację. Widziałam jego ciało w ogniu.

- To dlatego, że Natalie w szpitalu wydaje się na niego czekać.

- No to będzie długo czekać.

- Sam nie wiem. Spędziłem za dużo czasu nad tą jego książką. Ciągle się zastanawiam czy jednak znalazł sposób, aby stać się niewidzialnym, albo wyjść ze swojego ciała?

- Czytaj ją dalej, a wylądujesz tam, skąd właśnie wyszliśmy. - Louise przyglądała się ołtarzowi Mitry i rzeźbie boga poskramiającego byka. - Powiem ci coś o kremacji. Zawsze mi powtarzał, że kiedy umrze, chce być pogrzebany według hinduskich obrzędów. W rytuale pogrzebowym w wejściu do świątyni stawia się mosiężny talerz z mąką. Odchodzący duch powinien zostawić znak na mące oznaczający, że opuścił ten padół. Później obejrzałam talerz, oczywiście bardzo sceptycznie. Na mące był trójkąt przedzielony na dwie części pojedynczą, pionową linią. Jak myślisz, co to znaczy?

\*\*\*

Alfredo był przejęty wizytą Jacka i Louise w jego biurze, tym bardziej, że Louise nie uprzedziła go wcześniej o przyjeździe do Rzymu. Posłał po ciasteczka, kazał sekretarce zaparzyć świeżej kawy i przedstawił ich swoim kolegom jako „przyjaciół z Ameryki”. Louise podziwiała stojące na biurku zdjęcia żony i trójki dzieci. Alfredo zarumienił się z dumy i udawał, że nie dostrzega ironii.

- Mam ofertę na kupno domu - powiedział, przystępując wreszcie do interesów.

- Tak - powiedział Jack - i zaraz nam powiesz, że to bardzo niekorzystna oferta.

- Zgadza się! *Bardzo* niekorzystna. Skąd wiesz?

- I została złożona przez Angielkę.

- Oferta przyszła mailem. Właściwie nigdy nie widziałem tej kobiety - wyciągnął teczkę. - Tutaj. Sarah Buchanan. Brzmi angielsko - zdjął okulary i spojrzał na Louise. - Louise? O co tu chodzi?

Powiedzieli mu, że Sarah Buchanan prawie na pewno podaje się za Natalie Shearer; a prawdziwa Natalie Shearer przebywa na oddziale psychiatrycznym Ospedale San Callisto, jakkolwiek „niewidzialna” i z niewielkimi szansami na poprawę. Niska oferta od Sarah Buchanan wynika stąd, że chce dostać dom i pieniądze przeznaczone dla Natalie Shearer.

Alfredo doniósł, że jacyś ludzie cały czas mieszkają w domu. Kiedy Jack ostatnio wyjeżdżał z Rzymu powiedział mu, aby nic nie robił. Teraz Alfredo chciał sprowadzić policję. Już miał wypaść z biura, czerwony na twarzy, gotów wtargnąć do domu z oddziałem kawalerii. Jack poprosił, aby jeszcze się wstrzymał.

Zamiast tego pojechali tam sami. Drzwi nie były zamknięte na klucz, jak zwykle, ale w środku nie było śladu ludzkiej obecności. Dom był cichy, jednak panował w nim nieład, a dzicy lokatorzy nie zadali sobie trudu, aby ukryć swoją obecność. W zlewie piętrzyła się góra brudnych naczyń; po kuchni walały się butelki po winie; na fotelach poniewierały się resztki jedzenia.

Louise i Jack posprząтали razem. Wrzucili ubrania, butelki, gazety i książki do czarnych, plastikowych toreb na śmieci, których zbierało się aż siedem.

- Nie wierzę - jęknął Jack. - Wyżłopali całe wino! Została jedna butelka!

- Otwórz ją - zaproponowała Louise.

Jednak Jack wstawił ją do szafki.

- Wiesz, Louise, lepiej, żeby cię tu nie było.

- A jeśli nie przyjdzie?

- Zadzwoń po taksówkę i jedź do hotelu - powiedział Jack. - Chciałbym to zrobić sam - ich oczy się spotkały. - Naprawdę. To dość osobiste.

\*\*\*

Jack został w domu i czekał. Louise wyszła, ale wcale nie pojechała do hotelu. Udała się do *centro storico*<sup>24</sup>, przemierzała brukowane uliczki, gdzie warsztaty motocyklowe sąsiadowały z drogimi, modnymi butikami i gdzie szykowne dziewczyny flirtowały z chłopcami w pokrytych smarem kombinezonach. Louise nie mogła nacieszyć się Rzymem; zwłaszcza po tym, jak Dory jej powiedziała, że właśnie w Rzymie została „zrobiona”.

- Zrobiona? Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Louise.

- A jak ci się do diabła wydaje? Zostałaś poczęta w Rzymie, to chcę powiedzieć.

Dory opowiadała jej o Rzymie tej nocy, kiedy dowiedzieli się o śmierci Nicka Chadbourne’a. Wtedy, po raz pierwszy w życiu, Dory mówiła otwarcie i szczerze o Timie Chambersie.

- Powiem wam, dlaczego byłam tak źle nastawiona do Jacka - wyrzuciła z siebie. - Twój ojciec lata temu powiedział coś, co zapadło mi głęboko w pamięć. Chciałam od niego odejść, ale on twierdził, że brak mi siły. Powiedziałam, że zabieram cię ze sobą, choćby się

---

<sup>24</sup> Centro storico (wł.) - centrum historyczne

waliło i paliło, ale na nim nie zrobiło to żadnego wrażenia, co zresztą powiedział. Chętnie się, że jeśli zechce, wyda cię za męża za swojego syna, którego ma w Anglii. Louise, wtedy po raz pierwszy usłyszałam, że ma syna.

- To dlatego nie chciałaś, abym jechała z Jackiem do Rzymu?

- Z tego i innego powodu. - Dory przerwała. - Och, pouczałam Jacka, że tajemnice to nic dobrego, a sama nigdy nie powiedziałam ci tylu rzeczy. Kiedy pierwszy raz spotkałam Chambersa, byłam olśniona. Zaślepiąca. A jednak udało mi się przed nim ukryć mój stan zdrowia, przynajmniej do czasu, kiedy - już po ślubie - mieszkaliśmy w Rzymie. Cierpię na epilepsję psychomotoryczną. Zazwyczaj nie miewałam konwulsji, ale czułam *aure*, zawroty głowy, dziwne sensacje, zapachy, kolory, światła. Najczęściej manifestowało się to przypadkowym, cóż, mimowolnym orgazmem, tak pewnie można by to nazwać. Nie patrzcie na mnie w taki sposób - to nie było takie zabawne, jak wam się wydaje. Ataki mnie wyłączały, nagle i bez ostrzeżenia gdziekolwiek byłam, cokolwiek robiłam. Cholernie trudno było to ukryć. Cały czas biorę carbamazepinę<sup>25</sup> i jakoś z tym żyję.

- Dowiedział się w Rzymie. Byliśmy w Panteonie, patrzyliśmy w górę na ten otwór, i nagle łup! Koniec z ukrywaniem. Twój ojciec był zdumiony - kto nie byłby w takiej sytuacji? Łkałam i łkałam - myślałam, że mnie zostawi. Ale on był zafascynowany.

- Powiedziałam mu, że widzę dziwne kolory, a on chciał, abym je opisywała, opisywała, opisywała. Kiedy miałam atak, widziałam

---

<sup>25</sup> Carbamazepina - lek psychotropowy, przeciwpadaczkowy

ośniewające światło i kolory, na języku czułam smak, którego nie potrafiłam nazwać. Chyba tylko po to, aby dał mi spokój powiedziałam: *Indygo! To Indygo!*

- To stało się jego obsesją. Szukał wszelkich medycznych szczegółów. W prawym płacie skroniowym mózgu mam zdeformowaną, pękniętą arterię, stąd to wszystko. Z carbamazepiną funkcjonuję zupełnie dobrze, ale twój ojciec miał obsesję, chciał wiedzieć, w jaki sposób *wywołać* ten stan. Nie życzę tego nikomu. Przy każdym ataku byłam *przerażona*.

- Och, mamó - powiedziała Louise. - Dlaczego tak długo nic nie mówiłaś?

- Kochanie - odparła Dory, chcąc zamknąć temat - a czy ty mówisz mi wszystko?

\*\*\*

Louise chodziła po brukowanych uliczkach i rozmyślała o wyznaniu Dory. W Piazza Navona usiadła w pobliżu fontanny i owinęła się płaszczem. Na skwer miękko jak fiołkowa przyprawa opadał zmierzch, a plac wypełnił się parami kochanków krążących od fontanny do fontanny. Białe marmur wewnątrz podświetlonych basenów filtrował światło zmierzchu i przybierał niezwykły odcień; iglice kościoła św. Agnieszki dziurawiły niebo, jakby próbowały ściągnąć więcej fiołkowego pudru.

Posągi dłuta Berniniego wyrzucały wodę ze spiralnych rogów, jej plusk mieszał się z niewyraźnym pomrukiem w tle, natrętnym i monotonnym. Pomruk zdawał się mówić: *IndygoIndygoIndygo*.

## TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy tego wieczoru Sarah Buchanan i jej pasażer tuż przed północą zaparkowali przed domem, nie musieli wyłączać silnika Vespy, aby usłyszeć bardzo głośną, operową muzykę. Oczywiście kontralt Ferrier w Orfeuszu. Sarah wyłączyła światła, zsiadła ze skutera i spojrzała na swojego włoskiego chłopca. Zaciągnął się skrętem i rzucił niedopałek na ziemię. Buchanan spojrzała na żarzącą się końcówkę skręta, jakby groził eksplozją.

Drzwi stały otworem. Weszli na kamienne schody, aby się rozejrzeć. W holu płonął tuzin świec, ich płomienie drżały w przeciągu. Przechodząc ostrożnie przez dom, znaleźli całe masy palących się świec; w salonie, w kuchni, na każdym stopniu schodów. Chłopiec pstryknął wyłącznikiem światła. Nie działał. Spróbował z kolejnym. To samo.

- Ktoś powykręcał żarówki - powiedział. - Chambers?

Sarah przyłożyła palec do ust i zajrzała do czarnej kabiny pod schodami. Włączona lampa rozsiewała drżące, ultrafioletowe światło na resztę domu. Zalany jego fioletowym blaskiem chłopiec zbadał salon, natykając się tam na manekina. Głowa, pozbawiona ciemnych okularów i beretu, została zdjęta z ramion i leżała na podłodze. Chłopiec ostrożnie, z przesadnym niemal lękiem, umieścił ją na swoim miejscu i powrócił do poszukiwań. Sarah była już w połowie drogi na górę, więc poszedł za nią.



Dotknęła wyłącznika światła w jednej z sypialni, ale wyglądało na to, że ktoś usunął wszystkie żarówki w domu.

- Wracaj na dół i wyłącz tę pieprzoną muzykę - syknęła, zanim weszła do sypialni.

Chłopiec zawahał się na szczycie schodów, jakby wyczuł coś złego. Usłyszał nagły hałas, jakby trzepot poły płaszcza, potem mocne pchnięcie w plecy sprawiło, że runął ze schodów. Wylądował ciężko, uderzając głową o posadzkę. Kwiląc jak dziecko czołgał się po podłodze. Zanim Sarah pojawiła się na schodach, dźwignął się na nogi. Wciąż kwiląc, trzymał ramię sztywno przy boku i obmacywał głowę. Wymamrotał coś po włosku.

- *Vattene!* - syknęła. - Wynoś się stąd! Jesteś bezużyteczny!

Zaprotestował.

- *Vattene! Vattene!*

Chłopiec pokuśtykał do drzwi. Chwilę później Vespa na zewnątrz ożyła, zostawiając za sobą cichnący wizg.

- Nie ma go - oznajmiła domowi. - Pozbyłam się go. Tego właśnie chciałeś, zgadza się?

Usiadła na schodach.

- Możesz się pokazać - powiedziała łagodniej.

Cisza się przeciągała. Dom skrzypiał. Poczowała podmuch na ramieniu. Jedna ze świec na górze schodów zgasła. Obejrzała się i oczy jej się rozszerzyły. Potem spojrzała twardo na manekina stojącego na schodach, tego w masce gazowej. Najwyraźniej ożył.

Jack zdjął maskę i płaszcz, jedno i drugie rzucił na podłogę.

Sarah szarpnęła swoje włosy.

- Naprawdę niepotrzebnie zepchnąłeś go ze schodów. Mogłeś go zabić.

- Wepchnął mnie do rzeki. Mógł mnie zabić.

- Jak możesz myśleć, że to ma cokolwiek wspólnego ze mną? A ten chłopiec przysiągł, że nic ci nie zrobił.

- Był zazdrosny. Pieprzyłaś go w tym samym czasie, kiedy zabawiałaś się ze mną.

- Nieprawda! - podniosła się i zrobiła krok w jego stronę. Dłonie jej drżały, a na twarzy malował się strach. - Porzuciłeś mnie! Byłam z tym chłopcem, żeby o tobie zapomnieć, Jack! Tylko dlatego! Cierpiałam!

Przez jedną wstrząsającą chwilę, przez milionową część sekundy czuł, że mógłby do niej wrócić. W uszach coś szumiało, może krew i ten zapach nagle wypełniający pokój; otaczała ją poświata, jak świetlisty szal. Mógłby się w tym zatopić. Ale powstrzymał się.

- Hej! Już miałem cię nazwać Natalie! *Natalie!*

Pognał w dół schodów, aby od niej uciec, ale biegła za nim, błagając:

- Powiedz coś! Gdzie byłeś? Co robiłeś?

- Wiesz, że to brzmi prawie przekonująco?

- Wysłuchaj mnie! Byliśmy tam, Jack. To *było* tam. Ty i ja. Pył Indygo padał z nieba wokół nas. Tylko, że nie mogłeś go dostrzec! Tak bardzo patrzyłeś, że go nie widziałeś! - przycisnęła dłonie do jego twarzy i zmusiła go, aby spojrzał jej w oczy. - Słuchaj, słuchaj,

słuchaj! Indygo było wszędzie. Kocham cię, Jack: to największa sztuczka ze wszystkich. Nie wiedziałam, co się wydarzy. Nie byłam przygotowana. Po raz pierwszy zrozumiałam, co oznacza Indygo. Widziałam je wszędzie.

- Nie ma żadnego Indygo, Sarah. Sama mi to powiedziałaś!

- Możesz sobie o mnie wygadywać te wszystkie okropne rzeczy, ale musisz uwierzyć: ono tam było, Jack. Było tam, nawet jeśli teraz go nie ma. Sam się okłamujesz, ono istnieje naprawdę.

Nie mógł się zmusić, aby na nią spojrzeć. Jego własne oczy nie były w stanie znieść płomienia Indygo w badawczym spojrzeniu Sarah.

\*\*\*

Chwilę później siedzieli i opróżniali ostatnią butelkę wina Tima Chambersa. Jack opowiedział jej o spotkaniu z prawdziwą Natalie Shearer w szpitalu psychiatrycznym i o śmierci Nicholasa Chadbourne'a w Chicago. Sarah Buchanan знаła ich wszystkich: Shearer, Chadbourne'a, Annę Marię Accurso. Było jej przykro z powodu śmierci Chadbourne'a. Zawsze miała do niego słabość.

- Byliśmy w wewnętrznym kręgu - powiedziała. - Jednak nigdy nie staliśmy się sobie specjalnie bliscy. Twój ojciec o to zadbał. Anna Maria była Włoszką, dziewczyną z wyższych sfer. Zawsze wszystko łatwo jej przychodziło. Natalie już wtedy była niestabilna. A Nick Chadbourne miał prawdziwy talent. Ale po tym wszystkim zaprzepaścił go.

- Powiesz mi, co się stało?

Wstała i dopiła wino.

- Chodź.

Sarah poprowadziła Jacka do ciemnej kabiny pod schodami i zapaliła ultrafioletowe światło. Przesunęła krzesło, zwinęła dywanik i otworzyła klapę w podłodze. Jack zajrzał w ciemność i zobaczył krótkie, drewniane schody.

- Wszystko w porządku - powiedziała ze znużeniem. - Niczego tam nie ma.

Nie do końca była to prawda. Dostrzegł ultrafioletowe światło, starą sofę i fotel oraz zniszczoną, mahoniową szafkę. Ściany były zamalowane wirującymi, abstrakcyjnymi kolorami i zapisane jakimiś zdaniem. Jack od razu dostrzegł, że Chadbourne najwyraźniej próbował odtworzyć tę piwnicę w swoim mieszkaniu w Chicago. Okienko na końcu było zamalowane od zewnątrz. Domyślił się, że wychodzi wprost na ulicę.

- Czy to właśnie w taki sposób ludzie wchodzili i wychodzili, kiedy byłem tu po raz pierwszy?

Przytaknęła.

- Jak to możliwe, że nie zauważyłem tego okna z zewnątrz?

- Jest pomalowane tak, że wygląda jak mur. Musiałbyś podejść bardzo blisko, aby dostrzec różnicę.

- Co tu się wydarzyło?

Sarah Buchanan oglądała pomalowane ściany piwnicy, obejmowała się ramionami, jakby to, co widziała, przejmowało ją chłodem. Zapewne z powodu wilgoci farba schodziła płatami.

Wyglądała jak chora skóra. - Przez rok przygotowaliśmy się do obchodów Luperkaliów. Musisz zrozumieć stan umysłu, jaki jest z tym związany. Wywoływał go koktajl z narkotyków dostarczanych przez twojego ojca, chociaż sam nigdy ich nie używał. Te psychodeliczne substancje określał mianem „entheodeliczne”. Od *theos*, czyli bóg. Mówił, że niektórzy zwyczajni ludzie muszą sami zaprosić boga do siebie. Oczywiście jego samego to nie dotyczyło; miał w sobie wystarczająco dużo *theos*, aby powalić konia. Tak czy owak, mieszanie halucynogenów z tą książką, to pewne kłopoty.

- Masz na myśli Instrukcję?

- Instrukcję Obsługi Światła. Jak powiedziałam, pracowaliśmy na to przez rok. Tego dnia Indygo miało rozświetlić świat każdego z nas. Dzień wilka. Takie tam. Nie chodziło tylko o nas: nowy kolor miał wrócić do wszechświata, a my mieliśmy go tam wpuścić. Znasz tę książkę i zapewne wiesz, jakie rzeczy *mogą* się zdarzyć. Został tylko jeden, ostatni krok.

- Nie wierzyłam w to. Tylko ja byłam sceptyczna. Inni byli zaślepieni. Nie mogłam mówić głośno o swoich wątpliwościach, ponieważ twój ojciec zwykł wygłaszać prawdziwe kazania, jeśli tylko ktokolwiek z nas zaczynał wątpić w powodzenie tego przedsięwzięcia. Wiesz, sceptycyzm podważa celowość działań.

- Mieliśmy się z nim spotkać, tu na dole, w wieczór Luperkaliów, o północy. Miał przygotować ostatni akt. Ale pojawił się mały problem. Zadzwoił, że nie może przyjść i podał nam słowo klucz, „Mitra”. To był ustalony wcześniej sygnał, musieliśmy radzić

sobie sami. Sądzę, że od początku tak to zaplanował.

- W moich wspomnieniach wszystko dzieje się w niebieskim świetle. Na szafce leżały wszystkie potrzebne narzędzia: brzytwa, środki znieczulające, środki odkażające, schemat pracy, trepan. Nigdy dotąd nie widziałam trepanu. Świder z okrągłym ostrzem do wycinania dziur w czaszce; z bolcem, żeby się nie zsunęło. Trochę jak cyrkiel.

- Byliśmy tam wszyscy, gotowi zrezygnować z tego szaleństwa - hej, zamiast tego się upijmy, to był mój pomysł - ale to Nick Chadbourne nalegał, aby kontynuować. Oświadczył, że nie będzie czekał kolejny rok na następne Luperkalia. Siedział na krześle i pytał: „No, więc kto to zrobi?”.

- Natalie była kompletnie naćpana. Kwas łykała jak witaminy; miała tyle Indygo, że już nie odróżniała cienia od światła. Anna Maria wlewała w siebie koniak, bełkocząc ni to po włosku, ni to po angielsku. Więc się zgłosiłam.

Sarah dotknęła się za uchem. - Musisz wejść tutaj, pod odpowiednim kątem. W końcu, według teorii twojego ojca, po prostu robisz wyrwę w arterii. Ogoliłam Nickowi włosy i znieczuliłam obszar działania, podczas gdy pozostała dwójka gapiała się na mnie mętными, wybałuszonymi oczami. To było zaskakująco łatwe. Musiało go boleć jak diabli, ale Nick mówił, że czuje tylko tarcie. Nie wiem, jakie prochy wziął. Krzywił się i zaciskał zęby, ale w końcu nie wycięłam pełnego dysku. Kość się rozwarstwia czy coś, i nie dostałam się do środka. Nie skończyłam oka. Stchórzyłam. Opatrzyłam ranę i

cofnęłam się. Nick wstał z fotela, wyglądał blado i był roztrzęsiony. „Okay” powiedział. „Kto następny?”.

- Właśnie wtedy zemdlałam.

- Kiedy się ocknęłam, stali wokół mnie i chichotali. Jakby to był jeden wielki dowcip: Nick miał trepanację, ale to ja zemdlałam. Natalie była gotowa na swoją kolej i czekali, że przeprowadzę drugi zabieg. Ale teraz już nie byłam w stanie.

- Natalie usiadła w fotelu. Trzęsła się. Ja odmówiłam, więc została Anna Maria. Odstawiła butelkę koniaku i podwinęła rękawy. Nie mogłam tego znieść, wyszłam z piwnicy. Kiedy wróciłam, Anna Maria właśnie wycinała idealny dysk, kawałek kości jak tabletkę aspiryny, tego samego kształtu, jak to, co twój stary nosił na szyi, ale Natalie straciła przytomność. Podeszłam, aby obejrzeć ranę. Krwawiła. Z rany sączyła się też jakaś szaro-biała substancja. Wtedy Natalie odzyskała przytomność i zaczęła krzyczeć. Nie przestawała krzyczeć. Próbowaliśmy uspokoić ją lekami przeciwbólowymi, ale ona była w agonii. To był koszmar. Wiła się w konwulsjach, dygotała. Ktoś był na tyle przytomny, że wezwał karetkę. Zabrali ją, ciągle krzyczącą, w noc Luperkaliów.

- Wciąż słyszę jej krzyk, Jack. Każdego dnia mojego życia słyszę ten krzyk. Proszę, możemy stąd wyjść?

\*\*\*

W domu było cicho. Usiedli na podłodze w salonie, palili papierosy i kontemplowali wzór na tapecie. Raz po raz płomienie świec drżały w

niewyczuwalnym powiewie. Sarah Buchanan potrząsała głową w odpowiedzi na pytania Jacka.

- Twój ojciec umiał unikać skandali. Zapłacił jednak za pobyt Natalie w szpitalu. My rozpierzchliśmy się po świecie.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że cztery tygodnie po tym wydarzeniu Natalie wciąż krzyczy. Anna Maria była tak przytłoczona poczuciem winy, że spędzała całe dni w kościele, przygnieciona różańcami i krucyfikami. Nick wrócił do Chicago. Ja przestałam brać narkotyki i zamieszkałam w Trastevere, gdzie mnie znalazłeś. Pochłonęła mnie sztuka. Nie miałam kontaktu z żadnym z nich. Któregoś dnia przeczytałam, że Anna Maria popełniła samobójstwo. Nikt nie wiedział, dlaczego piękna, młoda, bogata, odnosząca sukcesy kobieta zrobiła coś takiego. Data jej śmierci przypadła w Luperkalia, a ja, rzecz jasna, rozumiałam to doskonale.

- Jak wpadłeś na pomysł przekrętu z domem?

- Miałam wystawę. Pojawił się twój ojciec. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Powiedział, że zabezpieczył Natalie, że ma zamiar sprzedać dom i zostawić jej pieniądze, kiedy wróci do normalności. Nie sądzę, aby zdawał sobie sprawę, że dla Natalie nie ma już normalności.

- Kiedyś, kiedy twój ojciec był w Chicago, zaczęłam koczować w jego domu. Miałam kłopoty z mieszkaniem. Znalazłam rzeczy Natalie i przyszło mi do głowy, że równie dobrze mogłaby zniknąć z powierzchni ziemi. Potem ktoś z artystycznego światka powiedział mi, że Tim Chambers nie żyje. Sądziłam, że mogę w ten sposób coś



osiągnąć.

- Myliłaś się.

- Niewątpliwie. Co masz zamiar z tym zrobić?

- Nie wiem - spojrzał na nią. Pierwszy raz, odkąd ją poznał, z jej oczu zniknęła charakterystyczna mgiełka. Teraz widział tylko przeraźliwą samotność. Smutek bezdomnego wilka, przemykającego w cieniu rzucanym przez obozowe ognisko, szukającego ludzkiego ciepła, umykającego przed psami. - Sarah, jesteś zagubioną dziewczynką, wiesz o tym?

- Tak mówisz, ale ostatecznie jestem jedyną, która wie, że twój ojciec miał rację.

- Rację w czym?

- Z Indygo.

- Imponująca wyliczanka. Jedna psychoza, jedno samobójstwo, jeden martwy ćpun, a ty sądzisz, że miał rację?

- To dlatego, że oni odbierali go dosłownie. Kiedy tamtej nocy nas opuścił, chciał się przekonać, czy jesteśmy na tyle głupi, aby faktycznie zabrać się za trepanację. Nie dostrzegasz tego, Jack? Nie widzisz Indygo? Jest tym, co mamy nadzieję znaleźć. Miłością. Objawieniem. Inspiracją. Chwilą, która zdarza się w twoim życiu i sprawia, że jest pełniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy *przestajesz* szukać Indygo, twoja dusza umiera.

- Możesz nigdy nie zobaczyć Indygo. Możesz tylko się oszukiwać, że je widziałeś. Ale nigdy nie możesz przestać wierzyć w tę możliwość. W moc transformacji. Naukowcy twierdzą, że ono nie

istnieje. Artyści mówią, że istnieje. To nie są jedyne możliwości.

- O tak. Natalie, Anna Maria i Nicholas znaleźli trzecią.

- Przestałam w to wierzyć, Jack. Dopóki nie pojawiłeś się ty. Wcześniej widziałam twojego ojca. Powiedział mi, że zobaczę Indygo, jeśli poprowadzę tam ciebie.

- Proszę cię.

- Zbliżamy się, Jack. Wiesz o tym.

- Nie.

- Kocham cię, Jack.

Spojrzał na nią twardo. Był zdezorientowany. Zawsze sądził, że to była tylko sztuczka wyuczona z książki. Nie można zostać wepchniętym dwa razy do tej samej rzeki.

- Nie pozwolisz, aby to się skończyło, Jack, prawda? Nie pozwól, aby ojciec ci to zrobił.

- Co masz na myśli?

- Powiedz mi coś. Czy to możliwe, że on wciąż żyje?

Jack potrząsnął głową.

- Może miał rację. Może jest w Indygo, patrzy na nas wszystkich, manipuluje nami i zaśmiewa się do rozpuku.

- Nie ma żadnego Indygo - powiedział Jack.

- Mylisz się, mój ukochany. Tak *bardzo* się mylisz.

## CZTERDZIESTY

Jack wrócił do Ospedale San Callisto, zastanawiając się, jak rozwiązać kwestie administracyjne, związane z zapewnieniem Natalie opieki. W zimnej, marmurowej recepcji, pod ogromnym, błyszczącym oknem sięgającym sufitu, czekał na lekarza, z którym on i Louise spotkali się podczas pierwszej wizyty.

Lekarz pojawił się wreszcie, razem ze swoją nieodłączną teczką, jego buty nadal skrzypiały na lśniącej, marmurowej posadzce w wielkim holu. Uroczyście uściskali sobie dłonie.

- Przyszedłem omówić warunki finansowe, dotyczące opieki nad Natalie - powiedział Jack.

Lekarz wyglądał na zakłopotanego i szybko powiedział coś po włosku do kobiety w recepcji. Odpowiedziała krótko urywanymi zdaniem. Odwrócił się do Jacka.

- Ale Natalie Shearer już tu nie ma. Jack był wstrząśnięty. - Ależ musi być!

- Zapewniam pana, że jej nie ma!

- Nie mogła tak po prostu wyjść!

Lekarz spojrzał na recepcjonistkę.

- Ktoś po nią przyjechał.

- Przyjechał? Kto?

- Recepcjonistka właśnie mi powiedziała, że nie było jej tu wtedy, ale wie, że Natalie została zabrana przez mężczyznę. Wierzę,

że to ta sama osoba, która płaciła za jej pobyt tutaj.

- Płaciła za nią?

- W rzeczy samej.

Jack był zaskoczony tym odkryciem.

- Ale przecież musicie mieć jakieś dokumenty czy coś? Ludzie nie mogą się tak po prostu wymeldować ze szpitala psychiatrycznego, przecież to nie hotel!

- Szpital psychiatryczny? Pan wybaczy, ale chyba nie rozumie pan pewnych kwestii. To jest prywatny szpital, a Natalie przebywała tu na własne życzenie. Żaden lekarz ani sąd nie kazał jej tu przebywać. Może, *mogła*, swobodnie wyjść, w każdej chwili. A zawsze, kiedy przestaną wpływać opłaty...

- Kto wstrzymał opłaty?

Lekarz uraczył Jacka typowym, rzymskim wzruszeniem ramion.

- Tego nam nie powiedziano.

- Czy tu nie prowadzi się dokumentacji? - naciskał Jack.

- Mamy oczywiście jej akta. To wszystko.

- Możecie mi przynajmniej powiedzieć, kto był poprzednio odpowiedzialny za opłacanie rachunków za szpital?

Lekarza zaczęło irytować zachowanie Jacka.

- Proszę posłuchać, nie jest pan upoważniony do zadawania takich pytań. Czy jest pan spokrewniony z Natalie?

- Nie.

- Wobec tego...

- Ale przyszedłem tutaj z zamiarem finansowania opieki nad nią!

- Co mam powiedzieć? Chce pan, abym wziął pańskie pieniądze za nic? Chce pan zrobić darowiznę? Mogę to zorganizować. Ale jeśli chodzi o Natalie, już jej tu nie ma. Proszę. Jestem bardzo zajęty. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę - lekarz stał w powodzi światła słonecznego wlewającego się przez wysokie okno i unosił błagalnie swoją teczkę. - Proszę - powtórzył.

## CZTERDZIESTY PIERWSZY

Dwa dni później Jack i Louise spacerowali ramię w ramię brukowanymi, wąskimi uliczkami centro storico, pośród cieni średniowiecznych budynków i kościołów. Późny październik przechodził cicho w listopad, w powietrzu wyczuwało się charakterystyczną ostrość i chłód ciągnący od Tybru. Zmienił się nawet zapach rzeczno-mułny. Była to wyraźna zapowiedź nadchodzących chłódów, jak zaliczka na poczet zimy. Jack i Louise spędzali ostatnie popołudnie i wieczór w Rzymie. Jutro wracali do domu.

Jack jednoznacznie oświadczył Sarah Buchanan, że powinna zniknąć, opuścić Rzym. O ile wiedział, tak właśnie zrobiła, ale przedtem dostarczyła mu liścik:

*Mitra od swoich wyznawców oczekuje samoofiary. Wiedziacie o tym. Mam zamiar zniknąć na jakiś czas. Ale kiedy pozbędziesz się uprzedzeń i zobaczysz sens, znów Cię odnajdę. Twoja w Indygo, Sarah*

- Co to takiego? - zapytała Louise, widząc list w jego rękach.

- Notatka od Alfredo - odparł, wciskając list do kieszeni - pisze, że ma zamiar wymienić zamki.

Alfredo istotnie wymienił zamki w domu i zabił ukryte okno do piwnicy. Jack dał mu pełnomocnictwo w sprawie sprzedaży domu po

najlepszej możliwej cenie. Nadal jednak nie wiedział, co zrobi z uzyskanymi środkami, skoro nie można ich przeznaczyć na opiekę nad Natalie Shearer w Ospedale San Callisto. Poza tym Alfredo chciał spędzić z Louise ostatni wieczór w Rzymie. Był przybity, ale pogodził się z tym, że wołała spędzić go z Jackiem.

Kiedy szli w stronę Panteonu, światła w sklepach i restauracjach zaczęły przygasać.

- Zbyt łatwo puściłeś jej to płazem, Jack - powiedziała Louise.

Jack jednak upierał się, że ostatecznie nikogo nie skrzywdziła. Przez jakiś czas pozwalała, by ludzie nazywali ją Natalie, to wszystko; nawet, kiedy się kochaliśmy, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Nie chciał tej sprawy przeciągać ponad miarę. O ile wiedział, była zakończona. Poradził sobie nawet z publikacją Instrukcji Obsługi Światła. Rooney znalazł rozwiązanie. Jack miał zamiar zrezygnować z tego poronionego pomysłu. Postanowił nie wydawać Instrukcji w obawie, że mógłby przeczytać ją jakiś idiota i wywiercić sobie dziurę w czaszce. Gotów był nawet zrezygnować z gratyfikacji przeznaczonej dla wykonawcy testamentu. Zadzwoił do Rooneya, aby go o tym poinformować.

- Do diabła z tym - odparł Rooney. - Mam lepszy pomysł.

Rooney znał eksportera czegoś, co nazywał „książkami erotycznymi”. Znał prawo stanowe, które oddzielało „książki erotyczne” od oczywistej pornografii: książki erotyczne nie były opodatkowane; pornografia owszem.

- To jest idealne wyjście - skrzeczał Rooney do telefonu. - Wydamy to jako serię magazynów, strona z gołą panienką, strona tekstu z Instrukcji Obsługi Światła. Te rzeczy sprzedają się w tysiącach egzemplarzy. Strona z panienką, strona tekstu. Panienka-tekst-panienka-tekst. Co o tym myślisz?

- Nie znam się na tym - przyznał Jack.

- Co do diabła się z tobą dzieje? Musisz zrealizować ostatnie życzenie swojego starego.

- Nie obchodzą mnie jego ostatnie życzenia. Bardziej martwi mnie wizja ludzi czytających niebezpieczne rzeczy, Rooney.

- Nie łapiesz, w czym rzecz, dupku! Ktoś, kto kupuje magazyn z gołymi babami nie czyta! Równie dobrze mógłbyś to zapisać niewidzialnym atramentem! To jedyny możliwy sposób, aby to wydać w takiej liczbie i mieć pewność, że żaden idiota nigdy tego nie przeczyta.

Jack zastanowił się nad tym. Wyłożył pomysł Louise, ale nie chciała się w to mieszać, zostawiła mu jednak wolną rękę.

- No więc? - powiedział Rooney. - Jedziemy z koksem?

- Cóż, tak. Chyba.

- Hura - odparł Rooney. - Zajmę się tym.

Kiedy Jack i Louise dotarli do Panteonu, na zewnątrz było już prawie ciemno. Zanim weszli do środka, Jack powiedział:

- Wrócił po Natalie, prawda? To musiał być on.

- Już to przerobiliśmy - ostro odparła Louise. - Rozmawialiśmy o



tym wiele razy.

- Jest coś jeszcze. Jak myślisz, Louise, czy on to zaplanował? Zorganizował nasze spotkanie? Zaaranżował wszystko wiedząc, że zapałamy do siebie niemożliwym do spełnienia uczuciem?

Wszedł na niebezpieczny grunt.

- Jakim dokładnie uczuciem? - zapytała Louise, ale kiedy nie odpowiedział, złagodniała. Delikatnie przeciągając palcami po klapach płaszcza, powiedziała: - Nigdy nie pozwól sobie wierzyć w coś tak niebezpiecznego.

Pod kopułą brzmiały te same chóry gregoriańskie; złote filary, między którymi nie spacerowali kochankowie, choć czuło się ich obecność, lśniły nienaturalnym, przytłumionym światłem. Przez wole oko widzieli niebo zaciągające się chmurami. Potem zaczęło padać i raz jeszcze cylindryczna kaskada wody wydawała się unosić w powietrzu. Patrząc w górę, usiedli razem na kamiennej ławce.

- Kochałeś ją, prawda?

- Nie. Może. Nie wiem.

- Co zrobisz? Wrócisz do swojej firmy w Londynie?

- Nie wiem jeszcze.

- Zostań z nami, w Chicago. Pomożemy ci się pozbierać.

- Myślisz, że tego potrzebuję?

Louise uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Zamiast tego przytuliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu. Spoglądali w górę, na srebrne nitki deszczu wlewające się przez sufit. Patrzyli długo, aż w wolim oku - oku bogów - cień przeszedł z błękitu w fiolet,

a potem załśnił szafirem.